KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

(NA SKALNEM PODHALU VII)

JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI

DOKOŃCZENIE „MARYNY Z HRUBEGO"

WARSZAWA, 1911. ❖ NAKŁAD I DRUK TOW. AKCYJN. S. ORGELBRANDA S-ÓW. ❖ SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

(NA SKALNEM PODHALU VII)

JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI

DOKOŃCZENIE „MARYNY Z HRUBEGO”

WARSZAWA, 1911. ✠ NAKŁAD I DRUK TOW. AKCYJN. S. ORGELBRANDA S-ÓW. ✠ SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

Illa.
Allegorya.
Mąż poeta.
Poezye I — wydanie trzecie.
Poezye II — „ czwarte.
Poezye III — „ trzecie.
Poezye IV — „ trzecie.
Poezye V.
Poezye VI.
Wybór poezyj.
Wybór poezyj (nowy).
Erotyki.
Hasła.
Zawisza Czarny.
Rewolucya.
Barykada.
Melancholia — wydanie trzecie.
Wrażenia.
Z wielkiego domu.
Wybór nowel.
Anioł śmierci — wydanie czwarte.
Otchłań — wydanie trzecie.
Panna Mery.
Zatracenie — wydanie drugie.
Król Andrzej.
Bajeczny świat Tatr.
Na Skalnem Podhalu I — wydanie drugie.
Na Skalnem Podhalu II.
Na Skalnem Podhalu III.
Na Skalnem Podhalu IV.
Na Skalnem Podhalu V.
Maryna z Hrubego.
Szkice.
Gra fal.

List otwarty do p. Wilhelma Feldmana—wydanie drugie. Czysty dochód na wpisy dla niezamożnych w Warszawie.

W smętku i goryczy biegły Mardule dni i noce w lochu zamku pana Rzeszowskiego. Przeklinał on Krzysia, chrzciny u Wojdyłów, a nadewszystko Krzysiowe zaciasne portki.

Ciupaga Sobka Topora, w mig ciupagą Janosika z tyłu poderwana, stal pod osadzenie, zastanowiła się w powietrzu; siepnął Sobek toporzyskiem, ale Janosik Nędza Litmanowski dzierżył jego siekierę na uwięzi.

Obudzeni krzykiem Sobka Sieniawski i Maryna, zerwali się ze snu i usiedli na łożu.

— Bracie?! — krzyknęła Maryna Toporówna.

Ale nim Sieniawski do pistoletów, co obok łoża na stole leżały, ręką sięgnąć zdołał, Sobek, nie zdarłszy ciupagi swojej z ciupagi Janosika, z gołemi rękoma nań się rzucił i pod gardło chwyciwszy na poduszkę go obalił, a ciupaga z brzękiem na ziemię padła.

Charczeć począł Sieniawski zdławiony. Moc mu zaraz członki odeszła.

Maryna nie wiedziała snadź, co czynić, chwyciła przecież ręce Sobka i odrywać je jęła od szyi wojewodzica; dopiero jednak czterech przywołanych przez Janosika górali uwolnić go z Toporowego uścisku zdołało.

— Sobek — rzekł Janosik, który stał z boku w izbie — nie rób mu nic! On mój, nie twój.

— Mój! — ryknął Sobek. — On mi dziadka zabiéł, dom okrad!

— Sobek — rzek Janosik spokojnie — abo mie słuhać musis, abo sie wróć, skądeś przziseł.

Sieniawskiego, bladego i wysilonego, chłopi trzymali na łożu, w którego nogach Maryna w koszuli siadła.

Sobek patrzał na nią, jakby na widziadło poglądał. Snadź w głowie mu się mieszało. Trząsł się cały.

— Maryna?! — zdołał tylko wypowiedzieć.

— Kieby nie ja — rzekła Maryna — toby byli my i sytka Toporowie na Hrubém we krwi i w ogniu pogineni. Ja go sobom zatrzymała.

— Odruwałaś mi rence od jego garła! — krzyknął Sobek.

Ale Janosik zawołał: — Nie cas na to teraz! Hań bitka! Tego strzéc!

Wskazał chłopom trzymającym Sieniawskiego i wypadł w pole, zkąd gwar walki go doszedł, chwyciwszy za rękę Sobka i ciągnąc go we drzwi.

Na podworcu i wokoło karczmy bito się, a ra-

czej dworzanie Sieniawskiego i dragoni bronili się przewadze górali w ciemności.

Trudno było rozeznać człowieka od człowieka w nocy i we mgłach. Lecz Janosik kilkadziesiąt pochodni w kącie sieni stłoczonych spostrzegłszy, pochwycił jedną, drugą złapał Sobek—zapalili od kaganka.

— Podpalmy karcyme!—krzyknął Janosik.— Bedzie widnij!

Przytknęli więc pochodnie do słomy poszywającej dach karczmy, w której zaszli znienacka Sieniawskiego z Maryną i jego śpiących żołnierzy i pachołków. Płomień się dał ujrzeć prędko; poszycie było suche od spodu.

Skoczyli w drugie, w trzecie, w dziesiąte miejsce — ze wszystkich stron podpalany dach buchnął płomieniem. Rozległ się wrzask i lament Żydów arendarzy.

Z płonącej karczmy wybiegła ledwo zaodziana Maryna i chłopi wywiedli Sieniawskiego. Maryna trzymała w ręku wojewodzica karabelę i z tą się między dragonów rzuciła.

Jak straszne odyńce, co kłami prują stado wilków z niemi sparte, mordowali dworzan i żołnierzy sieniawskich Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, Janosikowi towarzysze, a obok nich gruchotali im ciupagami kości Sobek Topór i Franek Marduła. Karabelą rąbała Maryna.

Stary Sablik, gęśliki do rękawa od czuch wpuściwszy, niedużą swoją na długiem toporzysku

ciupagą raz wraz w łeb dragona, czy dworzanina przebiegającego mimo szybko śmignął, a Krzyś z boku za płotem stał i podziwiał. Podziwiał on nieopodal walczącego Janosika Nędzę, który zdał mu się być dyabłem, nie chłopem. Janosik zresztą nie walczył żadną bronią — walił on ludzi człowiekiem. Ująwszy pod gardło i za brzuch dragona, grzmocił sieniawskich to nogami jego, to głową, jakby snopem bił. Padali sieniawczycy od uderzeń krwawego trupa żołnierza, któremu mózg na hełmie czyimś wyprysnął.

— Jezus Maryja! — myślał Krzyś w zachwycie. — Jedy by ten cłekem młóciéł, jak drugi cepami!..

Nie długo bitka trwała. Janosik w łunie karczmy tryumfował.

— Zbiérajcie zdrowyk! — krzyknął na górali.

Zabitych i ciężko rannych z pięćdziesięciu ludzi Sieniawskiego było przeszło dwudziestu; reszta się podawała, broń rzucając.

— Ustawić zdrowyk i takik, co iść mozom! — rozkazał Janosik. — Zamglonyk wodom lać!

Najwięcej zemdlonych od ciosu, ale zdrowych, lub lekko rannych, było tych, których on sam dragonem na ziem zwalił. Ci stanęli prawie wszyscy, gdy ich spędzano do kupy.

— Hłopy! — zawołał Janosik do sieniawczyków. — Icie sytka ślebodno i z panem wasym! Powicie światu, ze ja sie ruséł z pod Tater, Ja-

nosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, z Nędzowego Gronika w Polanak!

Poczem obrócił się do obok stojącego Mocarnego i rzekł:

— Ja wiedział, cemuk ik nie biéł ciupagom, jyno hłopem! Wyście ik pobabrali zelazem, a ci pudom i pedzom! Wtory zaś kie charnaś zbójecki tak sie zwiestuje, jako ja?!

Ale niedługo już potem Marduła był przy Janosiku.

Nieszczęście chciało.

I sam nie wiedział, czego więcej żałuje: czy straconej wolności, czy tego, że już z Janosikiem nie chodzi?

Albowiem nieporównany był to chód.

Na całą Małopolskę rozniosło się imię Janosika Litmanowskiego, a całe Podgórze trzęsło się od jego imienia. Mścił on się jak szatan, raz się z pod hal ruszywszy, za to, że szlachta, karając chłopów za rebelię Kostkową, w zemście „od zmysłów odchodziła".

Janosik chciał, aby mówiono, że znalazł swój swego i za okrucieństwa panów na poddanych z nawiązką płacił. Dwory i stodoły szlacheckie płonęły, często gęsto, nazajutrz po napadzie, rano zgliszcza zabudowań, trupy szlacheckie w zgliszczach znajdowano. Były pochody nocne, były i walki ząb w ząb, oko w oko.

Chłopi owisłe w rozpaczy głowy dźwigać zaczęli, a imię Janosika powtarzać, jak święte.

Jak orzeł rzucał się na szlacheckich hajduków, lub królewskich harników i żołnierzy Sobek, jak orlica rzucała się Maryna. Ale choć ten i ów z górali pobok pod mieczem, szablą, czy od kuli padał, ich się śmierć nie imała. A nie mówili do siebie nic.

Wesoły, swobodny, zuchwały i butny wojował Janosik. Nigdy przy nim nie brakło na obozowisku z pieśnią, gęślami i opowiadką Sablika, nigdy ze skrzypcami Krzysia, a Gadeja, Mateja i Mocarny byli przy nim, jak wichry przy płomieniu. I tak się w kupę zbili z Toporami z Hrubego, co nie mówili do siebie, i on ku nim, Franek Marduła.

Zarabiał on na pochwały Janosika. Bo bił się jak dyabeł, a kradł jak lis, jastrząb i kuna razem wcielone w wilka.

I wszystko dobrze szło, póki chodził w Krzysiowych portkach.

Ale że się z niego śmiano, że ciasne i krótkie, a i Krzyś, swoje starsze drąc, o zwrot się pożyczonych nowszych przymawiał, postanowił Marduła o portki się postarać.

Uszyć nie było czasu dać, nie pozostawało nic, tylko ukraść.

Tak też Marduła namyślił i tak się zdecydował. Ale że i wybredny był i nie wypadało jemu, tak pierwszorzędnemu rabusiowi i tak pierwszorzędnemu elegantowi byle czego kraść i w byle czem chodzić, ruszył na portki, od bandy się oddaliwszy, do samego bogacza sołtysa pod Kalwa-

ryą, gdzie się rzecz nie powiodła, gdyż Mardułę schwytano, obito i przeciągającym żołnierzom pana Rzeszowskiego, jako podejrzanego o należenie do nieopodal grasującej bandy Janosika, choć się Marduła zapierał, oddano, aby go do Krakowa, do grodu zawiedli. Ale pan Rrzeszowski lubił więźniów i Mardułę u siebie w zamku do lochu wrzucić kazał.

Gorzko i w smętku mu tam płynęły dni i noce.

Od strażnika jednego, człeka dobrego, dowiadywał się tylko od czasu do czasu, iż to w tej, to w innej okolicy Janosik Nędza Litmanowski się pojawił, dwór spalił, szlachcica powiesił, zarąbał, lub za piątą granicę wystraszył, a wówczas żałość niewypowiedziana ściskała Marduły serce na myśl, ile się tam nabito, ile dobra złupić musiano i miano okazyę.

Dni i noce biegły Mardule w smutku i strapieniu. Sam on niewiedział, jak długo już świata Bożego nie oglądał. Siedział ze spuszczonemi między kolana rękami, albo przez małe zakratowane okienko w lochu na skraweczek widzialny nieba spozierał.

Że był poetą, począł wiersze składać. On to w przystępie autoironii uzdajał tę gorzką śpiewankę:

> **Dobry hłopiec, dobry zbój,**
> **padnie listek, to sie bój!**

(bo las prześwieca).

Padnie listek bukowy;
juźci zbójnik gotowy!
(bo z lasu zima wypędza).
Padnie listek z jawora,
hybaj Janko do dwora!
(bo w jasnym lesie złapią).

Zrazu składał wiersze krótkie o swej niedoli, aż raz pewnej nocy począł nucić cicho, żałośliwym głosem,—głośno nie było wolno—sam niewiedząc, zkąd się mu słowa i nuta snują:

Uświadcy teraz w więzieniu
po swyk uciehak, radości...
O jak w okropnem nudzeniu
ozmyśla teraz o wolności...
Straciłek wolność z młodości,
jakze jej teraz załujem!
Narzékać musem, bo cujem...
Skowronek leci do góry,
a słowik w gaju nuci,
za coz mie kraty i mury
odłącać majom od ludzi?...
O Boze, mój Boze, wyzwól ze mnie stela,
wyzwól ze mnie stela, z biłego kastela,
cobyk tu niesiedział, nik o mnie niewiedział,
jyno jeden Pan Bóg, Panienka Maryja...
Dała mie tu wsadzić jedna kanalija...

Za portki — dodał z goryczą.

Pewnego dnia usłyszał Marduła jakiś gwar i ruch. Weszło do kaźni trzech hajduków z latarnią, kazali Mardule wstać i przeprowadziwszy go przez loch, wewiedli i w inne miejsce, wepchnęli i zatrzasnęli za nim drzwi żelazne.

Ciemniej tam jeszcze było, niż uprzednio. Słaby blask księżyca wmykał się zkądś z pod sklepienia, z góry. Mardułę taka rozpacz zdjęła, że miał płaczem wybuchnąć, gdy jakoby oddech czyjś posłyszał.

— Jest haw wto?! — zapytał pół z radością, że nie jest samotny, pół ze strachem: czy to nie duch „sapi” w ciemności.

Nic nie odpowiedziało.

— Jest haw wto? — powtórzył, ale również odpowiedzi nie otrzymał.

Zląkł się Marduła strasznie i począł pacierze odmawiać, do ściany przyciśnięty. I tak usnął.

Nazajutrz rano, gdy się obudził, dzień już był i było widniej w więzieniu. Marduła ujrzał starca z brodą białą do pasa, z włosami niżej ramion, siedzącego na wiązce słomy, rzuconej więźniom do spania. Odziany był łachmanami, przez które kościane ciało przeglądało.

Marduła wzdrygnął się na ten widok, ale i ucieszył. Nie był przynajmniej sam, co mu było straszne.

— Hej! — zawołał.

Starzec się nie odwrócił.

Głuhy je — pomyślał Marduła.

Zbliżył się ku starcowi, przed oczy mu przyszedł, ale starzec się nie ruszył.

I ślepy jest — pomyślał.

Dotknął go ręką.

Starzec drgnął lekko, ale się nie ozwał.

Niemowa, cy co? — pomyślał Marduła.

Jaki jest, taki jest, zawdy lepsi, cok nie sam...

Poprzednio Mardule strażnik jeść przynosił, tu chleb i wodę na lince z góry spuszczono. Starzec, który nieruchomo siedział, snadź porę i miejsce znał, bo równocześnie, gdy bochenek chleba i dzbanek z wodą przed nim się zakołysały, on ręce po nie wyciągnął. I Mardule podobnie strawę przysłano.

Probował Marduła zwrócić na siebie uwagę starca, ale nadaremnie. A gdy się dobry strażnik, który dbał o to, aby Marduła za żywa nie zgnił, pojawił, opowiedział, że gdy on do więzienia nastał, lat temu trzydzieści, już człowiek ów tu siedział tak dawno że nikt nie pamiętał, kiedy go zamknięto, ani za co. Podobno za dziada obecnego dziedzica do lochów go wtrącono. Zkąd był, kto, już nie wiedziano. Panowie Rzeszowscy zawsze lubili więźniów.

— Nie słysy? Nie widzi? — pytał się Marduła.

— Zdaje się, że nie.

I znowu Mardule począł biec czas jednostajnie, tyle tylko, że na starca patrzał, który znać zupełnie sprawy sobie nie zdawał, iż towarzysza niewoli mu dano.

Aż raz Marduła z rozpaczy śpiewać na całe gardło zaczął. Nie śpiewał on, ale wył, ile mu sił w piersiach starczyło. Chciał się zawyć na śmierć — skróś Krzisiowyk portek...

I wówczas wydało mu się, że starzec drgnął głowę wzniósł nieco.

Marduła śpiewał dalej: śpiewał o górach, o lasach, o zbójectwie i kochaniu, o bitkach, o kopalniach srebra i żelaza i o juhastwie w halach, o ptakach i zwierzętach, o wodzie i ogniu, o robotach w polu i ścinaniu drzewa — śpiewał wszystko, co było życiem górala i ubrało się w pieśń. Starzec jakoby słuchał i słyszał, a gdy Marduła, jak wilk raniony zawywszy na końcu, na garść swojej słomy się prasnął, starzec pół jęknął.

Zerwał się Marduła na równe nogi.

— Mówicie?! — krzyknął.

Lecz starzec milczał.

Marduła przypadł ku niemu, za ręce go uchwycił. Starzec zdawał się nie czuć. Jął teraz śpiewywać Marduła na cały głos często. Snadź go z lochu nie słyszano, darł się więc wniebogłosy. I razu pewnego usłyszał słowo starca: dawno...

Wydało się Mardule, jakby mu kwiat na ucho padł. Przyskoczył ku starcowi i ujrzał dwie łzy, płynące mu po twarzy.

— Żyjecie?! Cujecie?! — wrzasnął rozradowany.

Starzec jakby mocował się z sobą i wykrztusił znów: dawno...

A potem wysilił ze siebie:

— Śpiéwaj...

I czas biegł, dni, tygodnie, miesiące, czy la-

ta — — Marduła niewiedział. Śpiewał w kaźni, a starzec snadź słuchał, na słomie siedząc.

Aż razu pewnego ozwał się chrapliwie:

— Skądeś ty?

— Z gór! — krzyknął Marduła.

— Wiém — ale skąd?

— Z Olce.

— Z Olce... — powtówrzył starzec. — Woda...

— Jest woda — zawołał Marduła.

— Las...

— Cy znacie?!

— Znam — wykrztusił starzec.

Marduła jak był długi, do kolan mu przypadł.

— Dziadku! — krzyknął — Wyście z gór?!

— Z pod Tater — odpowiedział starzec.

— Skąd?!

— Z Leśnice...

Więcej tego dnia niemógł mówić. Snadź gardło odwykło od wydawania głosu i język od składania wyrazów. I po tym jednym momencie jęki tylko niezrozumiałe przez długi czas z ust starca się wydobywały, aż znów pewnego dnia ozwał się:

— Lato...

Rany Boskie! — pomyślał Marduła. — Cy ja tu od jesieni jus do lata przesiedział?! Cy moze więcyl roków?!

— Lato — powtórzył starzec. — owce w halak...

— W halak...

— Dziewieńdziesiont roków...

— Tu siedzicie?

— Haj.

Mardule się tak serce ścisnęło, że nie zważając na wstrętne ciało starca, za kolana go objął.

— Dziewieńdziesiont roków nie gadałek.

— Nic?!

— Nic.

— Ja myślał, zeście niemowa i głuhy.

— Ja był głuhy i niemowa, aleś ty mie pieśniami obudziéł... Ja sie słowa po słowie ucył... Jak dziecko...

— Boze jedyny!

— Haj. Ucyłek sie. Zrazu ja niémóg nic ozróżnić... Słysałek jyno głos... Alek nierozumiał nic... Takie usy były, jak ze zelaza... Pote słowo... Jedno... Drugie... Mąciło sie... A cosi sie mi zbacowało... Słowa sie mi zbacowały i świat... Las — drzewa... Słońce — jasno... Woda — płynie, sumi... Dziéwka — piékne, rumienne... Ciupaga — zbyrcy, rombie... Hala — owce, pies, juhasi, turnie... Tak sie mi zbacowało jedno po drugiém... Słowa i świat... Bo ja dawno nie słysał i nie widział... Dziewieńdziesiont roków... Haj...

— A widzicie?

— Widzem... Chałupe swojom... Wóz... Konie dwa — cisawe...

— Ale mnie haw? Przy was? Widzicie?

— Nié.

— A za co was tu zaparli?

— Zaparli?... Do lochu?... Za co?... Drzewo ścinać zgodzili... Dziéwka była... Piékna... Panowa miéłośnica... Zakohała mnie... Dawno... Juzek nie wróciéł do Leśnice...

— Kielo wam roków?

— Ja rahował cas... Dni... Po jadle... Raz do dnia... Cok urahował rok, tok dolicył... Pirsy dziewieńdziesionty idzie... Miałek trzi dwaścia...

— No to wam, pockajcie, sto trzynaście roków?

— Bedzie...

— Jezus Maryja!

Mardułę przeszedł dreszcz lęku, jak od trupa.

A starzec mówił:

— Ona była hań!... Za ścianom... My sie słyseli... Płakała... Trzydzieści roków i dwa...

Umilkł starzec i Marduła umilkł od grozy.

I znów milczenie ogarnęło Mardułę, starzec mówić przestał, aż po paru tygodniach w nocy poczuł Marduła, że go coś za ramię ciągnie.

Zląkł się i krzyknął:

— Wto to?

— To ja — odpowiedział starzec w ciemnościach. — Gadaj...

— Co?

— Jak tam — — u nas... Ja tu dziewieńdziesiont roków gnił... W lochu... Ja tu drzewo ścinać przyseł... panu... Niewróciłek... Jak tam... u nas?... Jaby hań na kolanak seł... Ziemie całował... Jaby na ziemi lóg, piersiami przywar... Jaby hań — — wode widzieć kciał... Drzewa

sumiom — — jedle — — smreki — — lipy... Zwonki grajom... Gwary pełno... Sędyl ludzie— gadajom... Jaby na ziemi lezał, piersiami przywar... Jaby na kolanak hań seł... Ziemia cudowna... Świat...

Marduła jął płakać.

— Gadaj mi... Zielono... Trawa zielona.... Otawa... kie pokosis... otawi sie... Jarzec siać... Pług... Jeździlimy do jarmaku na siacie... Zboze kupować... Zarno... Dawno...

Łuk... Strzélajom?... Z łuków?... Niedzwiedź w garło... Z proce w oko... Gęsie piérza na strzale... Ja umiał... Bez oko w mózg...

Gadaj... Kijaniom chusty prać... Peu, peu, peu, pac! pac!... Baby pierom... Piérujom?...

Biały rańtuch na niéj... Kyrpcoski... Chustka jedbawna — — z odpustu... Gorset... Piersi... He... Dziéwcenta — — w polanie... Kie kwiaty... Niebo — — hań... Turnie... Skały... Wysoko... Het...

Podniósł rękę nad głowę.

— Het... Wysoko... Słońce...

I runął na barłóg. Marduła poskoczył ku niemu. Starzec się rozśmiał i skonał.

Naówczas Marduła ukląkł nad nim, przeżegnał się i mówić począł:

— W Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen. Dzieńkujem Ci, Panie Boze, cok sie bez portki Krzisiowe tu dostał i ze skróś tyk portek ten stary człowiek śmiejęcy sie umar. W Imię Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen.

Ksiądz opat tyniecki, biskup Pstrokoński, spokoju od śmierci Kostki Napierskiego niemiał.

Brzmiały mu i grzmiały w myśli słowa Kostkowe: kędyś trucizna jest, co duszę i ciało polskie zatruła... a planta pedis usque ad verticem capitis non est sanitas — od stóp do głowy rak toczy — Orzechowskiego słowa, przez Kostkę powtórzone onego wiosennego dnia w Tyńcu...

A rak toczył Rzeczpospolitą, toczył ją od podeszwy stopy do wierzchołka głowy. Aleksy Michajłowicz, aby przeszkodzić, by Chmielnicki z kozakami miast jemu, nie poddał się sułtanowi, ruszył „w obronie wiary prawosławnej” i pobiwszy przez kniazia Czerkaskiego i kozaka Zołotarenkę hetmana polnego litewskiego pod Wilnem, do Wilna wjechał i wielkim księciem litewskim się nazwał. Wycięto Swisłocz i Kojdanów, zajęto Mińsk, Połock, Dyneburg, Kowno, Grodno; Chmielnicki z kniaziem Buturlinem oblegli Lwów; Lublin zajęli kozacy.

Karolowi X Gustawowi poddali się i przysięgli bez dobycia szabli wojewoda poznański, satyryk Krzysztof Opaliński i wojewoda kaliski Grudziński pod Ujściem z dwudziestu dwu tysiącami pospolitego ruszenia przéciw siedmnastu tysiącom, które wiódł ze Szwecyi graf Wittenberg i zdrajca Radziejowski. Owszem — gdy Poznań bronić się chciał, wojewodowie wymusili murów otwarcie. Radziwiłłowie na Litwie poddali się Karolowi Gustawowi i przysięgli. Warszawski magistrat zbudował nową bramę i ustawił na wałach dwadzieścia sześć armat, ale za trębaczem szwedzkim z listem wysłanym ruszył konno i woźno i, za Wolą klęcząc, królowi szwedzkiemu się przedstawił. Stefan Czarniecki w Krakowie nie zginął, jak Leonidas, ale kapitulował. Koniecpolski, Dymitr Wiśniowiecki i Stanisław Rewera Potocki z piętnastoma tysiącami żołnierzy poddali się Szwedom i przysięgli.

Fryderyk Wilhelm II, elektor, za hołd, złożony w 1640-ym, Wielkopolskę chciał zabrać.

Jan Kazimierz uciekł na Ślązk z ojczyzny.

Rzeczpospolita ginęła w odmętach.

Zalali wrogowie kraj. Łupiono miasta, rabowano dwory i pałace, obdzierano mieszkania królewskie, nie było kąta ziemi polskiej niedeptanej stopą najeźdzcy. Lecz broniła się Jasna Góra i wieść o tem po ludzie szła. Lud dźwigać się począł.

Leżał Janosik Nędza Litmanowski z bandą swoją w szałasach pasterskich w lasach pod Babią Górą.

Trzy lata wojował on ze szlachtą i ustać ta wojna nie chciała, ani nie mogła, bo Janosik na szlachtę napadał, szlachta na Janosika polowała. Ale mu dorównać nie mogli. Na złotogłowiach Janosik po lasach sypiał, małmazyę pijał i słodkie ciasta jadał i śmiał się. Wesoło mu było, bo zwyciężał.

Banda jego, z kilkudziesięciu ludzi złożona, ciągle nowemi siłami odświeżana, mogła była regularnemu wojsku cesarza za wzór służyć karności i sprawności.

Migiem Janosik wydawał rozkazy, a rozumiano je i spełniano.

To też setki ludzi liczące chorągwie pańskie i biskupie i wojsko kwarciane nic mu uczynić nie mogły, owszem pod bokiem żołnierzom łupił, palił i wieszał, nie gorszy szlachty wróg od kozaków, Rosyan i Szwedów.

Ale chłopi polscy go błogosławili.

Gdzie się pojawił, tam kończyła się krzywda, bezprawie i ucisk, a nawet nędza i głód. Bo Janosik złych panów tłumił, a biednym ludziom hojną ręką sypał srebro i złoto złupione. I szeroko rozsłynął po Małopolsce białorucy hetman zbójecki, w pasie o złotych klamrach i złoconej czapce.

Ale cofnął się Janosik w lasy górskie, albowiem zagęściło się od szwedzkiego żołnierza.

Przypadł w lasach i czekał; w ostatku już i o powrocie pod hale czasem myślał. Czwarty

rok toczył boje za krzywdy chłopskie. Pod naciskiem Szwedów już i na ciemięztwo chłopów szlachcie sił braknąć zaczęło, a łup we dworach stawał się coraz marniejszy. Leżał w lasach babiogórskich, pił, grano mu i weselił się w puszczy.

Księdzu opatowi tynieckiemu brzmiały i grzmiały w uszach słowa Kostki: wstań! weź krzyż! pastorałem nową Polskę zbudź!..

I w celi swojej na Tyńcu, na śniegami pola przyprószone patrząc, rozmyślał on, coby dla Polski uczynić miał i coby uczynić mógł. A w cudowną obronę Jasnej Góry patrząc, przeczucie miał, iż ztamtąd zbawienie i ocalenie przyjdzie. I zrozumiał że aby Rzeczpospolita się dźwignęła, głowy jej trza.

Głowa ta była na Ślązku, zagranicą i sprowadzić ją trzeba było.

Lecz jak? Szlacheckie hufce jej nie zwiodą, bo ich nie stało.

I znowu przypominała mu się mowa Kostki:

na jedno słowo wasze, biskupi, na widok krzyża we waszych rękach — my zwycięzce!..

Myślał ksiądz bisbup Pstrokoński, że jeżeli kto króla że Ślązka do kraju powrócić może, to

jeno chłopi, górale beskidowi, że bez ich pomocy przez góry i wąwozy górskie nie przewiedzie go ze Ślązka nikt.

I myślał ksiądz biskup Pstrokoński, że jeżeli głową Rzeczypospolitej jest król, ramionami magnaci i duchowieństwo, piersią szlachta rycerska, to brzuchem siłę członkom dającym i nogami, na których ciało Rzeczypospolitej stoi, są chłopi.

Dochodziły go wieści, że król pod wpływem cudownej obrony Jasnej Góry do kraju chce, że się doń rwie, że powiada, iż polegnie w ojczyźnie, ale jej więcej nie opuści; wiedział też, że uniwersał królewski, który za namową żony swojej i wielkiego marszałka koronnego, Jerzego Lubomirskiego, z Opola na Ślązku dnia 20 listopada do Polski wysłał, a w którym między innemi pisał:

„Jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak per consequens, by też każdy z własnymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszna, na jaki odpór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzcie. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słuszne już wojsko z siebie uczyniwszy, wodza nad nim wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie"—wielkie uczynił wrażenie. Już tu i owdzie nawet chłopi zrywali się i pomniejsze oddziały szwedzkie znosili, już ruch szedł po kraju, potrzeba było tylko jednego wstrząsu, aby kraj porwał się wzdłuż i wszerz, a tym wstrząsem potężnym byłby powrót Jana Kazimierza.

Wielekroć biskup Pstrokoński rozmyślał, czy dobrze uczynił, pomocy swej synowi Władysława Czwartego, Leonowi Kostce odmawiając? Czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby król taki chłopski, jakim się być Kostka zapowiadał i głosił, na jego tronie zasiadł, czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby owa ciężka i pono jedna ze straszliwszych w Europie niedola chłopa polskiego, skończyła się była? To niewątpliwem było, że ogromne masy chłopskie, raz przeciw szlachcie zbuntowane i ruszone, mimo zbroic i waleczności zalałyby ją były, jak ją zalał Chmielnicki na Ukrainie. I to pewnem było, że za królem, któryby był ich dobrym ojcem i przeciw okropnemu uciskowi szlachty idący chłopi, byliby nietylko Chmielnickiemu piędzi ziemi urwać z granic z Rzeczypospolitej nie pozwolili, ale byliby tych granic niezłomną ochroną się stali. Myślał ksiądz Pstrokoński, zali dobrze zrobił w on dzień wiosenny Kostki wysłuchać nie chcąc, zali nie było drogi połączyć posłuch dla Rzymu z nowatorstwem politycznem, niesłychanem, a jednak może dla Polski do gruntu, do podstaw zbawczem?.... Zali może ów Kostka, ów nieprawy syn nieboszczyka króla, tyle chłopstwu przychylnego, nie był zesłańcem Opatrzności, któremu marnie zczeznąć dozwolono?.

Cokolwiek bądź, królem polskim był Jan Kazimierz.

I szalona biskupowi myśl do głowy przyszła: oto Janosika Nędzę w Beskidzie odszukać

i zeń wprowadziciela królewskiego do granic ziemi polskiej uczynić.

Za natchnienie Boże to sobie później biskup miał i myślał, że Szaweł stał się Pawłem i że i przez łotrów dzieje się wola Boska, a nawet i dzieją się rzeczy święte.

I nie mieszkając, jakoby jasnowidzeniem jakiemś ten mąż pobożny i nad niedolą ojczyzny spłakany, iż łzy mu, „jako druga Wisła" płynęły po licu, ujęty, do sanek pewnego grudniowego dnia zaprząc kazał, opactwo swoje na czas księdzu Silvie, Hiszpanowi, zdał i samotrzeć z pachołkiem woźnicą i strzelcem gajowym, rusznic od wilków, lub i ludzi do sań nabrawszy, ku Beskidowi ruszył.

Trudno się o Janosika dopytać było, jedno, że on z lasów wychodził, ale gdzie w lasach przebywa, nikomu nie obwieszczał, drugie, że chłopi zdradzić jego pobytu nawet księdzu nie chcieli.

Podprowadził księdza Pstrokońskiego pod obozowisko Janosikowe leśny pana Zebrzydowskiego z Zawoi i ukazał kierunek, w którym się udać trza, aby do obozowiska Janosikowego na polanie dotrzeć.

— Niech was Bóg prowadzi, jegomość — rzekł — dojedziecie tą leśną drogą, małe pół mili ztąd. Ale wy to gorzej wilkowi — dyabłu w gardło leziecie!

— Za wolą Pana naszego Jonasz z wnętrzności wieloryba, a Daniel z lwiej jamy wyszedł —

odpowiedział mu biskup Patrokoński i kazał ruszyć w górę.

Droga była leśna, którędy chłopi nawóz z polany w zimie na saniach z osłonami zważali, bo wozem przejechać byłoby niesposób. W jar wjechano, że często po pod drzewo przezeń górą przewalone, jako pod „arcem triumphi" przejeżdżać trzeba było.

Pachołek po lewej, gajowy po prawej ręce drogi przed saniami szli i śnieg kapcami deptali, bo konie na beztorze byłyby nie wyciągnęły, a w lic je, jeden przed drugim zaprzężono, aby zbyt bokami nie zapadały. Cugli trzymać nie było trzeba; jedna tylko droga była i konie za ludźmi szły, a biskup biczem śmigał i pokrzykiwał.

Straszny to las był i dziwował mu się biskup niepomiernie. Olbrzymie drzewa w nim rosły splątane gęstwą, igły z liśćmi, a najwięcej smreki z buczyną. To też nietylko tropy, ale i stada dzików i pojedyńcze odyńce i wycinki zgoła na blizkie oko jadący widzieli i nieraz konie spłoszone za uzdy łapać trzeba było. Wilki się ukazywały, ale je strzałami z pistoletów odganiano.

Zdawały się też znać mores przed ludźmi, co sobie biskup blizkością bandy Janosika, która pewnie nie żartowała z niemi, tłomaczył.

Niedźwiedzich śladów też moc wielką spotykali, ale te ślady na dawno nie kurzącym śniegu zatęgłe były i uważali, że niedźwiedzie już spać pod wykrotami dawno musiały.

Godziny całe jechali już i już popołudnie nadeszło, a biskup się uspakajał w duszy, że przecie takie półmili i pięciu krakowskim milom wyrówna.

Wtem chłop mu zastąpił wysoki, barczysty, a śmigły, a zanim trzech innych, zbrojni wszyscy w ciupagi, noże, pistolety i rusznice.

Ścierpł biskup, choć po to, aby się ze zbójami zobaczyć, jechał.

— A ka to jadom? — zapytał wysoki chłop, przystępując zblizka.

Cóż za surowy widok! Włosy po ramiona, twarz od mrozów i wichrów zapiekła, dymem i żarem ognisk ogorzała, czapka na nim barankiem obszyta, z uszami, z suknianem granatowem dnem, z kutasem czerwonym u góry, ze złotemi czterema galonami na sukno w gwiazdę od kutasa naszytemi, kożuch rozchylony, krótki, a pod tem widno pas klamrzysty — portki w kapcach z sukna białego do kostek, a powyżej ponad nie prześlicznie granatowo i czerwono wyszywane z białego sukna również „pończochy" się wydobywały. Rękawice też białe, o jednym palcu, wielkim kunsztem z wełny białej, czerwonej i granatowej plecione.

Wszystko to jasno, choć las był, od śniegu odbijało i biskupowi w oczy wpadło.

— Ka jadom?

— Do Janosika Nędzy.

Zdumiał się chłop, jakby źle usłyszał.

— Ka? — powtórzył.

— Do hetmana, Sobku, powiadajom—ozwał się góral za przywódcą stający.

— Do hetmana? Ze dy hań niwto niémoze iść.

— Jam ksiądz, opat tyniecki, biskup — rzekł ksiądz Pstrokoński — i samotrzeć, jako widzicie, jadę, a nie puścicie mnie nazad, choćbym zaprzysiąłg, że nie wydam, to wasza wola.

Pozdejmowali chłopi czapki, popatrzyli na siebie.

— A po co?

— Prośbę mam.

— Do nas jyno hłopi prośby majom.

— Mam ją i ja.

Popatrzeli chłopi znowu na siebie, podejrzliwie i nieufnie, ale ten, co się wpierw odezwał, przemówił:

— Puśćmy ig jahać, Sobku, telom dal w las wjehali, a i pewnie kajsi z precka jadom. Ze dy ig jyno trzok, a jak prośbe majom i za biskupa sie głosom —

— No to jedźcie — rzekł Sobek. — Idze ty Kuba ś niémi, coby wiedzieli na sałasie, jeze my sie widzieli.

Ruszył chłop owy przodem.

— Warta? — zapytał go gajowy biskupa.

— Hm — mruknął chłop. Pytać niebyło po co.

— Wojskowy u nich moderunek — pomyślał

biskup. — Grzeczna czata, że lepszejby i pan Czarniecki nie sformował...

Rozwidniło się przed biskupem i dachy ujrzał.

— Tu to będzie — pomyślał i mimowolny dreszcz go przeszedł.

Niebawem też zobaczył szałasy szopy wielkie; dym bił nad dachy. Polana była szeroka, lasem dookoła otoczona.

Wysypali się chłopi naprzeciw w zdumieniu niezmiernem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił ich biskup.

— Na wieki wieków!— odpowiedzieli. —Kuba, a to wto?

— Biskup.

Poodkrywali chłopi głowy, a wraz też Janosik Nędza przed szałas bacowski wyszedł.

— Hej tam! Wto jedzie? — zapytał.

— Biskup!

— Biskup? Jaki? Skąd?

— Z Tyńca!—zawołał ksiądz Pstrokoński.— Opat benedyktyński, tyniecki.

— Witajcie! A cego sukajom?

— Janosika Nędzy Litmanowskiego.

— Ja haw — rzekł Janosik.

Biskup podjechał już popod szałas.

— Prosem, nieg racom. Ino ostrożnie, bo próg wysoki, a ocap nizki — zapraszał Janosik, pomagając biskupowi wysiąść. I do ludzi swoich

wskazując konie i służących biskupich się zwrócił wziąść, jeść i pić, postawić w cieple!

Wstąpił biskup do szałasu ponownie Pana Boga chwaląc, a z szałasu mu „niegze bedzie" stary Sablik, Krzyś, Maryna Toporówna i obsiedli koło ogniska chłopi odpowiedzieli.

— Prosem. Nieg siednom — zapraszał Janosik, podając siedak samorodny, trójnożny.

Jeść i pić przed biskupem postawiono: mięsiwo, pieczeń jelenią i wino i miód, że lepszych i w Tenczynie za panów Tenczyńskich, co w złotych strzemionach jeździli, nie pijano.

— Z zacnych to piwnic zrabowane — pomyślał ksiądz Pstrokoński, smakując. Pił, jadł, gościnnie i godnie traktowany, i pozierał dokoła. Szałas zaopatrzono na zimę, mchem szpary utkano, a watra paliła się taka, że i w najtęższe mrozy można się było przy niej zagrzać. Na ścianach wisiała broń, po domach porabowana szlacheckich, i makaty, ztamtąd poznoszone. Ludzie zaś, którzy księdza otaczali, dziwne na nim czynili wrażenie: dzicz razem z jakąś górnością malowała się w ich twardo rzeźbionych twarzach, a obejście ich miało cechę rodzimej dworności, u prostaków nie spotykanej.

Patrzał ksiądz opat Pstrokoński na Janosika, ten się go zaś delikatnie nie pytał, po co go widzieć chciał, aż sam mówić zacznie.

Aż ksiądz Pstrokoński nagle wstał, przeżegnał krzyżem po nad głowami obecnych i rzekł podniesionym głosem:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Zbójcy wy jesteście!

Uczyniło się cicho w szałasie. Aż po chwili odparł Janosik, nie wstając z ławy pod ścianą, na której siedział nogi wyciągnąwszy ku ognisku:

— Księze biskupie, cyście po to przyjahali?

— Zbójcy jesteście — wołał w uniesieniu ksiądz Pstrokoński — rabusie, podpalacze i morderce!

Nie po toż przyjechał, sam się owładnąć nie mógł, uniosło go oburzenie na łotrów.

Janosik zaś rzekł:

— A panowie Cikowscy, Lanckoroński, Stadniccy, Bylina, Lesc, co z hłopów zywcem pasy darli, batami zabijali i dobytek hłopski psami gońcemi zezerali, byli co?

Zmieszał się i stropił biskup, bo wiedział, że Janosik prawdę mówił. Ów zaś wstał na całą wysokość swoją, głową pod pułap sięgając, śniady i na orlej twarzy podzióbany, i potężnym głosem przemówił:

— Ja se w Polanak, we wiérhak siedział, a jagek zbójować seł, to na Węgry. I ludziom biédnym jek dawał, bo zbójnik świat równa i na to go Pan Bóg stworzéł i opiekuje go. Ja tu do Polski nie seł. Ale przyśli ku mnie z płacem i lamentem, przyśli hłopi tacy, jako i ja haw, i na panów o pomste wołali. Ja tu hłopów przed panami bronić i na panak za hłopskie krzywdy mścić sie prziseł. Rabusia, podpalowaca i morderce mi

ksiądz biskup zadajom — no to bier krzyz i przed hłopami stań i broń ik! Haj!

Grzmotem słów napełnił Janosik Litmanowski bacówkę zawojską.

Ksiądz Pstrokoński zaś wzniósł ręce do góry i zawołał:

— A jako Szawła w Pawła Pan zamienił, tak ja cię, zbójecki herszcie, w kraju obrońcę zamienię!

Pojrzeli na siebie chłopi; nie rozumieli mowy.

Biskup Pstrokoński wołał:

— Pan nasz i ojciec, nas wszystkich, król Jan Kazimierz na Ślązk przed Szwedami uszedł. Najświętsza Panna Marya klasztor Jasnogórski ocaliła i duch w narodzie się dźwiga, otucha w zwątpiałe serce wstępuje. Już się miejscami nawet chłopi ubodzy, prostaczkowie, podnoszą, wrogów wdzięcznie, z pobożności ku Najświętszej Pannie biją. Król pan powrócić pragnie, na czele rewolucyi przeciw najezdnikowi szwedzkiemu stanąć. Na Ślązku on cesarskim w Opolu siedzi, ztąd niedaleko, za górami. Górale! Króla do Polski przez wasze góry wprowadzić trza!

A na to Janosik, który był usiadł i nogi ku watrze wyciągnął, rzekł:

— A mnie do tego co?

— Jakto co?—zawołał ksiądz Pstrokoński.— Wszakżeś ty Polak, Polski, Rzeczypospolitej syn!

— Ja jest Polak, a hań, za Tatarami Luptacy i Węgrzy; a dołu Lafy.

— Jakie Lachy?

— Ze dy ci, co ku Krakowu i w Krakowie mieskajom.

— To przecie właśnie Polacy! Bracia twoi!

— Moi bracia, górale, w kyrpcak hodzom. Lafy to odmienny naród.

— Wszakże mowa ta sama!

— Jedy ta i ryby majom mowe tensamom, zadna nic nijako inacy jako druga nie powié, a pstrągowi głowac to brat? Abo łososiowi brzana?

— Ależ człowieku! Przecie król wspólny nad wszystkimi!

— No to i niedźwiedź gazda Tatrom, a bez to kozica z liskom wraz wody pić nie hodzujom.

— Nie kochacie króla waszego?

— Ja go niewidział.

— Nie chcecie potrzebującego pomocy wesprzeć?

— Jedy jek z Polan zeseł i štyry roki potrzebującyk pomocy wspiéram.

W uniesieniu jął ksiądz biskup Pstrokoński o królu opowiadać. Jak w Warszawie na zamku żył, jak władał i panował, jak uciekać i tułać się musiał, aż Krzyś, który w kącie na ławie leżał, ozwał się:

— Zéj to tak, jakkieby gazde z hałupy wyścigali.

Na to podniósł Janosik głowę i rzekł:

— Gazde nik z hałupy wyścigać nieśmié.

Ucieszył się ksiądz Pstrokoński niewymownie na ten Janosikowy ruch.

— No ale tu właśnie tak, tu właśnie tak! — zawołał. — Szwedzi króla z kraju, jako gazdę z gazdowstwa wygnali!

— He! — ozwał się wtedy Janosik. — Ja na to nie podzwole. Zbójnik świat równa! Idziemy!

Rzucił się ku niemu biskup Pstrokoński i w objęcia go chwycił.

— Zbawionym ty jeszcze będziesz! — krzyknął. — I pamięć twoja nie zaginie! I król nagrodzi!

— Ja o nadgrode nie stojem — odpowiedział Janosik. — Mam swojego dość, jesce zwyse.

— Jyno Janosik tak uwazuje — ozwał się milczący stary Sablik — ize gazda gazde bronić powiniéł. I ja tys takiéj myśli. Bo na kigoz by dyabła, aj dyabła sytko wysło, jakby świat na gazdak niestał?

— Jeden ma małe, drugi wielgie — rzekł Mocarny — ale gazda gazdom. Michna bogac z Koniówki ma śtyry hale, a król ma kraj.

— He! — odezwał się Krzyś. — Kieby sie ci dwa ześli, wiedzieli by dopiéro uradzać! Tele majątki!

— Gazda za gazdom ma stać. Bo dziś tobie, jutro mnie — rzekł Gadeja.

— Dzisiok bryje na pomyje,
a jutro je sam wypije! — przyśpiewał Krzyś.

— A i to rzec — rzekł Sablik — coby gazdowie ku sobie w równości béli, gazda gazdy godny.

— Michnaby se mnom ani przegadać niefciał — wtrącił się Krzyś.

— Ale z królem by móg gadać — odparł Gadeja.

— No to jakby Michna z królem móg gadać, to Janosików ociec tys—ozwał się Mateja — bo nie wiem, cy płońsy gazda?

— E, hłopcy, nie płońsy!—rzekł Mocarny.— Lepsy! Jesce o kielo!

Lecz Janosik przerwał mowy wstając i mówiąc:

— Jutro, lem świt, idziemé na Świedów. A dziś, kie mamy gościa, a i jesce ig biskupiom miéłość, niek haw bedzie wesoło! Dorućie na watre!

A gdy watra płomieniem dachu sięgać jęła, a wino złote, woniejące, z piwnicy pana Pongracza, pana na Mikułaszu Liptowskim, potokami ze srebnych, w krysztale rżniętych, złoconych i szczerozłotych szlacheckich puharów popłynęła i ochota okrutna, jako zwykle przed wyprawą, jeszcze tak straszną i niezwykłą, ludzi ogarnęła, poczęły się snuć opowieści jedna za drugą, osobliwie zaś starzy Sablik i Krzyś cuda prawili.

Że zaś biskup był wesoły, jemu mogące być miłe opowiadki zbacowano.

Sablik mówił:

— Kie, prosem pięknie ig miéłość duhownom, Paniezus stworzéł świat, to sie obeźrał, ośmiał sie i tak se pedział:

Bars ja to syćko dobrze porobiéł. Jyno niewiem, cy sie Jadamowi nie bee kotwić, bo je sam, haj.

Trza mu końcem sprawić jakom zabawke, coby sie ś niom przy casie zabawiéł, coby mu sie nie kotwiło.

Tak se pedział Paniezus.

I dobrze nie bardzo, zawołał:

Jadamie! Hybaj ze haw.

Jadam prziseł, ale sie mu straśnie łydki zacény trząść, bo sie Pana Jezusa straśnie bał, haj.

— Légaj! — pada mu Paniezus.

Jadam pilno lóg, ale so pomyślał:

— Ę, bedzie cosi, bedzie źle—i łydki zacény mu jesce mocniéj dygotać.

Paniezus porusał na pościeli ręcami nad nim, tozto pilno usnon. Wyjon pote, prosem piéknie, składak z tórbki i wyrznon mu we śnie ziobro. Ale to béło straśnie brzydźkie i masne, tozto prasnon na brzyzek, coby oskło.

Dyascy nadali psa. Zakradła sie kanalija, łap ziobro i w uciekaca ś nim do dźwiérzy Raju.

Paniezus łap kija i daléj za nim.

Ale pies wartki, a Paniezus stary, i niémóg go doleciéć i hycić, coby mu ziobro wydar.

Lecom, lecom, jaze przyilatujom do dźwierzy Raju, a pies juz beł we dźwiérzak.

Toz to Paniezus telo ścignon, co wartko dźwiérze kopnon.

Dźwiérze sie na zaworke zaparły, ucieny psu ogon, ale pies uciók, haj.

I dobrze nie bardzo, co Paniezus nie robi, wzion ten ogon pote, obézrał, zgniéwał sie i pedział tak:

Cekaj jyno ty! Ja ci i tak pokazem, zek cosi kajsi wart!

Tozto zgniéwał sie, łapił ogon i z tego ogona stworzéł babe, haj!

Śmiał się ksiądz biskup Pstrokoński, pijąc wino wśród zbójów leśnych.

Zaś Krzyś, który był wielki zbereźnik, tak opowiadać począł:

— Nastały raz straśnie złe roki. Nic róść nie kciało i głód béł wielgi wsędy!. Jaze béło dwók kumotrów i jeden drugiemu tak pada:

Wiécie co, kumotrze, ja mam jarzec, a wy macie stajanie prózne, dajcie mi jedno stajanko, a ja wam siacia dam. Zasiejemy, urośnie nam. Kiby to dyascy byli, coby nie urosło!

I tak zrobili.

Zaziérajom, hodzom, ale nie kciało róść, jyno taka biéda. Straśnie béł płony ten jarzec. Ale tego kumotra, co jarcu dał, jesce béł płońsy, mniejsy. Zgniéwał sie i pedział: bier dyable taki jarzec!

Poseł du domu i straśnie mu smutno béło. Ale kie znowa na jarzec poseł zaźréć, béł juz wielgi, więksy jako kumotrów. Wartko poleciał du domu, wyklepał kose i hybaj kosić!

Przyhodzi na zagon, pobrusiéł kose i zacion. Jaz tu w te razy wyskocy dyaboł. Łap mu za kosisko i pada:

— Stój! Nie bees kosiéł.

— A bez co?

— Bo jarzec mój.

— La cegos twój, kie ja go nasiał?

— Temu, ześ pedział „bier dyable taki jarzec”, noto ja se go wzion. Kazałek mu rość i teraz se go bedem kosiéł, a ty nié!

Wzieni sie za garła.

Hłop ze béł mądry gazda, dyabła się niebał. Trzimał sie setnie na nogak, a straśnie go prał po pysku. Jaze mu dyasek tak pada:

— Wiés co hłopie? Załózmy sie.

— Ja nie od tego.

— Wto na piékniejsej kobyle przyjedzie jarzec kosić, to jego.

Hłop przistał; co miał robić.

Zaseł du domu, łeb zwiesił, bo jakoz to dyabła kobyłom przebrać, kie ani konia w stajni nie było.

Baba jego smutek uźrała, ospytuje sie, cegoby taki smutny być miał.

Tak i tak hłop jej powiada. A baba na to: O dajze pokój, dajze pokój! Zej do jutra sie jesce nieraz namyślimé. Mamy cas.

No i co sie nie stało.

Raniućko, lemze świt, jehał dyasek kosić jarzec na kobyle siwej, talarkowatej, co kwiatek, to béł na niéj iny.

Hłop se ta zaś jyno wyjehał na gołej babie. Jaz go dyaboł uźrał i z daleka juz wołał: Bier jarzec! Koś jarzec! Twój jarzec!

Bo ona, ta hłopowa kobyła, béła śmyśna.

Tam, ka miała mieć grzywe, to miała ogon, a ka miała mieć ogon, to miała grzywa. Haj.

Ksiądz biskup Pstrokoński, opat tyniecki, który Jana Kazimierza do kraju z ucieczki sprowadzać i kraj od Szwedów ratować pragnął, tak się śmiał, aż złocistem winem pana Pongracza szaty pokropił.

Jeszcze mu, gdy już spać miał na futrach zrabowanych lec, odmówił Gadeja „ojczenasz góralski" i przeżegnał się na prędko: „Panie ojce, bądź w miłości, jako tako na prędkości!"

Ksiądz biskup go w łeb trzepnął, ale łzy ze śmiechu chustką jedwabną ocierał.

Tańczyli też chłopi w jednem miejscu, bo miejsca skąpo było, drepcąc i podskakując, a ksiądz Pstrokoński dziwił się zarówno dzikiej monotonnej, zapamiętałej muzyce, jak i równie dzikiemu, monotonnemu a zapamiętałemu tańcowi, do którego trzeba mieć było istotnie „nogi ze stali", „abo mi ig dyabli dali". Dziwił się też niezrównanej lekkości, zgrabności i wytrzymałości tancerzy, a najbardziej podziwiał, gdy tancerz, na końcach palców u stóp stanąwszy z wyprężonemi nogami, niesłychaną ilość razy pięty w powietrzu umiał niezmiernie prędko zbliżyć jedna ku drugiej i rozdalić, jednej o drugą nie uderzając, co się księdzu biskupowi widziało sztuką godną baletu francuzkiego, o którym cuda opowiadano.

Zwano Marynę Toporzankę do tańca, ale pójść nie chciała. Siedziała posępną myślą trawiona w kącie szałasu, a gdy ją nagabywano, aby

i babski taniec gościowi zaprezentowała, zabrała się i poszła.

— A to kto, ta kobieta? — zapytał ksiądz biskup Janosika.

— Siostra tego tu haw hłopa — odpowiedział Janosik, wskazując głową Sobka Topora. — Orlica to zbójecka — dodał. — Za dwók dobryk hłopów obstanie.

— I rabuje?

— Rabować to ta ona nie rabuje, ale jéj wse do działu dajem i oskrabinami niezbywam - rzekł Janosik.

— No więc co tu robi? Gotuje wam jeść i grzech z wami płodzi?

— Jeść ugotuje, ale grzyhu nijakiego nie płodzi. Sprógować tu jeden fciał, taki Juro z Lasku, juz nie zyje, bo go harnicy biskupa krakowskiego zastrzelili, ale sie odrazu nogami nakrył. Ona nie rabuje ale sie bije, jak na to padnie, co ani ja, ani jej brat, ani tu zaden pomiędzy nas lepi nie zdolimy. Ona sie mści, bo jom ślakcic porwać fciał i w Ciorśtynie jom przy panu Kostkowi buławom wycion, co na ziem spadła zamglona.

— Przyślejcie ją do mnie, nim ztąd ruszymy—rzek biskup.

— Dobrze.

A gdy sen morzyć wszystkich począł i spać się jedni porozchodzili po szopach, drudzy w szałasie poukładali, ksiądz biskup szparą, którą dla dymu w ścianie szałasu między drzewami zostawiono, odmawiając modlitwy, na świat Boży jął

patrzeć. Gwiazdy widział tak wyiskrzone, jak nigdy w dolinach, na tak czystem, iż się zdawało szklannem niebie. Zebrała go ochota i otuliwszy się we futro, siadł na progu przed szałasem. Las stał dookoła niedowypowiedzenia cichy i spokojny. Niebo w nieskończoność rozesłane jasno-zielonawo błękitne wisiało ponad nim, jako olbrzymia rola gwiazdami uprawna i gwiazdom matka. Białe śniegi polany przed biskupem, otwarte szeroko, milczały tak samo, jak las i gwiazdy. O równej ciszy i równym spokoju nie miał ksiądz Pstrokoński pojęcia. I jeszcze go potęgowała i podnosiła jedna mgła, podobna do słupu dymu z ogniska, obłok nad lasem widny, nieruchomy, jakby lodem przemarzły.

— Zaiste—rzekł ksiądz biskup w swojej duszy — gdybym teraz anioła przelatującego zobaczył, nie miałbym tego za cud, tylko za zwykłe w noc zimową w górach zjawisko...

Wrócił do szałasu i legł na przygotowanem dla siebie posłaniu przy watrze, którą od czasu do czasu któryś z leżących koło niej górali poprawiał.

Wtem drzwi skrzypnęły i weszła Maryna. Miała ona swoje łoże w komorze przy szałasie, gdzie mleko w naczyniach stawianem bywa i rozmaity sprzęt się umieszcza, gdy się ją wybuduje.

— Nie śpisz to jeszcze? — zapytał ksiądz biskup.

— Dy prawie idem—odpowiedziała Maryna.

— Piękna noc—rzekł ksiądz.

— Nagodziéł Panbóg.

— Aniołowie dusz pobożnych pilnują.

— To cemuz na świecie jest grzyhy?

— Tak Pan Bóg dał umyślnie, aby człowiek o zbawienie miał starość.

— Nie lepi béło cłeka całke nie stwarzać?

— Gdyby człowieka nie było, nie mógłby być zbawionym.

— No to cozby mu o to sło? Nie suka cycków to dziecko, co sie nie urodziło. Bo nie głodne.

— Rozumu i wole Boskiej niech człowiek nie przesądza.

— Ale ciérpieć mu wolno, haj?

— Na to człowiek żyje, aby cierpiał i wycierpiał koronę niebieską.

— Nie zaobesełby sie? Bez piekła i bez nieba?

— Boleść jakaś przez ciebie mówi.

— He, jegomość, boleść ta jako boleść; dusa ludzka beze mnie mówi, bo jom w piersiak mam, jako i drudzy.

— Do kościoła chodzisz?

— Edź jek ta béła s pare razy.

— Do spowiedzi?

— Jak ta misyje przyjadom do nas; ale ik cosi ze śtyry roki niebéło.

— Tu co robisz?

— Sukam, cego nie najdem, tracem, cego niezbędem.

— Gadaj wyraźnie.

— E, jegomość, ma to dziéwka wyraźnie gadać, kie Panbóg nic wyraźnie niepedział?

— Bluźnisz. Bóg ozwał się przez Ewangeliją.

— Ja Go słysała w pierunak i grzmiotak, alek Mu nie rozumiała, co gadze?

— Chcesz pójść ze mną?

— Ka?

— Boga poznać.

— Ka? W doliny? Co Go hań więcél, jako haw? Więcél hań świéci gwiazd, hrubse lasy stojom, więcél wód? Cy sie hań jaśniéj łyska, głośniéj grzmi? Hurmawice hań więkse dujom i piékniéj ptaki w lecie po gajak śpiéwajom? Zorza hań więcél radosna, a na odwiecerz więcél spokojności w serce ludzkie z ćmom shodzi?

— Kto cię tak myśleć nauczył?

— Wto? Ze dy Panbóg, o wtorym gadacie. Kie syćko stworzéł, to i mnie, a kie syćko, to i to, co we mnie jest.

Zamyślił się ksiądz biskup Pstrokoński.

— Jak ci to na imię?—spytał po chwili.

— Maryna.

— Maryna—rzekł—patrz jak to pięknie: na niebie Pan Bóg mieszka, Aniołowie koło Niego, Święci Pańscy — chórem Mu śpiewają. Prawda, że pięknie i piękniej być niemoże?

— A na ziemi co?

— Jakto co?

— Ze dy haw, na ziemi?

— Na ziemię patrzy Pan Bóg z Aniołami i Świętymi i czuwają nad nią.

— Straśnie dobrze sytka robiom — rzekła Maryna.—Ale ziem teraz pusta.

— Jakże to pusta?

— Kiebyście, jegomość, słyseli staryk ludzi. Kie haw jesce Światybór władał! Podany on béł na niedzwiedzia, kudłaty i wielgi, a na głowie miał jelenie rogi. Strzóg on lasów z rąbanicom w ręcy. Kie seł bez las, na zadnik nogak, to jaze dudniało pod nim.... Strasny béł, ale jyno na tego, co lasom skodziéł. Cérwone ocy mu ze łba świéciły, w nocy, jak kaganki. Zedrzał niejeden lasowy złodziej, prasnon siekiére i uciók przed nim... Kie tu Pogoda bywała, pani złotego dnia i śrybnéj nocy... Skrzidła miała gołębie, a bratki po nik kwitły... Kie tu bywała Wiesna, co jej skowronki z garzci wylatowały, a uśmiéhała sie tak, jako słońce na jaworowyk liściak... Kie Lelki pilnowały skarbów, w paprociak pohowane, kie Majki i Drzewice promieniste po lasak goniły... Kie tu kwiaty i drzewa i ptaki z ludziami gwarzyły, kieś seł bez las, to tak, jak kieby tysiąc zwonecków koło tobie zwoniło... Di-i-i-tirlu-tirlu-tirlu-don-don-din-don-don-din-ri-li-li-ri-li-li-din-don-din-don-din-don.. Co drzewo, inom miało gware, co kwiat, co ziele, co ptak... Seł człek mówięcy po lesie, bawiący sie ś nim, nie tak, jako teraz, co ino ptaki śpiéwajom, ale im nic nijako nie wyrozumiés. Ka sie podziały. Promiennice nocne, co koło stawów po halak sia-

dowały, jak kiebyś lelujami staw obsiał i gwiazdami sie we wodzie bawiły? Ka som jest Miesięcne Panny we gmak nocnyk po wiérhak latające? Ka jest Zarnice, co rose siały i rose zbiérowały? Ka Ćmy, w cieniu leśnym popod splęciom konarów pohowane, jak zające? Ka Świt ze słońcem na głowie i cérwonemi skrzidłami i ka Olbrzym, co słońce z nięba znosiéł na ramieniak, jak juhas owce w śtyrbném miejscu z turnie? Ka som wodne duhy z trombitami i fletami, co sie kiejsi przed wiekami z capów i pastérek porodziły, kudłami obrośnione, z rogami koźlemi, na dwók nogak hipkające? Ka Połednice, co dziéwki za ramienia hytały i na kępy na grzibiecie kładły, co pote robiéł ś niemi co wto fciał. Dawały. I Wiośnianki, co sie na błyskawicak po niebie woziły? Ka sie to sytko popodziało? Przyśli księdzowie z panami, pocéni świente drzewa ciąć, dali krzize strugać i pospostawiali je i sytko przepadło... W jeziora pozapadowało, w groty, w jamy podziemne — jyno sie case ozwiom tak jako płacem...

— Maryna — spytał biskup — umiesz ty pacierz?

— Eć mie ta ucyli misyonarze, co u nas na Hrubém siedzieli, kiejek mała béła — odpowiedziała Maryna po chwili, jakby ze snu się budząc.

— Modlisz się codzień? — pytał dalej biskup.

— Modlem sie, kie modlitwa ku mnie przydzie.

— Jakto?

— Kie sie mi zafce, to sie modlujem.

— Codzień modlić się trzeba.

— Cy sie fce, cy nié? Ze coz to za taka modlitwa sukana, co jom za nogi hytać trza?

— Jakto? Nierozumiem ciebie.

— Modlitwa sie mi widzi tak, jak głód. Kie sie mi fce hleba — jem, a kie sie mi fce Boga, modlem sie. Jyno dusa nie telo nienazarta, jako ciało; temu trza i trzi i śtyry razy do dnia dać pojeść.

— A duszy rano i wieczór Boga.

— Cy Panbóg nie jest tak, jak dysc? Kie leje to leje, a kie nié, to nié? Przydzie ku dusy, to je haw, to sie módl, bo Go cujes blizo sobie. Modlitwy sie mi tak widzom, jako kwiaty pachnące; nie noś ig za pazuhom, bo usknom, ba wte woniaj, kie z ogródka pachnom.

— Maryna—rzekł ksiądz biskup Pstrokoński zdumiony—Maryna, szkoda ciebie.

— Hej, jegomość—odpowiedziała Maryna—jesce okiść z lasa obleci i bedzie ciepło, wiesna. Miéjcie dobrom noc.

— Dobranoc ci. Módl się, Maryna, i przestań grzeszyć.

— Kie mi dyaska zal! — roześmiała się Maryna. — Cozby robiéł, jakby my sytka w niebie béli? Kie dyabła Panbóg stworzéł, to se zaraz poméśleć musiał: stworzem i grzyhy, bo po cozbyk dyabła stwarzał? Kogo Panbóg stworzy, to go nieumorzy—padajom. Miéjcie dobrom noc.

I poszła za ścianę.

Zawinął się ksiądz biskup we futro. Jakże

mu dziwnie było... W obcem miejscu, w dziczy, pośrodku lasów ogromnych, wśród nietylko obcych ludzi, ale zbójów, wilków i niedźwiedzi... Groźne, potężne chłopy chrapały pozawijane w kożuchy, dery, futra porabowane i makaty wokoło niego. Dym z watry gryzł w oczy, piekł żar w jeden bok, gdy w drugi noc mroziła. Jakże daleko była wygodna cela klasztorna w Tyńcu, gdzie chłopak służebny drew do pieca dokładał, a łoże spokojne i wygodne było.

Ale oto jutro miał być dzień wielki... Miał król polski przez chłopów być wprowadzony w granice swego kraju...

Ah! — myślał ksiądz biskup Pstrokoński w drzemotę zapadając. — Zali jeszcze kiedy chłopi polscy większego, niżli ten i srożej i przez większych nieprzyjaciół wygnanego z królestwa swego króla, na rękach swoich nazad do kraju nie wniosą? Zali nie przyjdzie czas, kiedy tak sroga opresya spadnie na Rzeczpospolitą, iż stan szlachecki nie starczy na jej obronę, ale ile rąk mocnych w niej, tylu do zbawienia swego potrzebować będzie? Zali w srogim tetrminie szlachta niebędzie szukać chłopskiego hetmana, aby ratował, bo Rzeczpospolita tonąć będzie w morzu klęsk?

A klęski te i upadek przepowiadał wielki kaznodzieja ojca Jana Kazimierza, ksiądz Piotr Skarga Pawęski...

Janosik, przy nagromadzonych łupach straż w lesie babiogórskim na polanie zostawiwszy, ruszył o świcie na czele bandy. W pośrodku, na sankach, ksiądz biskup Pstrokoński, jadąc i pacierze ranne odmawiając, a Boga o powodzenie imprezy prosząc, podziwiał siłę, zwinność, lekkość Janosikowych opryszków, w każdym ruchu wśród ciężkiej drogi się objawiającą. Osobliwie zajął jego uwagę Sablik, siwy i stary, a tak zgrabny i lekki, że się raczej suwać po śniegu, niż stąpać po nim zdawał. Gęślicki w rękaw od czuchy wraziwszy, podpierając się toporkiem, szedł na równi z młodymi, z twarzy do starego sępa podobny i zamyślony.

— Ociec! — krzyknął nań biskup, gdy się koło sanek znalazł.

Sablik przystąpił bliżej.

— Ociec, o czem se też tak dumacie? — zapytał biskup.

—E méślem se, prosem ig miéłość duhownom, cy tys ta hań w niebie, kie u nas zima,

śniégi kurzom? Bo jakby hań zimy niebéło, to skądzeby sie u nas brała i skądby śniégi leciały? Ja tak uwazujem, ze ona hań by miała być jesce lepsa, jako tu, coby im hań śniégu nie hybiło, ba sie musi to zwysać, co tu na ziem leci.

Uśmiechnął się biskup, ale we futro, aby starego nie urazić, i ozwał się:

— He, któż to wie, jak to w niebie może być?

— Oni niewiedzom? — zapytał, lekko dworując, Sablik. — Dyć som jest na to uconi? Po śmierzci sie ta sytka dowiemé i wte telo bedzie wiedział dziad, co i ociec świénty w Rzymie, nie bójmy sie.

— Tylko trzeba sprawiedliwym na ziemi być.

— To to wej, mądrze radzom. Kie ja do Luptaka pod Krzywaniem z ruśnice, abo z proce mierzem, a on do mnie, to my oba sprawiedliwi, hoć sie kazdemu inacy widzi.

Skonfudował się nieco biskup Pstrokoński.

— Sprawiedliwość Boska jedna jest—rzekł.

— Jyno ludzkiéj telo, kielo ludzi na świecie— rzekł Sablik. — To tys to wej, przepytujem ig miéłość duhownom, niewiem, jako sie te ludzkie sprawiedliwości w tej jednéj Pana Boskiej sytkie do kupy zmiescom?

— Pan Bóg wszystkiemu poradzi — rzekł biskup.

— Wiémy. Dy przecie w niebie, w cyjscu i na ziemi gazduje, a i do piekła trza zaziérać,

boby sie dyabli ozbuhali, toby cud broili. Pan Bóg setny gazda. Jyno niewiem, co w zimie robi?

— Jakto?

— Stary Michna z Koniówki, ten bogac, abo Walcaków Mijałek, abo i haw Janosików ociec, co som hrubi gazdowie, nahrubsi w górak, no to se bez zime doma siedzi, mało kie i wyńdzie do pola, héba, za łaskom, za potrzebom. To ja se méślem, kie Michna, Walcak, abo Nędza mozom bez zime w hałupie siedzieć, to ta i Pan Bóg moc nie wyziéra, ba ino świenci i janiołowie słuzbe robić musom.

— A gdzieżby Pan Bóg siedział?

— Je doma. Dyj ta musi mieć dwór jesce nie taki, jako pan grabia Lubomirski we Wiśnicu, abo w Lubomli. Sozrąb w białej izbie cyfrowany, a ka jaki świenty obraz pod listwom, to gwiazdom przybity bedzie. A za listwom złote talérze.

— No to Pan Bóg gazda?

— Ze ba jakoz? Jesce nawięksy. Je wtozby wam gazdom béł, jak nie On? Syciek sprzęt gazdowski musi mieć. Tórbke, składak, ruśnice, ciupage — jak tu nas, biédnyk ludzi, stać na to, a Jego by hań, co sytkim światem władze, nie béło?

— A w lecie co?

— No to se uważcie sami, ig miéłość duhowna, co to za radość musi być cały świat od morza do morza, bo On ta Wsehwidzący, i niebo całe widzieć, a sędyl zboza, kwiaty i gaje młode.

Janiołowie to wiedzom i przeskadzać Mu niedaom to tys to uwazujcie, ig miéłość duhowna, ze na wiesne i w lecie zawdy ludzie lepsi, jako w zimie, abo w jesieni. Wiera haj.

Zadumał się ksiądz biskup Pstrokoński nad ciemnem i grubem pogaństwem tego starca, a Sablik, pomilczawszy chwilę, naprzód poświstał z cicha starodawną nutę myśliwską, potem zamruczał:

Hej Sablicek zbójnicek,
hej siekiérecka ostra —
nie jedna dusycka
bez niom w niebo posła...
Hej Sablik se zaśpiéwał,
ej Krzywań mu odpedział,
bo o jego sprawie
nik iny niewiedział...

A twarz jego przeciągnęła się i mgliste siwe oczy w dal zamierzchłą pobiegły.

— He, to obieś! — ozwał się z pełną galanteryi poufałością Krzyś do biskupa, gdy Sablik się nieco oddalił. — To obieś! Nie jednego on strzelca z Luptowa, abo z Orawy we wantak ostawiéł. Jemu nie zastempuj na dródze! Strzeli do cłowieka, jak do wilka.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknął ksiądz Pstrokoński. — Gdzieżby zaś?!

— Ę bajto! Béło ig trzok bratów, ten Jasiek, Józek i Jędrek. Kie na polowanie pośli, to kie jeden na Krzywaniu, drugi na Hrubym Wièrchu, a trze-

ci na Ostrej béł, to sie kapelusami, abo cuhami dogadowali. Ale jyno ten Jasiek ostał. Bo Józka zabiéł niedźwiedź, kajsi w Bobrowcu, a Jędrzka luptowski strzelec w Miegusowskiej Dolinie. He, to obieś, ten Sablik! Dość sie tu na Sąd Ostatecny nasukajom, kim te syćkie kości, co on je we wiérhak poostrzepał, najdom!

— Takiż to on?

— Taki. W rzecy grzecny człowiek, muzyka, uśmieje sie, uradzi — e, ale hań, w lesie! Jyno go juhasi radzi straśnie widzom, kie na polane zajńdzie, bo jak niedźwiedź woły bije, niémas nadeń! A na niedźwiedzia idzie sam, z ruśnicom, abo z łukem.

— Sam jeden?

— Sam. Worcek mąki weźnie, soli, abo i to nié, bo jemu jéj ta niekoniecnie, i idzie. Case go i trzi i śtyry tyźnie niéma. Baba juz i na msom za duse cosi ze trzi razy dawać hodziła.

— I gdzie siedzi?

— Na polanie ka, przy juhasak, abo w lesie. Znajom go po halak na Luptowie, na Orawie, na Spisie i daléj, po za Matre, po za Fatre, po za Hocz, sędyl. Bacowie, panowie, panicowie, a straśnie go radzi widzom, ze strzelec!

Zabawiał Krzyś księdza biskupa, aż i droga się wywinęła, którędy ku Krakowu wracać było można. Odpuścił ksiądz Pstrokoński bandzie Janosikowej grzechy i pobłogosławił, chłopi go w ręce całowali, a gdy się pożegnano, wziął się Janosik

ku Spiżowi, którędy słuchy szły, iż król ma do Lubomli, do pana Jerzego Lubomirskiego, wielkiego marszałka koronnego, jechać, aby ztamtąd akcyę zaczepną przeciw Szwedom rozpocząć.

Ostrożnie postępował Janosik, szpiegów rozsyłając, aby królewskiego gazdę tem pewniej na gazdowstwo wawelskie wprowadzić. Im dalej ku Wschodowi, tem śniegi były mniejsze, a twardsze, tak, że co pod Babią Górą po kolana zapadać trzeba było, to po za utok Jaworowej Doliny raczej trza było raki żelazne pod kapcė przyprawiać, bo się ślizgały. Gdy też Janosikowi Gadeja i Mateja wieści donieśli, iż Szwedzi, o przekradaniu się króla powiadomieni, w wąwozie nań pod Magórą Spizką czatować mieli, w mig Janosik plan walki powziął, a siła się już chłopów ku niemu po drodze przyłączyła. Cicho, jak żbiki, szli szpiegowie Janosika za rajtarami i szwedzką piechotą, a nim Szwedzi do wąwozu dotarli, już po obu stronach jego w lesie kilkuset chłopów na śniegach leżało

Głazy olbrzymie na rozkaz Janosika ze zmarzłego gruntu chłopi nadluzkiemi swemi siłami powydobywali i z gotowemi czekali nad uboczami, prawie nie pokrytemi śniegiem.

Czekali od rana, ale zimna nie czuli, tyle w nich było żądzy tej okropnej, śmiertelnej, zbójeckiej psoty, jaką wyrządzić mieli. Każdy przy głazie leżał i patrzał pomiędzy drzewa w dół.

Wtem zabiły im serca: naprzód ze dwustu

rajtarów z oficerami, potem paręset piechoty poczęło w wąwóz wkraczać.

Szli, niczego nie podejrzewając, niczego się nie spodziewając. I zaczaili się za zakrętem na króla.

Co za piekielna uciecha! Zasadzka na tego, co sam zasadzkę urządza. Byliby rżeli z uciechy, gdyby Janosik najmniejszego hałasu pod gardłem nie zakazał i gdyby się sami zepsuć sobie uciechy nie obawiali.

W żelezie jechała rajterya, w kirysach szła piechota — ale to proci kamieniom na nic...

Aż i z przeciwnej strony jeźdźcy ukazywać się poczęli.

Na przodzie jechał we futro odziany człowiek, za nim orszak nieduży, koło pięćdziesięciu ludzi liczący.

Jechali spokojnie, snadź niczego złego nie przypuszczając. Owszem, widać był, że jadą wesoło, jeździec na przodzie zwracał się często snadź z mową do jadących za nim towarzyszy. Król, król — szeptali Górale.

Wjechali w wąwóz. Orszak wydłużył się dla wązkości miejsca i posuwał powoli naprzód.

Wtem wrzask straszliwy napełnił góry, od którego konie spłoszone dęba stanęły i na zadach przysiadły.

Z obu stron wąwozu na rycerstwo szwedzkie zaczęła się toczyć lawina głazów.

Uczyniło się wśród Szwedów okropne zamieszanie. Konie i ludzie miażdżeni przewalali się i z ciał i ścierw tworzyły się kłęby i zwały. Ze wszech stron, jak długa linia wojska się rozciągała w wąwozie, leciały głazy. Przed siebie i za siebie jęli Szwedzi uciekać, ale w tej chwili gruchnął na nich grad kul z samopałów, strzał z łuków, kamieni z proc, a w ślad wynurzyły się ż mroku leśnego postacie i z niesłychaną szybkością zbiegając na dół, z ciupagami na szukających ratunku natarły.

Na hełmach i pancerzach szwedzkich zadzwoniły siekiery. Szwedom wydało się, że dyabły, i prawie bronić się nię śmieli, zresztą furya nacierających, zręczność, siła, stosowne do podobnej walki strój, uzbrojenie i pozycya łamały wszelki opór. Czego nie zgniotły głazy, rąbali chłopi. Zdala z za drzewa podziwiał Krzyś Janosika, Sobka Topora, Mateję, Gadeję i Mocarnego, którzy ciosami ciupag hełmy łupali, jak gonty, kiedyby się dach na domu palił. Ryk nieludzki grzmiał w górach i szczęk jak w olbrzymiej kuźni.

— Dyabli się wyzbiegajom z widłami—myślał Krzyś — bo bedom myśleli, ze haw strahotna kuźnia, coby im je posprascać, jak sie im pokrzywiły od ognia, ka męcom...

Orszak królewski tak się tym nieludzkim hałasem przeraził i tak od niego osłupiał, że nawet do ucieczki się nie rzucił. Nuncyusz papiezki i biskup krakowski Gębicki, którzy królowi towa-

rzyszyli, krzyżem świętym przestrzeń przed sobą żegnać zaczęli. Dopiero gdy pierwsi Szwedzi w popłochu z poza zakrętu wypadli, król szpady dobył, za nim szlachty i żołnierzy kilkunastu, a inni do ucieczki się rwali.

Lecz widok ścigających Szwedów i spadających na nich górali do reszty orszak królewski zdumił i osłupił. W oczach króla i towarzyszących mu panów i żołnierzy zarąbano rajtarów i piechotników szwedzkich. Gdy się zaś śmielsi z orszaku wraz z królem naprzód na to widowisko końmi poparli, ujrzeli chłopów bijących w kupę Szwedów poprostu jako praczki kijaniami w kupę bielizny mokrej walą.

— In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen! — zawołał król.

Co to jest?!

I patrzał na rzeź zachwyconym wzrokiem. Jego to pogromców gromiono. Kto pardon wołał, nie darowano zdrowiem. W okrutnej zapamiętałości, w żądzy mordu i przelewu krwi górale kosili Szwedów, aż nuncyusz papiezki oczy zakrył, a biskup krakowski wołać począł: Dosyć! Dosyć! Stójcie, chrześcijanie!

Nic to; dopóki ostatni stojący nie padł, ranny dobity nie został, straszna młoćba toporów nie ustawała.

Król ujrzał przed sobą zagrodzoną drogę — ale trupami.

— Ludzie! Ktoście wy?! — zawołał.

— Górale! — odpowiedziały zdyszane, ochrypłe głosy.

— Zkąd? Kto was nawiódł?

— Janosik Nędza Litmanowski z Polan!

— Dawaj go sam! — krzyknął król.

A biskup Gębicki zawołał:

— Chłopcy! Król przed wami stoi!

Naówczas poczęli górale odkrywać głowy z czap wełnianych, kołpaków baranich i kapeluszy sukiennych, które się od tłuszczu zakrzepłego nieświadomemu oku jako skórzane wydawały. Wielu w uniesieniu przypadło do rąk i butów królewskich.

— Gdzież wasz wódz? Gdzież ów Janosik? — pytał Jan Kazimierz.

Wystąpił Nędza naprzód. Cały krwawy, od czapy po kerpce; z czerwonej ciupagi po toporzysku krew mu ciekła.

— Aleś to widzę z jatki przyszedł, rzeźniku! — zawołał wesoło król, jako był skory do śmiechów.

Janosik czapką króla pozdrowił, nazad ją na głowę wdział, wsparł się na ciupadze i ręką w bok i rzekł:

— Jedźcie, panie królu, na gazdowstwo wase!

— Człeku! Czapę ze łba! Do króla mówisz! — krzyknął biskup krakowski.

A któryś ze szlachty z orszaku wściekłym głosem wrzasnął:

— Na kolana! Cham!

Z piorunami gniewu w oczach zwrócił się Jan Kazimierz za siebie, ale nim usta otworzyć zdołał, pogardliwie, a wyniośle Janosik odpowiedział:

— My oba do sie i w capkak mozemy radzić, bo my wolni. A wto sie do paholstwa cuje, nieg capke séjmie. A klękać to mie jyno przed Pane Boge ucyli w kościele.

Nie śmiał się nikt nic ozwać na gniew królawski, na twarzy Janowi Kazimierzowi widny, ksiądz biskup Gębicki zaś, aby zło zażegnać, rzekł:

— Nim w Krakowie na Wawelu „Te Deum" zaśpiewamy, tu „Ciebie Panie chwalimy" zaśpiewajmy, a wy, chłopi, ziemskiemu swemu panu drogę przez trupy szwedzie rozgrodźcie!

Wzięli się chłopi do roboty, Jan Kazimierz zaś Janosika pytał:

— Jakiej nagrody chcesz?

Janosik myślał chwilę, snadź namyślał się, potem rzekł:

— Wytnijcie, królu, tego, co mi klękać przed wami kazował, w pysk.

— Może i to być! — zawołał wybuchając śmiechem król. — A więcej czego chcesz?

— Nic — odpowiedział Janosik. — Ja wam pomóg, jak gazda gaździe. Wracajcie się na gazdowstwo swoje.

Śmiał się król.

— Jakby ci trza było, z Krakowa z chorągwiami pancernemi pod Tatry przyjadę!

— Mnie hań nietrza bedzie. Ja se wse rade dam sam.

— Szpetnie nam przymówił — zwrócił się król do orszaku. — No, Janosiku, czem mogę, to ci dziękuję, w podróży!

I kiesę złota z kieszeni spodni wyciągnąwszy, pod nogi Janosikowi rzucił. Za przykładem tym poszli biskupi, panowie i szlachta, towarzysząca królowi. Złoto potoczyło się na śnieg.

— Biercie, hłopcy, jak wam wola — ozwał się Janosik do górali, którym na widok sakiewek dusze i ręce trząść się poczęły, a którzy i Szwedów na gwałt obdzierali — a wy, panie królu, przymcie zaś ode mnie to!

I ciupagę swoją krwawą ku królowi wyciągnął.

— Bierz! — zawołał Jan Kazimierz na rękodajnego, który stał na koniu podle. — Bierz! Bo oto przez chłopską siekierę do królestwa mego wracam!

I ruszywszy koniem ku Janosikowi, za głowę go uścisnął i przez torowaną pomiędzy trupy rajtarskie drogę konia naprzód pchnął, a za nim posunął się orszak z głośnem śpiewaniem pieśni „Ciebie Panie chwalimy", którą i pobliżej kościołów mieszkający chłopi za biskupami i rycerzami śpiewali, otoczywszy orszak, aby go w razie ponownej napaści bronić i osłonić.

Tak rozkazał Janosik, wiodąc „gazdę na gazdowstwo", ale ci chłopi, którzy niżej w górach i bliżej świata siedzieli, mniej dzicy i nieuświadomieni, prowadzili króla z wiernością, przywiązaniem i miłością, wiedząc, że to król, jedyny człowiek, który ponad ich największym wrogiem, szlachcicem, stał, i brat Władysława króla, z którym wraz wojowali, który dla nich ludzkie serce w piersi nosił. Aż do bezpiecznych traktów towarzyszyli i głośnemi życzeniami szczęśliwej drogi żegnali króla, który ich wzajem ręką pozdrawiał.

Po latach wojny i straszliwem spustoszeniu szwedzkiem wybuchł głód. Gdy Janosik z towarzyszami do domu rodzicielskiego, w Polany, powrócił, zastał dokoła nędzę po wsiach. Trzymali się, a nawet nie czuli niedostatku bogaci gazdowie, Kojsowie w Chochołowie, Walczaki i Jarząbki w Zakopanem, Nowobilscy sołtysia na Białce, nie czuł go także Janosików ojciec, ale ogół górali głodem przymierał. Gdy Janosik powrócił do domu, po latach czterech bojów ze szlachtą i zwycięztwie nad Szwedami pod Spizką Magórą, łupy wioząc bogate, jął on ludzi ubogich wspomagać własnym dobytkiem i z pieniędzmi sanie po żywność na Węgry słał. Ale ku końcu stycznia przywaliły świat śniegi tak straszne, iż dachy chałup pokrywały i ludzie tunele i lochy kopać musieli. Poprostu zginęła ziemia pod śniegiem. Dzień po dniu i noc po nocy dął wicher i płatami olbrzymiemi śniegu z poza Tatr od Zachodu rzucał. Czeladź Janosika i domowi na zmiany dzień i noc pracowali, aby przejścia od izb do stajni, chlewów

i stodoły utrzymać. Jedzenia nie brakowało, bo bydła hrubego i drobnego statku, owiec, baranów, świń było dość, było też czem zimować żywinę, a i drew na opał za czasu czeladź narąbała i nawiozła z lasu. Trzy tygodnie, aż do lutego dęły te śniegi, że matka Janosika już wątpiła, czy ustaną kiedy i śmierć przewidywała w całunie.

Aż pewnego rana rozwidniło się niebo, jasny, szklisty pokazał się błękit, rażący oczy lśnieniem nieporównanem i nieprzetrzymanem i mróz okropny ściął świat, tak, iż zwały śniegowe stęgły w żelazo. Po drabinie wydrapał się Janosik od podwórza na dach i po drugiej jego stronie ujrzał białą rówień.

Jak oko sięgnąć zdołało, nie było nic, tylko biała płaszczyzna, drzewa tylko koło domów wzdłuż potoków z Gubałówki płynących rosnące, jawory, jesiony, lipy sterczały po nad śnieg i lasy smrekowe białe i w lód ścięte. Jednego dachu nie było widać. Na Nędzowym Groniku, u Staników, u Czajków, u Staszlów, u Faklów, Tyrałów i Pitoniów, Gadejów, Mocarnych, Matejów dookoła jednego szczytu dachu znać nie było.

Wygineni — pomyślał Janosik z okropnem uczuciem.

Ale tu i owdzie dojrzało jego oko nad śniegami, lub lasem dym błękitny — tu i owdzie więc byli żywi pod zawałą.

I długie znów tygodnie biegły tego jednostajnego, śmiertelnego mrozu. Niebo iskrzyło się

w dzień słońcem rażącem, w nocy gwiazdami, których moc ogromna zdawała się przybyć na stropie, a które tak świeciły, jak płomienie. Ludzie poczęli na nartach i karplach suwać się po skorupie otchłannego śniegu, a wilki nad dachami się ukazywały i bywały wypadki, że zgłodniałe rzucały się z nad dachów na podwórza wewnętrzne obejść domowych bez pamięci. Tam walczyć z niemi musiano, bo ich wygnać nie było którędy. Straszno było pojrzeć w nocy, gdy nad głową dookoła widziało się iskrzące się ślepia pośród gwiazd złowrogich i słychać było nad głową warczenie, lub wycia zajadłe. Taka sucha, druzgocąca mrozem zima trwała aż do końca marca. Kto umarł, to wykopywano jamę w kupie śniegu na dziedzińcu i tam go grzebano.

Wszystko wydawało się zaumarte. Cisza była w powietrzu nieprzegarniona i ani jeden ptak nie przelatywał przez czyste przestwory. Wyginęły od śniegów i zimna, lub uleciały niżej, gdzie może nie tak twardo było. Raz jeden spostrzegł Janosik o fioletowym zmroku puhacza, wysoko, lecącego gdzieś ku Południowi, za Tatry.

Wtem przyszedł halny wiatr, tak ciepły, że cieplejszy w czerwcu niebywał i dął półtora dnia, a potem lić gwałtowna, ulewa przerażająca. Jak w styczniu wiało śniegiem, tak teraz deszcz ustać niechciał. Wzięły śniegi topnieć po dolinach. Ciepłe wiatry dęły i nawoziły chmur od Wschodu. Rozpływały się śniegi, topniały w oczach, nikły.

Deszcze przeświecały piorunujące słońca, o gwałtowności i sile orkanu promieni. Zwały śniegowe zsuwały się podmokłe w dół z grzmotem i hukami dech zapierającemi. Wydobyły się na wierzch odmarzłe wody. Uczyniła się powódź, choć na Tatrach leżał jeszcze śnieg, który do lipca w nadmiernej nasypany grubości trwać wróżył.

Jakże straszne były widoki...

W niektórych chałupach znaleziono ludzi z głodu pomarłych, całe rodziny, indziej uduszonych pod zawałą śniegową. Toż zwierzęta domowe, konie, krowy, owce, psy, świnie zdechłe i uduszone. Znajdowano ślady przerażających walk z wilkami, gdzie czasem wilki zażarły całe rody góralskie, lub też we wspólnej z napadniętemi pozostały mogile śródśnieżnej. Znajdowano domy zgniecione nawałą śniegu, zmiażdżone chałupy, stodoły, stajnie, a pod tem trupy i ścierwa Bóg wie odkąd, od miesięcy całych leżące. Tak zginęła cała rodzina Jana Fakli w Polanach, tak dwie familie Zychów w Witowie, Sieczka Stanisław z rodem swoim w Zakopanem i wielu, wielu innych. Na setki zmiażdżonych śniegiem liczyć było można.

Wilki bandami teraz grasować zaczęły, zeszły z gór i niedźwiedzie, obudzone już, a nic sobie w lasach znaleźć niemogące. W biały dzień rzucał się zwierz leśny na ludzi i napadał wprost domy. Niedźwiedzie po trzy, cztery, pięć i więcej w stadzie rozwalały stajnie, atakowały chałupy,

lub na dachy po węgłach uciekały przed goniącemi je hordami wilków.

I walki krew mrożące widywali ludzie dzikich bestyj, które się zażerały między sobą u progów i u ścian ludzkich.

Śniegi stopione gwałtownie wzdęły rzeki, powódź spłynęła na Podhale. Piekło się wściekło— mówił lud.

Teraz wybuchł głód w całej pełni potwornej, choroby niesłyszane, nędza przerażająca i śmiertelna.

U Walosów w Brzegach rodzice dzieci zabili i zjedli, w Szafiarach Król żonę własną z grobu wykopał na cmentarzu, zabrał do domu, gotował i jadł, aż w boleściach umarł.

Mnóstwo szalonych poczęło się snuć po dolinach. Przychodziły dzikie poczwary od Gorców i z Zagórza, kretyny wolowate, a ze wsi podhalańskich rozbiegali się w świat obłąkańcy, z pianą na wargach i gryźli się po polach z psami wściekłemi, lub ginęli szarpani przez wilki na sztuki.

Całe pasma wściekłych wilków włóczyły się, siejąc postrach, grozę, przerażenie nie do wypowiedzenia. Powietrze zaś napełniło się chmurami kruków, wron, jastrzębi, sępów i orłów, spadających stadami na ścierwa i zwłoki gnijące.

Świat fce zaginąć — mówili chłopi. Klęska była niesłychana i niepamiętna. Wyległy też z gór potwory, wiłkołaki, strzygi, martwce, latawce, dzi-

wożony, topielce. Widywali je ludzie rozognionemi od głodu i przerażenia oczyma. Okropne upiory jeździły na niedźwiedziach i uganiały na wilkach z chychotem i piekielnym śmiechem. Wśród stad ptaków drapieżnych zlatywały gryfy i biły się z orłami i sępami. Wrzask, skwirk nieraz słyszeli ludzie w powietrzu nieznany i ptaki spadały pokrwawione, z poprzebijanemi kośćmi barkowemi na ziemię.

Widziano karły w siwych czapach baranich i portkach miejskich szerokich od kierpcy obutych i rzemieniami po wierzchu okręconych, jak siały pod lasami i w lasach grzyby trujące. Salkę od Słodyczków ze Zębu mnich porwał, gdy po wodę wieczorem poszła i przepadła bez śladu choć blizko domu było. Wrzasnąć tylko zdołała.

Rozhukali się wśród tej zagrozy ludzie. Kto co miał w sobie, to się wydobywało z niego rozpasane. Bracia gwałcili siostry, teściowie synowe, cudze żony na nagiem polu oddawały się kochankom, dziewki dwunastoletnie nierząd czyniły. Koniec świata przepowiadali starce i wróżowie i przyjście Antychrysta.

Mord jął się szerzyć. Zabijano się o kawałek placka owsianego, o kwartę mąki. Lada kłótnia, lada spór krew wytaczały, a dawne zemsty wiały jak wicher. Ludzie się mścili na sobie, jakby lękając się, że umrą i nie zdążą.

Głupota, lekkomyślność, rozpacz zresztą powodowały sprawy szalone. Jarząbek ze Zywcań-

skiego za obiad Halę Jarząbczą nad Chochołowską Doliną sprzedał, Kojs wójt sołtysi z Chochołowa rolę pod trzydzieści korcy darował dziadowi Bartkowi z Łopuszny, bo „coz mu po niej”. A jego synowie jeszcze mu, temu dziadowi, siostrę swoją, cudowną Kasię sołtysiankę przez jakieś obłąkanie ducha w małżeństwo dać chcieli.

Ginęło Podhale.

Na to ginięcie zaś patrzały spokojnie Tatry.

A na Tatry patrzał Janosik Nędza Litmanowski.

W niemej głuchej zapamiętałości siedzieli wieczorem przed chałupą pod jaworem oboje rodzice Janosika i ponurzy Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie.

Im jeść niechybiało, bo na Węgry po zbóju chodzili, ale trapiło ich powszechne utrapienie góralskie. Siedzieli na ławie koło jaworów, popodpierali brody na rękach i kolanach i myśleli.

Pod domem zaś na ławie, wyciągnąwszy bose nogi przed siebie, choć dopiero kwiecień był, i założywszy ręce za przypory u portek, siedział Janosik, obok Sablik stary, na ławie siedząc pogwizdywał.

Obaj patrzyli przed siebie w górę na Tatry, gdzie słońce zachodziło, czerwonofioletowe i chmurne.

Gdy oczy ich tam w przestrzeni, nad wierchami zeszły się i dusze zrozumiały — wydobył stary Sablik z rękawa od czuchy gęśliki i grać począł.

Grał stare odwieczne nuty, jakie strzelcy i zbójnicy niegdyś tam, w praczasie grywali.

A gdy jedna i druga godzina minęła i na niebie już wśród chmur gwiazdy świecić zaczęły, ozwał się Janosik do towarzyszy:

— Hłopcy, pudziemé na wojne...

Już się ku wiośnie brało, śnieg w dolinach tatrzańskich ginął, w cieniu trwał jeszcze, a w słońcu w błoto się przeistoczył. Dziką i pustą doliną szedł stary Sablik z rusznicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w ręku i z nożem za pasem.

Czekał on od jesieni zimę całą na ten czas. Ani go straszliwa nędza Podhala, ani bieda we własnym domu od myśli nie odwodziła. Sablik pasem brzuch głodny ściągnął, na gęślikach brzęczał, gdzie się dało gorzałkę pił, śpiewał, gwizdał i wiosny czekał. A gdy się już ile tyle ociepliło, nie powiedziawszy nawet żonie: ostań z Pane Boge! — znikł samotnie.

Rozkosz niewypowiedzianą, radość niewypowiedzianą odczuł, gdy znowu rzemienie od kierpców potężnie przykręcał, nie na chód dzienny, ale na długie dni wędrówki; gdy znowu ciupagę w garści poczuł, która twardą stalą do twardej jego dłoni na długie dni przyrosnąć miała; gdy obuwał się w portki na to, aby może tygodnie całe ich nie ściągać; gdy

to, co miał na sobie i przy sobie, na długi czas nieoddzielnie z nim być miało, być jego wszystkiem i wystarczającem. Jego nóż doświadczony, jego dobrze obejrzane krzesiwo, które znajdowały się z nim tylekroć w pustkach górskich i znowu tam znaleźć się z nim miały, dawały mu rozkosz, jaką czuć może orzeł, na szpony swoje spozierający. Z radością stanął na zawiązanych kierpcach nie po to, aby do karczmy, albo do sąsiadów zabiec, ale aby ślizgnąć się na nich, gdzie ludzkie oko często nie sięgło nigdy przedtem. Stanął na tęgich podeszwach ze skóry, wesoły.

Znowu czekały go noce pod niebem gołem, watry ze świeżego rąbania, smolne, pełne dymu i trzasku wilgotnych gałęzi, owo samotne pożywianie się strawą skąpą, lub obfite obłowy polowania, wody pite ustami z potoków, lub ze strug, sączących się między głazami. Sablik cieszył się na ową smolną polepę, którą poróść mu miała twarz, szyja, kark, ręce, że stać się miał nieledwie częścią lasu, czemś dzikiem, odyńcom, jeleniom i smrekom pokrewnem i podobnem. Znowu oczy jego, ręce i nogi miały mu być wszystkiem. Sablik miał znowu, jak od lat kilkudziesięciu, być sam z sobą, zupełnie i wyłącznie, i radował się na to, jak się cieszyć może orzeł o łowach swoich myślący.

Pogwizdując i pośpiewując oglądał swój sprzęt podróżno - strzelecki, badał go i próbował. Szedł wyzywać pustacie, drogi błędne i straszne, lasy i góry, zwierza groźnego i ludzi wrogich, strzelców

przeciwników z za Tatr niemniej groźnych; szedł żyć całą pełnią swej junaczej, drapieżnej i rycerskiej duszy, zagrążyć się w Tatrach, które go wychowały.

Szedł na wicher, deszcze, śniegowe fujawice, spiekoty, mroki mgielne i nocne, na znój, pot, na trud swoich kolan, na ślizgie spiczaste kamienie, zdradne upłazy trawne, ostre sęki drzew, spadziste utrudzające ubocze i turnie ziejące przepaściami. I śmiał się sam do siebie. Albowiem w tem wyrósł, to umiłował i nierozumiał życia bez tego. Stary Sablik kochał zdyszenie się swych piersi, spojrzenie szukające oparcia dla stopy, kochał rozciągnięcie się swego ciała na palcach rąk trzymających się ułamków skały i palcach stóp, opartych w szczelinie nad otchłanią, kochał szum piargów uwożących się mu z pod kierpców, kochał wysilony zarzut ciupagi na konar w niechcącym puścić w górę gąszczu, krępującym głowę, ramiona, piersi, kochał wrąb jej w strom wyniosły, aby spocząć obok w kraju rysia i żbika, żmii i kuny leśnej. Drogą mu była ojczyzna jego duszy myśliwskiej i wędrownej, duszy skrzydlatej.

Szedł, aby mu wiatr w oczy i szyję gołą bił, na rozkosz nozdrzy i płuc do zimnego pędu powietrza nawykłych, szedł na radość rąk, gdy w rękawy od koszuli wiatr się wmyka, na pełnię życia skóry, gdy w twarz rzęsny, bystry deszcz siecze i jedna jej cząsteczka niezmyta, nieprzenikniona wodą nie pozostanie. Szedł odwiedzać to, co znał, kąty lasów przepadłe, moczary skryte w gą-

szczu, spady wód szumiące i koleby myśliwskie, leże ciche i tajemne, gdzie długo po odejściu strzelców ostrożna liszka, albo kuna skalna, wietrząc i spozierając dookoła, resztek słoniny szuka.

W Dolinie Piardzystej, przy tym niżnim stawie,
jest hań kolibecka wyrubana w skale...

Szedł znaleźć to, co zawsze było niespodziane, gdzieś rogi z kozicy przez rysia pożartej, lub lawiną strąconej, gdzieś ślady walki zimowej wilków z dzikami, lub pojedynku niedźwiedzia z odyńcem, po którym często dwa szkielety obgryzione przez drapieżników pozostawały; często z pod śniegów wytajał trup człowieka, strzelca, zabitego przez współzawodników, zaskoczonego kurniawą i zawalonego śniegami, czasem skarbów poszukiwacza, co z turni odpadł, z którym się turnia usunęła, że zginął, lub zabitego tajemną ręką — złodzieja, albo ducha, co skarbów strzegł.

Całą historyę strasznej, ponurej, niezwładanej i nieowładniętej zimy tatrzańskiej czytał Sablik na wiosnę, gdy śniegi stopniały. Gdzie lody skałę rozsadziły, gdzie śnieg las połamał, gdzie wichry w nim spustoszenie porobiły. Szlakował niedźwiedzia, gdzie spał, jelenia, gdzie ku źródłu chodził, rysia, kędy kwiaty do róż podobne rozwitych łap swoich odciskał.

Cieszył się na świst strzały swojej, na huk swej rusznicy, z której gładkiej lufy kula wartko i smigle a celnie leciała. Cieszył się na mierność

swej ręki, na przykład twarzy do kolby, oka zmróżenie. Cieszył się na stuk swego toporka w ciszy gór i lasów...

Hej! Ciupaga! Z wyostrzonej stali!....

Sablik czuł się cały w sobie, cały przez siebie, skończoną czuł się istnością, tak wcięty w Tatry, jak bywa wbity słup we wodę, nad któremi jedna powierzchnia przepływa.

Tak niknął z wiosną od pół wieku, a gdy po tygodniu, dwóch, trzech, czasem po miesiącach całych do domu wrócił, znowu z Janosikiem Nędzą na wyprawy, lub na przeszpiegi szedł.

Jak gazdowstwo się wiedło, jak sobie żona, niegdyś piękna Tereska od Walczaków ze Skibówki, dawała rady, on o to niedbał. To nie było jego życie.

Rusznicę Sablik wziął, ale prochu tylko na kilka nabić w rogu, bo go koło domu wypsuł, łuk niechybny starodawny przez schylone wiekiem barki przewiesił i ruszył w góry, orzeł stary na łowy.

Szedł ku dzikiej, pustej dolinie Kościelisk. Ledwo minął las, co ją zasłaniał i drogę nad Dunajcem, kędy owce na hale, na Smytnią, w Ornak, w Tomanową, na Pyszną szły, kędy z hal siano i nawóz zwożono, a za królów Zygmuntów górniczy do kopalni srebra i żelaza trakt był, pośród odciśniętych na śniegu tropów sarn, jeleni, lisów, kun, wiewiórek, wyder i wilków ujrzał ślad przechodniego dzika, który snadź złamaną od kuli lewą nogę zadnią powłóczył i ślady czterech nie-

dźwiedzi, dwa wielkie, zwłaszcza jeden ogromny, i dwa mniejsze, z tych jeden większy.

Popatrzył i ozwał się sam do siebie:

— Dwa stare, niedźwiedzica z młodym i piastun.

Przypatrzył się baczniej odciskom największych łap na wilgotnym śniegu.

— On!

Poznał go Sablik. Ta sama pięta, te same palce, te same pazury. Przyłożył do śniegu ciupagę, gdzie miał naznaczony znak długości i szerokości tych łap zdłuźć i syrzć. On był.

He, Boze, dajze sie ś nim zejść!

Siem dyasków zjadło aj zjadło, zéj dy sie mi widzi, ze jesce uróst. Hoćtemu bedzie moze telo, jako mnie...

Sablik niepamiętał już dokładnie, odkąd za „nim" chodził; zdawało mu się, że od samej wczesnej młodości, odkąd polować zaczął.

Sablik go widział i uznał, że nie było godniejszego w Tatrach niedźwiedzia, ani nie będzie, chyba za trzysta lat. Jak się Janosik Nędzów trafił jeden na całe Tatry i od czasu Toporów Łamiskały i Walilasa z Hrubego chłopa takiego pod Tatrami nie było, tak się i ten niedźwiedź trafił i drugiego takiego niemasz. Na chłopa i na niedźwiedzia trza czekać. Gawiedzi zawsze jest dość, ale chłop coby był, jak się patrzy, a i niedźwiedź, czas minie.

Widział go Sablik kilka razy i strzelał doń.

Ale czy chybiał zawsze, czy tylko po kudłach kulą osmędził, nie mógł poznać, bo nigdy kropli farby na śniegu, ani na rosie, czy mchu znać nie było.

Sablik w bądź co niewierzył, ale już czasem przypuszczał, że niedźwiedź przysady, sposoby miał, jak czarnoksiężnik.

Znali go i inni strzelcy, Jędrzej Wala, Sieczka Maciek, Sobczak Staszek i jego ojciec Sobanek, Samek Wojtek, Symcio Tatar, Jarząbek Jasiek z Zakopanego, znali go Tyrałowie, Marduła Józek z Polan, Wojtek Bukowski z Pająkówki, strzelcy najsławniejsi, ale nie radzi nawet mówili o nim. Bo to potwora była tak straszna, że im serce w piersiach miękło i nieraz go koło siebie puścili, nie strzelając, a z widłami myśliwskiemi i toporem, czy maczugą żaden by się przed nim stanąć nie ważył. Woły on najpotężniejsze ciosem łapy zabijał, a tak zuchwały i odważny był, że gdy go w Zuberskiej Dolinie za Rohaczami woły gonić zaczęły i na sporą skałę nagnały, ztamtąd ze skały na nie skoczył i po grzbietach im, jak po moście wichrem przeleciał, straszliwe tylko krwawe bruzdy na mięsie zostawiwszy. W ten sposób do lasu uciekł i tej jeszcze nocy dwa woły z tego stada ubił.

Czyniono na niego sieci, stawiano oklepce żelazne, kopano doły—obchodził.

Sablika myśliwska dusza płonęła do tego niedźwiedzia. Abo ja twój, abo ty mój — myślał. A choć towarzystwo myśliwskie lubił, z tym nie-

dźwiedziem samotnie się tylko spotkać pragnął, aby z nim nikt rozkoszy walki i chwały zwycięztwa nie dzielił, a jeśli ulegnie — dziś, czy jutro to jedność.

A nie wątpił, że przyjdzie taki dzień i taka godzina, kiedy się oko w oko zewrą — na śmierć i życie.

Stary Sablik niebał się potwora, bo wogóle niebał się śmierci. Urodzisz się bez twojej woli, żyjesz i umrzeć musisz. A co potem, o to się nie kłopocz, bo to darmo, nie dowiesz się, a potem będziesz wiedział. Niebyło o czem myśleć. Zwierz zdechnie, drzewo zgnije, człowiek umrze. Tak musi być.

Dziką pustą doliną Kościelisk nad wodą, aż ku źródłu, gdzie się woda w dwie strony dzieli Sablik tropem niedźwiedzim postępował, a trop to był z nocy. Ale nieopodal za źródłem tropy się dzieliły: niedźwiedzica z młodemi poszła w górę na prawo, w ubocz, on poszedł samotnie dalej doliną. I Sablik poszedł za nim.

Dzień był cichy i mgła górę przysiadła, lecz tak cieńka, że słońce świeciło przez nią przyćmione i ponad nią wysoko widać było koło światła w szeżodze, w oćmie i zatajeniu, jakby w usidleniu zamroku.

Niedźwiedź skręcił na Smytnią, na lewo przeszedł tuż koło pustych jeszcze szop juhaskich, wstąpił na ubocze lesiste i drąc się między wykroty, przełażąc przez skały, sterczące ze śniegów i w śniegi

zapadając, przebrał się ku wieczorowi już do Doliny Kamiennej pod Czerwne Wierchy. Sablik zmiarkował, że człowieka zaczuł i ucieka przed nim. Uradował się jego duch i miał to sobie za dobrą przepowieść.

W Kamiennej Dolinie trzeba było nocować. Sablik wynalazł kamień wielki z małem wydrążeniem na wierzchu, ułożył chrustu i drzewa kosodrzewinowego na ognisko, skrzesał ogień i w płonącą watrę włożył skałkę, do dołka zaś w głazie nalał wody i nasypał mąki, której odrobinę z domu wziął do woreczka, a gdy się skałka rozpaliła, wsunął ją we wodę. I była kluska, którą gorzałką popił.

O sól nie pytał.

Potem watrę nabił tęgą, kosodrzewiny naciął na zapas na noc i legł przy ogniu na mchu.

Nad nim zapaliła się noc tysiącem gwiazd i sierpem miesiąca, co z za turni się dobył. Wokoło zaś były olbrzymie kamienne ściany, korytarze i zakręty, nad któremi się piętrzyły pod niebo mury, podobne do twierdz i baszt wapiennych turni. Myśl Sablikowa mimowiednie błąkała się po tych korytarzach, przepaściach, grotach odsłoniętych i pieczarach bez sklepienia niezmiernej wielkości, gdzie mogły spoczywać od prawieków żyły złota i srebra, lub skarby, zakopane przez zbójników. A gdy go wśród cichego szumu nocy górskiej i grzmiącego od czasu do czasu huku urwanych głazów i spadających lawin śnieżnych kędyś we wysoko-

ścich, naszedł sen: śniło mu się, iż ze skrzydłami u ramion wędruje po Kamiennej Dolinie i ciupagą skały rąbiąc, złoto z nich wyrąbuje i pod nogi sobie zgarnia.

Gdy się obudził, jeszcze ciemno było, lecz po zimnie poznał, iż ku dniowi się zmienia. Dorzucił patyków i gałęzi kosodrzewinowych na watrę i ręce zabijać zaczął, by się ogrzać.

A już olbrzymie ciemno-modrofioletowe cienie zaczęły się słać po skałach i mrok nocny tajać zaczął, tak, iż gwiazdy zwolna w oczach gasły, a niebo szarzało.

Napił się Sablik gorzałki i świsnął lekko przez zęby.

Warzyć jeść czasu niebyło, co zostało z wczorajszej kluski na zimno zjadł, proch pod krzemień podsypał i z pierwszym brzaskiem ruszył z legowiska.

Wiedział on, że niedźwiedź w dolinie nie nocował, ale śnieg nie prószył i oślady nie zakurzył, łatwo ją znalazł.

Het popod turnie Małołączniaka drzeć się Sablik nad przepaściami wisząc po śniegach musiał, ale sobie powtarzał: kiedy nie urwał się on, nie urwem sie i ja, dy ja ciężejsy, a kie sie jemu w głowie nie zawracało, to sie i mnie nie powinno — i koło południa za niedźwiedziem, który znowu na południe ku Węgrom wykręcił, między Małołączniakiem a Kopą Kondracką przez Jaworową Dolinę do Wierchcichej zszedł.

Tu otoczył go tak ogromny las, że niebo ponad nim zniknęło.

Ale dzień był słoneczny, gorący prawie i wiatr ciepły od Liptowa wiał, tak, iż las pachnąć już zaczął, a i śniegu mało w nim było. Rozszerzły się Sablikowe płuca radośnie, że znowu po długich miesiącach na węgierskiej stronie Tatr się znalazł, na tej stronie pięknej i do miodu podobnej.

Głód był, dało się jednak strzałą śmigłą jarząbka ze smreka strącić, Sablik obdarł pierze i surowo piersi zjadł i barki i udka obgryzł — nie było czasu piec. Albowiem niedźwiedź w las się wszył i Sablik czuł, że nie jest daleko i że poza dolinę nie wyszedł.

Jakoż rysim chodem za ośladą popod konary często na brzuchu się sunąc, nagle zatrzymał się. O jakie pięćdziesiąt kroków w kotlinie niedźwiedź na zadnich łapach wspięty stał i jarzębinę zeszłoroczną zmarzniętą łapami do kupy z gałęzi zgarniał.

Sablik patrzał chwilę z gęstwiny.

Potwornego ogromu, czarny, wyciągnięty prosto zwierz wydawał się jak drzewo. Zasłonił sobą kęs przestrzeni, bo kotlinka była nie zabita smrekami, lecz wolna nieco od lasu. Tram tylko ją przewalił na poprzek spróchniały.

Niedźwiedź nieczuł człowieka; stał poniżej Sablika i wiatr od niego zaciągał.

Sablik odwiódł po cichu kurek, proch świe-

ży podsypał na panewkę i kolbę do twarzy przycisnął, pod łopatkę na komorę wymierzywszy.

Ale nie strzelał. Wiedział on, że drugi raz w życiu tej rozkoszy mieć już niebędzie, jak niemiał jej nigdy dotąd, pół wieku życia przepolowawszy. Rozśpiewała się w nim dusza hymnem mordu, zwycięztwa, tryumfu, potęgi. Z lufą wymierzoną przed siebie pod nawałą konarów do ziemi obrosłego smreka leżąc, przez muszkę na lufie patrzał i był jakoby pijany widokiem niedźwiedzia i świadomością prochu, pakułów i kuli w rusznicy.

Starość od niego odeszła.

W tem niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę. Małe jego skośne ślepia zamigotały, przestał jarzębinę zgarniać i łapy zatrzymał w ruchu na gałęziach — w tej chwili Sablik za cyngiel pociągnął.

Niedźwiedź wzdrygnął się, beknął i na przednie łapy spadł.

— Dostał, bo zbecał — przemknęło przez głowę Sablika.

W tym momencie zasłonił mu się przed oczyma świat — olbrzymia czarna masa waliła się ku niemu, łamiąc konary. Ale Sablik z lekkością ptaka z pod gęstwy się wysunął i gałęzi sąsiedniego smreka dłońmi się uchwyciwszy, w susie między nie się dźwignął i wspinać zaczął. Z rykiem niedźwiedź dęba stanął, lecz go już nie pochwycił. Rzucił się więc na pień i włazić zaczął.

Sablik wspinał się coraz wyżej, myślac: kim sie ty ta wygramodlas, to ja jus bede na wiérhu...

A duszę jego przenikała radość walki.

Gdy niedźwiedź w połowie drzewa był, trzasnął pod nim konar i zwierz runął na trawę.

Jak wściekły obiegał drzewo, wspinał się na zadnie łapy, ryczał i pianę z krwią z pyska toczył. Sablik miarkował, że go niedobrze, choć ciężko trafił. Mógł długo żyć.

Rusznicę Sablik zostawił w gąszczu, ciupagę pod drzewem. Ale zdjął łuk z ramienia, strzałę z pod boku ze skórzanej pochwy wyciągnął i wymierzywszy w kark niedźwiedzia ugodził.

Raz po razu z piętnastu strzał, które wziął z domu, trzynaście w cielsku niedźwiedzia utopił, dwie sobie zostawiając, aż wreszcie zwierz, czy raną zmożony, czy pragnieniem spieczony, czy od bólu od strzał z pod drzewa odstąpił i w las zapadł.

Sablik natychmiast zsuwać się ze smreka zaczął.

— Pockaj weredo — mruczał — wlazbyś mi ka, zdechnon byś i zgnił... Nie na to my sie pół wieka sukali... Ckaj!

Chwycił naprzód ciupagę, poczekał chwilę, poczem rzucił się ku rusznicy i nabijać ją począł.

— Na niedźwiedzia kula gaździna — mruczał przybijając ją lekko stemplem. — Na niedźwiedzia niémas nad kule...

I odnalazłszy farbę, kroczyć za nią począł.

Przy wodzie, poniżej w jarze, był zwierz i ranę broczącą ziemią z mchem dartą zaciskał. Lecz gdy Sablika ujrzał, ryknął straszliwie i przed siebie się rzucił. Odskoczył Sablik w tył. Nie strzelał z góry, bo w pędzie bał się nietrafić w krzyż, albo w mały mózg, po którego czerepie kula ześlizgnąć się mogła.

Stanął i czekał, aż niedźwiedź wzniesie się przed nim na zadnie łapy.

— Teraz abo ty mój, abo ja twój — myślał, przyłożywszy strzelbę ku żuchwom.

Jak kiedy płomień podczas pożaru dach przeżre i z kłębem czarnego dymu z wichrem ponadeń wybuchnie, tak z czerwonym błyskającym biało-krwawemi kłami pyskiem, z jęzorem krwawo-spienionym i ślepiami lśniącemi wypadł ów czarny niedźwiedź na brzeg, rwąc z pod łap kamienie i widząc strzelca przed sobą, na tylne nogi się wspiął; a w tej chwili z rury Sablikowej rusznicy prysnął ogień i dym i w grzmocie strzału bestya zwaliła się na piersi i jęzor wysunąwszy, rozszerzyła łapy bezwładnie.

Krew buchnęła z paszczęki, posoka spiekła— konać począł.

Naówczas Sablik, o kilkanaście kroków stojąc, oparł rusznicę o smreka, ciupagę na konarze zawiesił, wyjął z rękawa czuchy gęśle, kołki zawilgłe popluł i zębami przykręcił, smykiem i palcem popróbował i o bok lewy niżej ramienia oparłszy, grać niedźwiedziowi począł.

Napełnił się cichy, nieprzejrzany, samotny las chrapaniem konającego zwierza i Sablikowem graniem. Dzikie, rwane, zgrzypiące, ostre tony drgały i plątały się z sobą ponad głową zwalczonego potwora. Huczała w wąwozie rzeka po głazach, jakoby tło do tej muzyki poddająca.

Zwierz chrapał i charczał okropnie, krew z pyska wylewając, Sablik zaś grał. Oczy jego utopiły się w kudłatym łbie zwierza, jako mgliste gwiazdy w jesieni toną w czarnym stawie tatrzańskim.

Idzie se Sablicek, drózeckom sie wiedzie,
budzie sie prógował z luptoskim niedźwiedzie,
z luptoskim niedźwiedziem, z śpiskom niedźwie-
[dzicôm,
w lesie pod Furkotem, popod Krzesanicom.
Niedźwiedzica śpiska swe młode ucyła:
waruj sie Sablika, on gorsy jak stryła!
Co ja sie nahodziéł, potoków nabrodziéł,
zakielak niedźwiedzia na serce ugodziéł.
Co ja nie nahodziéł i tom i tom stronom,
zakiel my sie ześli w ciasném miejscu oba.
Hucała dolina, dygotał wirsycek,
kie poseł za pasy z niedźwiedziem Sablicek.
Słońce sie pytało, w doline patrzało,
cy sie hań za pasy biere skała z skałom?
Hmury sie pytały, niebe uciekały,
bo sie im widziało świat sie wali cały!
Pan Jezus sie patrzy—pre Boha żiweho!
Sablik tó poluje, chroniem go od złego!...

Lekcej się niedźwiedziowi konało.

Zapamiętał się Sablik w swej grze. Jakoby duchy wszystkich pomordowanych przez siebie nie-

dźwiedzi zwoływał na pogrzeb króla Tatr, z Gorców, od Babiej Góry, z Kralowej Hali i przepastnego Dziumbiru o leśnych szczytach, gdzie polował. Z pod Rohaczów i Wołowca, z Jarząbczej, z Pysznej, z Tomanowy Polskiej, ze Strążysk i dalej z lasów Roztoki, z Pięciu Stawów, z Koprowej, z Ciemnych Smreczyn, z Pod Wysokiej, zewsząd z Tatr wołał duchy pobitych przez się potworów. I otoczyły kołem swego brata, straszne groźne, posępne.

Przybywały jeden po drugim, bo Sablik wierzył, że duchy ich tam pozostają i krążą, kędy śmierć im zadano. Przybywały i wieńcem otaczały ostatniego, który do nich przybywał. Piąty, dziesiąty, piętnąsty i dwudziesty, dwadzieścia jeden widm z czerwonemi ranami w piersiach, na łbach, na grzbietach i w brzuchach poczwarnych.

Witajom go — myślał Sablik.

I zegna go las...

Wtem niedźwiedziowi pysk posunął się po ziemi.

Naówczas Sablik schował gęśle do rękawa, poczekał chwilę, a potem, duży kamień podjąwszy, w łeb nim niedźwiedziowi gruchnął.

Nie drgnął.

Więc ciupagę z gałęzi zdjął i młodego smreczka ściąwszy i okrzesawszy, śmiało przystąpił i z niesłychanym trudem tyle olbrzyma podważył, aby mu nożem brzuch spruć i parę z cielska wypuścić. Poczem szybko watrę złożył, ognia

skrzesał i wyciąwszy z boku sztukę, na patyk ją nadział i piec nad ogniem począł, podstawiając kapelusz, by doń sadło kapało. A gdy się naskwarzyło pełno, sadło wypił i jeść nożem przy ustach urzynając mięso począł.

Poczem tęgi płat mięsa skórę odzierając, nożem i palcami i zębami ją przytrzymując, iż koszulę i pas krwią ubroczył, z pod grzbietu wyciął i do torby wrzucił, olbrzymie zaś niedźwiedzie ścierwo łamanym i ciętym chrustem, gałęziami, mchem przykrył, aby go ni strzelcy, ni zwierz dziki nie znalazł. Urosła nad zwierzem mogiła. Do wsi się Sablik z powrotem zabrał, by z Tyrałami i Bukowskim powrócić i poćwiartowane mięso, oraz skórę zabrać.

Aby jednak ślady zmylić i strzelcom innym drogi do niedźwiedzia nie wskazać, głazami potoku z pod śniegów i z lodów skalnych płynącego iść począł, kierując się ku przełęczy Goryczkowej, co Polskę od Węgier dzieliła doliną Cichą od Hali Kondratowej i Kalatowej, w przełęcz wyniosłą między trawiastemi kopicami i szczytami położoną, kędy świstki kopały gniazda i gdzie się lubił pasać jeleń z lasów węgierskich lub z pustek z pod Giewontu i Kopy Magóry wyszły.

Długi czas potokiem, z głazu na głaz skacząc, z kawałem niedźwiedziny we worku, szedł, aż się w las wkroczyć zdecydował.

Wola pérć w gęstwie go wiodła, gdy głos

ludzki usłyszał. Zatrzymał się, strzałę i łuk w ręce ujął i w gęstwinę się wkulił.

Nie mylił go słuch wyćwiczony—ludzie mówili. Zbliżali się dróżką leśną, w skos z percią się schodzącą.

Sablik przyczaił się. Już odróżniał głośną gwarę — to byli strzelcy liptowscy.

Serce poczęło mu bić mocno, lecz powoli uspokoiło się. Oparł strzałę na cięciwie i czekał. Było ich tylko dwóch.

Niedługo wyszli. Sablika w gąszczu nie zauważyli, minęli go i szli dalej. Rusznice mieli na plecach. Szli na kozice, jelenie lub sarny.

Sablik mógł ich przepuścić i poczekawszy ruszyć w przeciwną drogę, by się nie spotkać. Ale wązka twarz jego ściągnęła się, bruzdy na niej wyżłobiły, usta skrzywiły się i zbiegły ku dołowi w kątach, straszliwa nienawiść, zawziętość, a zarazem okrutność niewypowiedziana wymalowała się w mglistych starych oczach. I uśmiech straszny na twarz wystąpił. Niewiedzieli nic, szli spokojni, ufni, bezpieczni. Sablik śmiał się w duchu. Naciągnął łuk, zmierzył do oka i ze świstem wypuszczona strzała w tył głowy między kapelusz a kołnierz barankowy serdaka ugodziła strzelca, idącego po lewej stronie.

Z jękiem zwalił się na twarz, rozkrzyżowując ramiona.

Drugi strzelec zwrócił się, zerwawszy rusznicę przez głowę, ale w tej chwili drugą strzałę Sablik wpakował mu w gardziel.

Krew go oblała, zatoczył się, rusznica mu

z ręki wypadła i runął plecami na drzewo, poza nim stojące.

Wtedy Sablik z gęstwy z ciupagą w ręku wyskoczył.

W mgnieniu oka przypadł ku wspartemu o drzewo Liptakowi, a temu strach śmiertelny unieprzytomnił lice i szept śmiertelnego lęku wydarł mu się z ust:

— Sablik!...

Jedną chwilę patrzył nań Sablik, któremu siwe włosy zmierzwiły się od igieł smrekowych i polepiły od smoły — chciał widzieć trwogę nieprzyjaciela, błagalne o życie oczy, drżenie ciała wrogiego przed wzniesioną ciupagą.

Napawał się. Pił rozpacz, strach, bezsilność modremi, mglistemi oczyma, poczem śmignął siekierą i czoło Liptakowi rozłupał.

Ten z wrzaskiem się okropnym zwalił i otrzymał pięć uderzeń na ziemi.

Zabitego już Sablik rąbał.

Poskoczył potem ku towarzyszowi, który z mózgiem przebitym martwy leżał.

Wówczas Sablik obrabował strzelców liptowskich: zabrał im rogi z prochem, kule, noże i żywność, a strzelby pochował pod głazy, aby je później zabrać, bo ciężkoby było. Wydarł strzały swoje z ran strasznych, obtarł o trawę i w pochwę schował.

I poszedł dalej.

Raźno mu się szło, lekko, rzeźwo, odmłod-

niał. Pojadł niedźwiedziny, popił niedźwiedziego sadła, Liptaków pobił...

Wychynął już z lasu w ubocze, a wówczas obejrzał się za się.

Samotny był.

Gołe Wierchy były poza nim, Wielka Kopa, Tomanowa Polska, Węgierska, Czerwone Wierchy od południa wokoło, góry ogromne, pod nim las, a nad nim niebo.

Roztężyła mu się pierś, rozwarła szeroko.

Czuł się królewski, wielki, niepokonany.

Poznają go strzelcy, co towarzyszów swoich pomordowanych znajdą. Poznają go po okropnej celności strzał. I pójdzie znowu o nim wieść na Wyhodną, Kokawę, Prybilinę, Mięguszowce, Hradek, Wielką, — Sablik był, ludzi pobił, Sablik chodzi po górach!..

Roześmiał się.

Jak okiem sięgnąć, samotny był, pan Tatr, kozic, jeleni, niedźwiedzi i strzelców liptowskich.

Nieprzemierzona pustynia powietrza w twarz starą, bruzdami pożłobioną, wiatrem mu uderzyła.

I zwrócił się ku przełęczy w ubocz, do góry, dobywszy gęśliki z rękawa czuchy i nucąc nad opartemi pod ramię:

Sablik se zaśpiéwał,
Krywań mu odpedział,
bo o jego sprawie
nik iny nie wiedział...

Nieprzemierzona przestrzeń powietrza słuchała.

A oto opodal, niewietrząc niczego złego, stado kozic igrało. Stare pasły się po odtajanej od słońca ku południowi trawie na uboczy, od czasu do czasu pozierając na młodzież, która cuda broiła. Jedne w szalonem tempie ścigały się po upłazach, inne się bodły, na kolanka przyklękając i pod brzuch różkami celując, jak zwykły czynić capy, walczące w jesieni w czas rui, drugie zjeżdżały po śniegach w dół, na zadach przysiadając i podbijając się nad urwiskami na cztery nogi, jak sprężyny stalowe odgięte. Niejedną śnieg skręcił i zwiózł na grzbiecie, przecie zawsze w porę się dźwignęła i podbiła.

Naliczył ich Sablik jedenaście starych i ośm młodych, godny kerdel, dziewiętnaścioro. Lecz gdy kombinował, czyby je podejść mógł, nagle z góry, jakby z obłoków wypadły, orzeł na stadko uderzył. Nim zbiegły się, nim skupiły i rogi nadstawić zdołały, już na rocznego capiorka runął i szponami mu boki obłapił.

Ale podnieść niezdołał. Cap zaś w przechodzącym wyobraźnię ludzką pędzie począł biec na oślep przed siebie, i widział Sablik, jak orzeł skrzydła rozpiął i unoszony gnał nad przepaście. Szponów wyrwać głęboko wbitych niemógł, dzióbem kuć ofiary wśród rozpacznego pędu po łbie nie zdołał. Sus za susem leciał cap w dół, do skrzydlatego potwora podobny. Już uderzył tak

strasznie skrzydłem orlem o turnię, mimo przebiegając, że złamać je musiał, bo skrzydło orłowi zwisło. Lecz snadź w oczy krzywym dzióbem ptak uderzyć potrafił, bo oto bez kierunku, na oślep capa Sablik gnającego zobaczył w urwiska, gdzie gruchnął z krzesanicy na upłaz i toczyć się poczęli w dół wśród olbrzymich wahadeł skrzydeł orlich, aż znikli Sablikowie z przed wzroku.

— No niegze ta—pomyślał Sablik—przydziemé po niedźwiedzia jutro, to ig ta najdziejmy w dolinie, jak ig liski i rysie nie zezrejem do znaku.

Kerdel kozic pierzchał wichrem ku szczytom nad Kasprową Doliną.

Żył Marduła Franek w strapieniu srogiem i opuszczeniu nieludzkiem w lochu u pana Rzeszowskiego, gdy zwłoki starca zabrano. Rezygnacya go ogarnęła i melancholia tak ciężka, iż całemi dniami i nocami, podobnie jak zmarły starzec, z głową na piersi zwisłą siedział bez myśli już prawie, bez czucia.

— Pomału to i ja gadać zabacem—myślał— i sto roków tak przezyjem bez té portki niescénsne...

Wtem pewnego dnia klucz w zardzewiałym zamku drzwi do lochu zazgrzytał i przy blasku latarni, którą niósł odźwierny, ukazał się postawny mężczyzna z ręką za pas wetkniętą, w czapie z zawiasami i szerokich hajdawerach i rzekł:

— Możesz iść.

Marduła nie zrozumiał.

— Wto? Kany? — zapytał.

— Ty; gdzie ci się podoba — odpowiedział mężczyzna.

— Wolnyk?! — wrzasnął Marduła.

— Wolnyś.

Marduła buchnął do nóg panu, ten zaś odsunął go mocną ręką i powiedział:

— Nie mnie dziękuj, jeno Bogu Najwyższemu i jaśnie wielmożnej pannie Agnieszce Rzeszowskiej, kasztelance Wojnickiej, która za wojewodzica Sieniawskiego za mąż wychodząc, ojca w dniu zrękowin swych o wypuszczenie więźniów ubłagała.

— Je kaz tys ona? — wrzasnął Marduła.— Cobyk jej nogi obłapiéł!

— Módl się za panną kasztelanką i o błogosławieństwo Boże dla jej potomstwa proś i ruszaj z Bogiem.

Marduła się zebrał i poszedł.

Zataczał się, jak pijany, gdy wyszedł na powietrze. W łachmanach go z zamku puszczono, a gdy się z za rzeki poza siebie obrócił i czarne małe okna u dołu murów ujrzał, o mało nie omdlał ze zgrozy.

W okropnem odzieniu, z włosami niżej bark, z brodą blizko pępka, szedł, jak dziad, o kawałek chleba prosząc, aż mu się na prawdziwego dostatnio odzianego dziada w polu trafić udało. Tego obdarł do koszuli, samego zaś u suchej wierzby uwiązał, aby za nim z wrzaskiem nie leciał i puścił się w dalszą podróż. Ale nie ku domowi naprzód skierować się postanowił.

Maszerował on ze sakwami dziadowskiemi i kijem prosto pod Kalwaryę Zebrzydowską, gdzie

go sołtys na kradzieży portek złapał i dragonom pana Rzeszowskiego oddał.

Po paru dniach wędrówki zaszedł na miejsce pod wieczór.

Zastał sołtysa, jak był, tylko podstarzałego nieco; prosił o nocleg, pozwolono mu go. W zmizerowaniu więzieniem wyglądał na starca, poznania się nie obawiał.

Po wieczerzy, którą mu dano, cuda jął opowiadać.

— He! — zaczął — Kiebyście wy wiedzieli, po co ja hew przizeł!

— No po co, po co? — zapytał ciekawie sołtys.

— He, kie mi moze nie uwierzicie — ociągnął się Marduła.

— No ino gadajcie, gadajcie dziadku, bedziemy widzieć.

— Idem ja zdaleka, ze świentego miejsca, aze od grobu Krystusowego.

— Joj!

— Miałek hań objawienie.

— W Imie Ojca i Séna!

— Ukazał sie mi świenty Tobijas i pedział mi tak: jest hań sołys pod Kalwaryjom Zebrzydowskom, grześnik straśny —

— E, co by ta!

— Dyabli sie o niego jus pytajom —

— Rany Boskie!

— On ukrzywdził straśnie cłeka —

— No bez co? Jako? Kiedy?

— Hłopa piéknego, młodego, co portki u niego wyzycyć przyseł, z parobkami dobił i zołmirzom pana Rzesowskiego dał.

— Wyzycyć? Prawda! Ukraść! I kie to ta było! Dawno! — odmarknął sołtys.

— E dy mnie świenty tys wcora rano nie gadał — obruszył się Marduła. — Trzy roki ze Ziemie Swientéj idem. Bez dwanaście mórz jek płynon i dwa sta rzek jak morze głębokik jek przeseł; a jyno trzy mosty na nik béły.

— Jejejej!

— I pada mi ten świenty Zachareus...

— Dyjeście mówili Tobijas?

— Tobijas sie nazywał na ziemi, a w niebie to go zaś Zachareusem wołajom, bo ta i was po śmierzci niebedom wołali: Wojciechu! — jyno: podź haw, grześniku zatracony!

Sołtys westchnął.

— Pada mi: icie dziadku ku temu sołtysowi pod Kalwaryjom i powiciez mu tak: hłop sie obiesił ze zalu i sytkie jego grzyhy na niego spadły z hłopa. A to béł złodziej, drapieźnik, łupierz, bitnik, zabójca i gwałciciel.

Sołtys głowę zwiesił.

— Za to sytko, co ten hłop porobiéł, bedzie ten sołtys na tamtym świecie odpowiadał. Dyabli sie o niego pytajom, co sie biéda ognać, padał świenty.

— No to cóz radzić? Cóz radzić?

— Co radzić? Źle. A znacie wy tego sołtysa?

Popatrzył sołtys na żonę, żona na niego. Wtem Marduła oczy przysłonił i wrzasnął:

— Ze coz to?!

— Co? Gdzie? — spytał przerażony sołtys.

— E za wami! E hań! Cy cień stoi?

— E gdzie?!

— E hań, za plecami! Rany Boskie! W imie Ojca i Syna i Duha Swientego! Jamen! Jamen! Jamen!

I Marduła począł czynić krzyże w stronę sołtysa.

— Cóz tam?! — krzyknęła wystraszona sołtyska.

— Dyaboł hań stał! Lewdy jek go odegnał!

Sołtys skulił się i pot mu urosił czoło, a Marduła żegnał i powtarzał: Jamen! Jamen Jamen!

— Niéma gu jus? — szepnął sołtys.

— Niéma. Uciók przed krzize, a pote ja tu mam wode, co jom Panjezus w Kanie Galilejskiej nie dopiéł — i pokazał flaszkę z wódką którą w sakwie dziadowskiej namacał.

Sołtys się skulił w dziesięcioro i w przerażeniu drżącym głosem pytał:

— A nie pedział wam świenty, jako sie sołtys ratować ma i cyby sie jako dyabłu nie wykupił?

A Marduła z powagą na to:

— Pedział mi świenty Tobijas tak: niek sie sołtys wybicować da, coby go bez tydzień baba miała po cym smarować, a pote pieńdziesiont dukatów na okfiare księdzu na msom do kościoła na Obidowom do Krziza niek zaniesie.

— Je skondze ja tys takie pieniądze weznem? — jęknął sołtys.

— Toście to wy som jest?! — krzyknął Marduła zdumiony, usuwając się w świątobliwem zgorszeniu na bok.

Sołtys głowę zwiesił.

Wtem Marduła jak wrzaśnie, jak chluśnie wódką w okno:

— Dyaboł zaźrał!

— Do okna?!...

Po niedługiej chwili legł sołtys na ławę. A Marduła, że osłabiony się czuł, dał kostur swój sołtysce, a co wycięła męża, wołał:

— Tęzéj ze! Tęzéj ze! Dyabły wyskakujom jak śmieci ze zboza we młynku! O! O! Tu je! Tu dwaj! Kielo to tego! Jesce ze go! Jesce ze go! Ze dy tu pełna izba grzyhów!

Dwa tygodnie Marduła u sołtysa siedział, jadł, pił, łgał i do siebie przychodził, a chłopi się do niego schodzili, nad którymi modlitwy odprawiał, błogosławił, złe zażegnywał. Jak do cudownego obrazu chłopi ciągnęli i po rękach go całowali, a znosili jadła, napitku, przyodziewy, domek postawić chcieli, byle ich tylko nieopuszczał.

A Marduła miał prosto z nieba wiadomośc, jak prorok.

Pewnego dnia spojrzał w górę, zobaczył burzę, ciągnącą od Krakowa: powiada niby do siebie, ale tak, żeby go wszyscy słyszeli:

— Wiedziałek, ze tak bedzie...

— No co? No co? — pytają się ludzie, co ku Mardule procesyą szli.

— Ociec zły... Pokłopocili sie ze syne... To zawdy tak — mówi Marduła, kiwając ręką z rezygnacyą.

— Wtory ociec? Jaki?

— E to tak. Panu Bogu to jus dawno markotno o to, ize nie Jego kwalom, ba Pana Jezusa. Ja, pada, stworzéł świat, ludzi i syćko, powié to wto: niek bedzie pofalony Pan Bóg? Ba jyno syćko: niek bedzie pofalony Jezus Krystus! A coz on proci mnie? Jakby mnie, pada, niebéło, toby i jego niebéło. Jak wto wkiełźnie do kałuze, abo do młaki, o to wtedej: Boze ratuj! Abo do biédy wpadnie, źle mu wyhodzi: Boze jedyny, nie opuscajze mnie! A jak se ślebodno idzie, dobrze mu: niek bedzie pofalony Jezus Krystus! Je pokiel ze to tego bedzie?

Chodzi po niebie, pomrukuje, a Duk Świenty za nim na skrzydłak lace i w usy mu: gru gru gru! gru gru gru! — bo tys Paniezusowi zazrości.

Jaze Pana Jezusa cysto piéknie nagniéwali oba, stanon wej proci nik i pada: Je kiz to sto

dziadów! Kieby nie ja, toby ani telo niebéło! Bo by béli na świecie jyno sami Zydzi i Turcy! A jesce ta Ociec jako Ociec, ala ty Duhu Świenty nie podwódź, ba rad bydź, co cie do Świentej Trójce rahujom, hoćjeś ptak! Furces, laces, a coś zrobiéł? Cyś sie to ukrzizować dał? Abo byś znał zmartwykpowstać? Pockaj! Niek cie oskubiom i zamurujom, cy trzeciego dnia wyjńdzies! Niebój sie! Zielone Świątki mas po moik Godak i po Wielgiej Nocy — kieby moik Świąt niebéło, to twoik jesce ani telo! Wtoby ci kadziéł po kościele, kieby nie ja?! Ja sie doprociwiéł, coby w Męce Pańskiej nic nie hybiało, a tyś za tela grok dzióbał po niebie! A Ociec to tys zawdy taki pokłębny! Jak mie niémieli ludzie kwalić, to ik nietrza béło stwarzać! Ba haj! Cy ja pytał o nik? Cy mi to końcem trza béło na krzizie wisieć? Ja by sie był zaobeseł bez tego! Wiera! Moze nié?!

Telom zwade zrobili, co cud! Prziléciała Matka Boska, słuha, za Synem stanena. Takiście skrzętny, pada do Pana Boga, jak i mój Józef! Syćko mu źle! Cyście jus taki stary, jak i to moje Świente Józefisko?

A Pan Bóg straśnie nierad widzi, kie mu o starości radzom. Icie, co sie robi? Jakie hmury carne idom? Bo sie Ociec ozpajédził, pada: staryk? Ale mi wej jesce nic niehybia! Młodego przeskoce! Potrafi to wtore s was? Kie łup-

nie pierunami! Bo ono ta hań kajsi jus dawno grzmi. A tu do nas idzie.

Kiwali chłopi głowami w niemem zdumieniu na objawienie.

A gdy sołtys konie sprzedał, woły sprzedał, a Marduła się podpasł i do sił wrócił, ruszyli razem w las, ku Obidowej, z ofiarą po grzechów odkupienie, bo się dyabły mimo biczowania ukazywać w oknie nie przestały. A gdy głęboko już w lasach i pustkach kilka mil od Kalwaryi byli, Marduła sołtysa za kark ułapił, na ziemię zwalił, piętą w potylicę kopnął, drugi raz poprawił i pistolet, który sołtys za pas na drogę wraził, wyrwawszy, do łba mu przytknął i wrzasnął po zbójecku:

— Daj piniaze!

W śmiertelnem przerażeniu i zdumieniu sołtys woreczek z pieniędzmi oddał, a Marduła ze trzydzieści razy kosturem go jeszcze po dopiero co wysmarowanych miejscach potężnie przeciągnąwszy, krzyknął!

— Dyabli cie odstompili, bestyja, cok skróś tobie tele roki w hereście wysiedział?! Pockajze, oni cie haw najdom! Héba ci świenty Tobijas Zahareus pomoze!

Chwycił ledwo żywego sołtysa i związawszy mu pasem z własnych jego spodni nogi, głową go na dół na konarze powiesił i w las skoczył.

A gdy się u matki swojej pokazał, ta go poznać nie mogła. Odzienie dziadowskie, broda po

pępek, a złotemi i srebrnemi pieniędzmi stół zasiał. Zaraz przyszedł ogromny Gałajda z nożycami, któremi owce strzygał, i Mardule włosy urównał i brodę obciął, a potem go ogolił, głowę mu pod pachę wmiesiwszy i mocno trzymając. Potem mu nowe swoje portki olbrzymie odprzedał, a potem zaraz Marduła portki ręką przytrzymując, bo mimo pasa zjechać chciały, między dziewki poleciał, ale już ani jednej znajomej panną nie zastał, gdyż wszystkie zamąż powychodziły.

Wyprawił więc ucztę w karczmie na Ustupie, aby się o nim znów głośno stało i o przygodzie swojej ze sołtysem pod Kalwaryą Zebrzydowską, o więzieniu, o starcu w niem, o uwolnieniu, o tem, jak sołtysa wypłacił, szeroko i głośno opowiadał. Dobiegły te wieści Maryny Toporównej i w sercu jej zewrzało.

Sobek Topór po powrocie z wypraw Janosikowych natychmiast się z Hanką Bulcykówną ożenił, Maryna zaś mały dom osobno pobudowawszy, samotna siedziała, o wyjściu za mąż słyszeć nie chąc, choć się mimo nędzy powszechnej, klęsk i moru wielu parobków o jej rękę głosiło. Ale Maryna odtrącała każdego i w posępności chodziła, a rada była tylko Krzysiowej muzyki słuchać, który też od Janosika do domu do Byrki powrócił.

Zastał Byrkę stęsknioną Krzyś i zaraz po

dawnemu na wieczerzę krapkę kapusty dostał i pod nogę jej potem wlazł.

Zły czas skończyć się nie chciał. Wiosnę całą tak lało, że potoki górskie ziemię z zasiewem znosiły i wszystko gniło, a co zrosło, niebywałe po tych deszczach susze wypalać jęły. Zapowiadał się głód jeszcze większy, niż był w zimie.

Ale Maryna niedbała o to, ani o nic na świecie. W jej sercu rosła straszna tęsknota do wojewodzica Sieniawskiego, do jego uścisków i do jego mowy pieszczonej. Gdy Janosik Nędza Litmanowski do karczmy w Zaborni z Sobkiem Toporem wszedł i w łożu ją z wojewodzicem znalazł, równocześnie opanowały ją wstyd, wściekłość i strach o Sieniawskiego, że byłaby brata rękami własnemi udusiła, gdyby był Janosik ciupagi Sobkowej nad wojewodzicem wzniesionej swoją ciupagą nie podbił. Czuła to, że Sieniawski droższy jej jest nad wszystko, a gdy z bandą Janosikową na szlacheckie dwory szła, to nie tyle szła, by się na szlachcie mścić, ile by czuwać, aby Sieniawskiego nic złego od chłopów nie spotkało. Ale wojewodzic znikł jej z oczu — pewno na zamku swoim daleko na Rusi bezpieczny za murami siedział.

Nie wiedziała, że Sieniawski ze wstydu i złości, iż go chłopi pobili, i w wojnę taką wdawać się niechcąc, Sulnickiemu gromienie rebelii zlecił, sam zaś do Włoch pojechał i tam w Rzy-

mie śród panów italskich i dam żył, błyszcząc urodą, wzrostem i złotem. Po długim czasie dopiero wrócił i w węzeł małżeński wstąpić postanowił.

Ale nie myślał już o Herburtównie, której śladu odszukać się strapionemu ojcu niedało. Ku kasztelance wojnickiej, znakomitego w Rzeczypospolitej domu, Agnieszce Rzeszowskiej afekt obróciwszy, wzajemność jej nie tyle zdobył, ile ofiarowaną sobie przyjął i zrękowiny odbyły się na wiosnę, a ślub do lata, dla ogromnych przygotowań odłożono.

Królewskie to miało być wesele, od którego Rzeczpospolita olsnąć była powinna.

Wynieśli tak wysokiego związku sławą Rzeszowcy nad stan i miarę przepych weselny gotowali, Sieniawski zaś jedno tylko: nowy kontusz z brylantowemi tak olbrzymiemi guzami robić rozkazał, iż ile guzów, tyle wsi dobrych u sukni mu wisiało. Sporo złota ze skarbu sieniawskiego i brzeżańskiego wyszło, ale ten ubytek ledwie znać było.

Maryna z Hrubego nieczekała. Na koń, jak, uprzednio, gdy do Zaborni jechać miała, siadłszy, ruszyła nad San, ku zamkowi panów Rzeszowskich, podług drogi, jaką jej Marduła rozpowiedział.

Co chciała przedsięwziąć—niemyślała. Przeszkodzić chciała ślubowi wojewodzica i przeszkoszkodzić temu ślubowi wyruszyła z Hrubego.

Mijała miasteczka i wsie, lasy, pola orne i pastwiska, widziała stada koni panów małopolskich i niezliczone trzody bydła i owiec, których, zda się, wszystkie hale w Tatrach by nie wypasły; widziała dworki, dwory, pałace i zamki warowne, dumne grody Lubomirskich, Zborowskich, Mieleckich, Szydłowieckich, Kościeleckich i króla. Widziała świat nieznany i odmienny, ale nie dziwowała mu się. Albowiem serce jej pełne było tylko miłości, tęsknoty, żalu i wściekłości.

I myślała, jak się dziwnie plecie, że Mardułę niedługo potem z więzienia puszczono, gdy ona do domu powróciła, że właśnie siedział on w zamku pana Rzeszowskiego i panna Rzeszowska, którą Sieniawski ślubić miał, wolność mu wybłagała, jakby umyślnie, by o weselu opowiedzieć mógł. Czuła w tem rękę bóstwa — Dziedzilii, pani miłości, czy okropnej Zamarzłej Czernicy, której oddech upadał lodem. Wiodło ją li coś dobrego, Chrystus i Białybóg, czy Złybóg i dyabli piekielni?

W niewiadomości jechała z dziką rozpaczą i dziką miłością w sercu, nie przemyśliwając nic, nic nie przewidując. Ale byłaby jechała w paszczę niedźwiedziom rozżartym.

Siłę też w sobie czuła taką, że jednym zamachem pięści powaliła ogromnego chłopa, który jej drogę w lesie koło Bochni zastąpił, obroniła się też siekierą z domu wziętą trzem kundlom owczarskim, które na nią, gdy przez pustki przejeżdżała, napadły i ją i konia rozszarpać chciały.

Bóstwo ją jakieś wspomogło wtedy, bo jednemu z psów czaszkę rozłupała na prawo, drugiemu łapę w powietrzu przetrąciła na lewo, trzeciego zaś koń uderzył zadniemi kopytami i na miejscu ubił.

Po tygodniu blizko jazdy ujrzała zamek, który z opowiadania Marduły poznała, iż był zamkiem panów Rzeszowskich.

Było to pod wieczór, na pustym gościńcu. Maryna zsiadła z konia, zdjęła zeń uździennicę i siodło, odniosła nieco w gąszcz, a konia, poklepawszy po karku, puściła wolno. Zaraz zaczął się paść.

Sama zaś legła w gęstwinie i do rana czekała.

Nazajutrz rano, siekierę pozostawiwszy, do zamku prosto poszła, gdy ją odźwierny w bramie zatrzymał, opowiedziała się za biedną sierotę z domu przez macochę wygnaną, która służby szuka. Wpuszczona obejmowała nogi gospodyn i po kolanach ją całowała, aby jej rondle myć, krowy doić, lub choćby świniom jeść nosić pozwolono. Jej wspaniała mocna budowa, uroda i bystra przytomność umysłu ułatwiły jej przyjęcie — dano ją do kuchni.

Widywała pannę Rzeszowską i starała jej się na oczy wejść. Panna Agnieszka, łagodna i ludzka z natury, a sama w domu wiele czyniąca, zauważyła ją i widząc zręczność i urodę, z kuchni do kredensu przeniosła. Zaczem i do swojej

osoby wziąć ją chciała, ale Maryna wymówiła się, obawiając się wejść na oczy wojewodzicowi, którego przyjazdu wrychle się spodziewano.

Albowiem nie wiedziała co ma czynić? Jak przeszkodzić wejściu wojewodzica na Hrube postanowiła, tak postanowiła i niedopuścić do ślubu wojewodzica z panną Rzeszowską, Czasem przychodziło jej na myśl chwycić siekierę od drwa rąbania i przechodzącą przez dziedziniec, lub spacerującą po ogrodzie pannę napaść i głowę jej roztrzaskać, ale gdy spojrzała na pannę Rzeszowską, żal się jej zrobiło panny, bo o swoje życie, ani tortury niedbała. Panna Rzeszowska piwne miała oczy i tak się niemi śmiała do każdego, jak kwiatami. Podobne do ciemnych bratków aksamitnych te oczy były. Całą twarz dosyć ciemną miała z rumieńcem jasnym i włosy kasztanowate. W chodzie zaś, w ruchu, w ciele powab taki, że czarowała ludzi. Kobiety to rozumiały, że posiąść taką, taką przytulić szczęście niewypowiedziane.

Nie dziwiła się Maryna Sieniawskiemu, że taką zakochał, że przy niej Beaty Herburtówny zapomniał, a cóż dopiero o niej, prostej dziewce. Słyszała też, jak mówił kozak Sieniawskiego z listem przysłany, że pan bratu stryjecznemu mówił, iż większa gładkość panny Agnieszki, niż nierówność fortuny, parenteli i godności w Rzeczypospolitej.

Co się Marynie pięści na pannę Rzeszow-

ską ścisnęły, to opadły znowu, a panna, jak umyślnie, szukała jej, głaskała po twarzy, lubiła z nią mówić, nazywała Marynią, albo Marychną i obdarowywała znoszonemi chustami i spódnicami, choć na Marynę krótkie były. Aż inne dziewczęta dworskie zazdrość brała, ale i poszanowanie w ludziach dla Maryny rosło.

Myślała Maryna to i to. Czasem żeby się do wyprawnej służby panny Rzeszowskiej, coby jej nie trudno było, dostać i wojewodzica choć zdaleka, choć z kuchni, czy pralni widywać, ale czuła, że toby było męką straszliwą, niemożebną do przetrwania. Jej miłość do wojewodzica unosiła ją, jak wicher płomień roznosi. I czuła Maryna, że wszystko naokół niej jest jako dachy słomiane na stodołach, iż na co spadnie, zniszczy i strawi.

Czuła się z tą mocą nad tymi ludźmi. Naczynia stołowe myjąc w kredensie, czuła się jak orlica nad pawiami w dziedzińcu, wybierająca czas, aby uderzyć. Wietrzyła krew, ona, która tak wściekle rzucała się w bój, gdy się zdarzyło starcie, kiedy w bandzie Janosika chadzała, że ją krwawą Maryną nazywali. Szukała śmierci.

Obłąkiwała ją myśl, aby podziać gdzieś pannę Rzeszowską, stracić ją z oczu Sieniawskiego, jak się niegdyś Herburtówna Beata z oczu ludzkich zapodziała, nikt niewie gdzie przepadłszy?

Z zamku Rzaszowskich, z okien, patrzała na

Wisłę, wielką i szeroką, nieopodal płynąca, między wikliny i przylaski.

Panna lubiła chodzić nad Wisłę. Rwała kwiatki i nuciła piosenki dworskie i chłopskie, bo tych masę umiała. Zapytała też o to i Marynę, a gdy jej Maryna raz i drugi z cicha w dziedzińcu swoje przeciągłe góralskie śpiewanki zanuciła, rozsmakowała się w nich panna i na przechadzki jej ze sobą chodzić kazała i śpiewać.

Dziwnie się po dolinach nad Wisłą po wiklinach rozlegało:

Cyś mie ty widziała, cy ci wto powiedział,
ze ja na wirsycku z owieckami siedział?
Ani mi wto mówiéł, jyno ja widziała,
jak sie na wirsycku owiecka bielała!...

Śmiała się czasem panna z dziwnej, obcej nuty, a czasem uczyła się i ciągnęła razem z Maryną:

Wysoki zamecek, wzioneś mi wianecek!
Wysa jesce skała, samaś mi go dała!
Wianku lelujowy spadeś z mojej głowy,
Pudzies dołu wodom, nie zejnde sie s tobom!...

Nieraz nad głębią wodną napadała Marynę chęć porwać pannę Rzeszowską wpół i w wodę wtrącić. I gdyby się ratowała, póty po głowie kamieniami bić, aż na dno pójdzie i woda ją zniesie. Widziała jej ciało płynące z falą, coraz dalej, coraz dalej, precz, na zawsze, na wieki...

I nie nieśmiałaby tego uczynić, ona, która

przez lata cztery przy Janosiku Nędzy parobkom dworskim i panom, harnikom królewskim i wojsku w twarz w czasie walki patrzyła, aniby nie była niezdolna śmignąć swemi stalowemi ramionami dziewczynę na siągę od brzegu, w głąb...

W zamku zaś czyniono do ślubu przygotowania, nad miarę świetne.

I nadszedł on czas nieszczęsny dla Maryny.

Widziała z okna kredensu, jak w złoconej poszóstnej karocy, w siwe jabłkowite konie tureckie, z grzywami do piersi i ogonami do ziemi, zajechał wojewodzic Sieniawski z pozłacanymi hajdukami z węgierska na koźle i za karocą. Widziała go przez szybę kryształową i jak wysiadał świetny i piękny, w bramowanej sobolami delii aksamitnej granatowej, kapiącej złotem.

Widziała go z okna kredensu, z za kraty, i byłaby się rzuciła ku niemu udusić go, zadławić i zacałować na śmierć.

Trzystu ludzi przyjechało za nim w orszaku. Jechali husarze nadworni i kozacy, koniuszowie i masztalerze, hajduki, pajuki, rękodajni i marszałkowie jego dworu, sokolnicy z cudnemi sokołami i wiedzione smycze chartów wspaniałych. Nawet wielbłądy dwa przyszły złotoszytemi kapami okryte.

Obóz poza zamkiem rozbiła drużyna Sieniawskiego, bo jej gdzie w zamku pomieścić niebyło. Ale choć tak licznym otoczony był dworem, taką potęgą oblubieniec, przecie większą potęgą

nad jego oblubienicą czuła się Maryna z Hrubego.

Zjechała gości moc wielka, panów i dygnitarzy koronnych, krewnych pana młodego i panny młodej, zjechało też i pomniejszej, mniej znacznej, ale zacnej szlachty wiele, obu domom powinowatej, i zaroiło się w zamku i w miasteczku pod nim, jakoby wielki jarmark się odbywał.

A wśród tej ciżby chodziła pana Agnieszka Rzeszowska jasna, jak gwiazda, od szczęścia.

Zabawy Maryna widziała z okna kredensu: ścigali się młodzi kawalerowie do pierścienia, kopiami z siodeł wysadzali na improwizowanych turniejach, szczuto psami chowane niedźwiedzie i w pole kawalkaty wyjeżdżały z psami i sokołami, oblubieńcy pośrodku.

Wyło w Marynie serce.

Kryła się, aby Sieniawski jej nie ujrzał, a także przed swawolą młodzieży szlacheckiej, przebierającej w dziewkach dworskich, miasteczkowych i wiejskich w okolicy, jak w ulęgałkach. Pojąć tego Maryna niemogła, bo dziewki oddawały się jak niewolnice, na jedną noc, na jedną godzinę, na jedną chwilę nieraz. Najmniejszego oporu, najmniejszej swej woli nie miały. Kto skinął, kto zawołał, do tego szły. A gdy jedną Maryna zagadnęła, odpowiedziała:

— Jest, ze sie kce, jest, ze sie nie kce, ano lepiej po staremu, jak matki robiły, jako podkówkom w brzuch dostać, abo kściną bez plecy.

— A cyś ty niewolnica?

— Jo poddana, pańska. A ty to nie?

— Nié!

— A cyjo ześ ty?

— Swoja i swojej śmierzci!

— Śmierci? No to my wsyscy. Piérsy Pombóg, drugi pon, trzecio śmierć. A coś ty inksygo, jako jo?

— Nic — odparła Maryna i pomyślała gdzie inaczej ona tuliła ku sobie pierwszego z pośród tych kawalerów, ah! i pana młodego panny Rzeszowskiej!...

A gdy wszyscy pojechali do kościoła w miasteczku ślubnym orszakiem i zamek opustoszał, chwyciła Maryna nóż długi i szpiczasty i wbiegła z nim na schody, niedostrzeżona przez nikogo, i przez komnaty popędziła aż do tej świetlicy, gdzie łoże oblubieńcze na noc poślubną nowożeńcom pod baldachimem z błękitnego w gwiazdy złote tkanego jedwabiu przygotowane stało. Stare łoże dębowe, na którem panny Rzeszowskie od prababek dziewictwo traciły, z wyjątkiem tej jednej, co się z lekarzem nadwornym skaziła i żywcem w lochu pod zamkiem zamurowana za króla Zygmunta została.

Wielkie ciężkie kotary osłaniały to łoże, grube i fałdziste, ku samej ziemi opadłe. Szybkim ruchem znalazła się Maryna za kotarą przy ścianie, ukryta tak, że chybaby umyślnie ktoś jej szukać tam szedł, aby mógł odkryć.

Decyzyę powzięła jedną: zamordować oboje, gdy się oboje do rozkoszy ułożą.

— He, ty, bees ś niom spał?! — szeptały jej zakrwawione zębami usta. — Ty bees jego!? Ty!? Cekajcie! Ja haw!...

Długo głusza wielka zalegała zamek, aż przez okna uchylone usłyszała Maryna trzask z batów, strzelanie z moździerzy, okrzyki, snadź powrócono od ślubu.

I długo, długo w noc grzmiał zamek od palby z moździerzy i armatek, od śpiewów i rozgwaru weselnego, a jaskrawe blaski wpadały do ciemnej komnaty małżeńskiej, bo już wieczór nastał i noc nastała. Wtem weszło dwóch hajduków z zaświeconemi kandelabrami, a za nimi wojewodzic Sieniawski z oblubienicą i rodzice panny młodej i orszak cały weselny, który państwa młodych w łoże prowadził.

Tam słyszała Maryna, jako chór pacholąt cudnie biało przystrojonych, różami cały dywan w komnacie zasłał i przy dźwiękach niewidzialnych lutni śpiewać począł:

Za amora przyczyną
wstąp w to łoże dziewczyno,
kawalera grzecznego
przymknąć do serca twego.
Już my długo czekali,
róże w ogrodzie rwali,
byś w to łoże, niebogo,
wonnych kwiatów szła drogą.
Niech cię Wenus za łaską

swą ozdobi przepaską,
byś mężowi się zdała
jeszcze piękniejsza cała.
Nic już kryć się niegodzi,
słodki będzie to złodziej,
gdy zbawionej sekreta
krzyknąć przyjdzie: o reta!
Jać nie przyjdę ratować,
ani będę żałować,
czegoś chciała, dostałaś,
znajdziesz, czego szukałaś!
Ani twego błagania
luto mi, ni wzdychania,
czegoś chciała, szukała,
to będziesz dzisiaj miała —
vivant! crescant! floreant!

Poczem matka, babka, ciotki, stryjny, krewne, druhny i przyjaciółki poczęły żegnać płaczącą pannę młodą, hajdukowie cofnęli się z kandelabrami, cofnął się orszak ślubny i Sieniawski z panną Rzeszowską pozostali sami.

— Moja — krzyknął wojewodzic chwytając ją w objęcia.

— Mój!...

Piekło wrzało w Marynie. Oddech tłumiąc i nóż ściskając przytłaczała się do ściany za kotarą.

Ogniem żywym palił jej się mózg i paliło serce. Wydawało jej się, że rozsadza ją, rozerwie w sztuki uczucie, którego nazwy nieznała. Wsłuchiwała się. Zda się, jakoby brała w siebie żar, piekło całe. Czuła się podobną do dział

podczas oblężenia Czorsztyna, w które im więcej prochu nasuto, tem straszliwszy wyrzucały pocisk.

I nagle jęk przedarł powietrze.

Zerwał się z łoża, wydzierając się z miłosnego uścisku Sieniawski, z krzykiem przerażenia porwała się za nim z posłania panna młoda.

— Co to?! — krzyknął wojewodzic. — Zali przywidzenie?

— O nie! O nie! — wołała młoda pani. — Słuchaj! Tam ktoś jest! Jezu! Czy czart?!

I z głośnym przeraźliwym wrzaskiem w bieliźnie runąć chciała we drzwi, by uciekać, ale ją Sieniawski przytrzymał za rękę.

— Stój! Czekaj!

I schwyciwszy szarawary i buty na się, karabelę przy łożu złożoną z pochwy wydarł i ku kotarze przystąpił.

Sieniawski rozchylił lewicą fałdy kotary, w prawicy gotową do sztychu broń trzymając.

Jasny pełny księżyc padał w okno i świecił w komnatę: Sieniawski ujrzał postać kobiecą.

Cofnął się przerażony tym widokiem niespodzianym.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Kto tu!? Widziadło?! A kyss!

Lecz gdy między fałdy rękę pchnął, żywe ciało natrafił. Uchwycił wtedy niżej łokcia stojącą i wyrwał silnie ku sobie, a wówczas przy miesiącu poznał Marynę.

Nóż wbity tkwił jej nad gorsetem w piersiach po lewej stronie.

— Chryste Przenajświętszy! — krzyknął Sieniawski. — Co to?!

— Ja — rzekła głucho Maryna.

— Maryna?! Ty przebita?!

Poznała ją młoda pani i z wybuchem przypadła:

— Marynka?!

— Znasz ją? — zapytał mąż.

— Znam. Służyła u nas.

— Ona? Ty? Maryna tu? Tu? Zkąd?

— A ty ją znasz? — zapytała Agnieszka, już Sieniawska, zdumiona.

— Z dawna! Ty przebita?!

— Haj.

— Jakim sposobem?!

— Ja tobie zabić przysła — rzekła Maryna.

— Mnie?!

— I jom!

Wskazała głową młodą panią.

— Waryatka?! — krzyknął Sieniawski ze zgrozą.

— Nie! Inok kohała.

— Zkądże ten nóż w twych piersiach? Na Boga!

— Ja go sama pchła.

Skłoniła się. Pochwycił ją Sieniawski i posadził na fotelu przy łożu stojącym, nieopodal okna.

— Agnuś! — zawołał. — Wdziej co na się. Biegnij, każ zawołać medyka mego, Franconiego!

Ale Maryna przytrzymała Sieniawską mówiąc:

— Stójcie, pani. Mnie nijakik Frankonik nietrza. Nijakik medyków. La mnie jyno jeden medyk — śmierzć.

— Boże! Marynka! — zawołała pani Sieniawska. — Marynka! Coś ty uczyniła? Coś ty uczynić chciała?i

— Przebiłak się. Coz?

Umilkli Sieniawscy, jakby wstyd, wstyd zresztą niczem wytłómaczalnem niesprowadzony dusze ich przejął. Aż pani Sieniawska rzekła:

— Marynka, biedna, czekaj, nic ci nie będzie, doktora przywołamy!

— Pani — przerwała jej Maryna — nie mąćcie mi śmierzci. Ona idzie. Jus je nie prec. Nabliza się pomału.

Oboje Sieniawscy wzdrygnęli się.

— Nie mąćcie mi śmierzci, nie wołajcie nikogo... Wody mi dajcie krapke.

Nalała Sieniawska z kryształowego dzbana szklenicę i podała ją Marynie.

— Marynka! — jęknęła. — Ten nóż!... W piersiach twoich!...

— Wynijdź pani z pokoja — odpowiedziała Maryna — nie patrz... Krew... Wynijdź i ty, jak fces, panie młody. Umrem sama — ja sprosta dziéwka góralska, mnie haw do śmierzci nikogo

nietrza... Jyno mi ten łaske zróbcie: nie wołajcie medyków. Ja niefcem zyć, ani jus niémogem — ja to cujem... To ino kwila.

Przypadł Sieniawski na kolana przy Marynie, pod nogi ją objął i jęknął:

— Maryś! Odpuść mi! Przebacz!

— Z nicego. Tyś béł pan...

— Kochałeś ją? — wyszeptała słoniąc oczy Sieniawska.

— Ja jego kohała — rzekła Maryna.

— Uwiodłeś ją? — pytała Sieniawska z przerażeniem.

— Ja mu sie dała, sama. Okfiarowałak sie mu — jus nie panna. Pan Kostka mi wieniec z coła sjon, w Ciorśtynie.

— Gdziem cię buławką ugodził — odezwał się Sieniawski.

— Hań.

Sieniawska rozszlochała się. Co słyszę! Czego się dowiaduję!

Powtarzała wśród szlochań.

— Nie płaccie, pani... On wam to kie opowié — we wiecór. Bedziecie sami. Opowié, jako my sie poznali i ka, na polanie, blizo Toporowyk Stawków... Opowié, jako my sie shadzali i jako béło... Pote pan Kostka przyseł — hłopów ratować... On zgromiéł górali, co ig mój brat Sobek wiód panu Kostce na odsiec, twój mąz... Pote mie porwać fciał, posłał zołmirzy... Pote my sie ze sługi, z Tomka, dowiedzieli, ize je jest

w Żaborni — hań ja go zatrzimać posła, nie puścić w Hrube... Tomka mój brat zabiéł.

— To on? Mówiłaś, że go niedźwiedzica rozszarpała.

— Haj. My byli te niedźwiedzie, z brate moim. Pote jek z Janosike Nędzom Litmanowskim posła, panów bić — tobie strzéc...

— Jakto?

— Jaby tobie niebéła dała włosa z głowy sjońć.

Sieniawski kolana Marynine całować począł.

— Pote jek sie dowiedziała, ize sie zénić bedzies — przyjehałak...

— By mnie zabić? — oderwał Sieniawski usta od kolan Maryny.

— I zone twojom. No to mie mas i sable mas — zetnij mie, abo katowi daj, niek domęcy.

Z głośnym, przeraźliwym jękiem runęła Sieniawska na sofę turecką i wyć z płaczu spazmatycznego zaczęła.

— Cicho! Zmilknij! — zawołał Sieniawski.— Widzisz, że jej źle...

Maryny oddech stawał się coraz krótszy, bardziej zduszony, rwany, głowa zwisła jej ku ramieniu.

— A to jest moje życie — poczęła mówić półgłosem, jakby niezupełnie już przytomna — łąki i zimy, las, Carny Staw... Mój brat mie za ramie

wzion, kie ja sie weń zapatrzowała, w głębizne... Kazał mi iść, odejńść, ze hań przepaści... Mnie niebéło pietnaście lat... Ja sie zapatrzyła, wpadłak w głębizne... w toń...

— Czegoś ty chciała? Mów!—szepnął Sieniawski.

— Ja was fciała zabić, bok cie zanadto zakohała. Ja haw męki wystała, wystałak piekło za tom firankom — nie wypowié nik, nie przemyśli nik. Ale kiejek telo miłości wasej użrała — ja nie was, ja moje serce tém noze przebiła, co go haw z piersi mojej widno...

Opadła w fotelu.

— Cierpisz?

— Nie telo — jyno mie mgli — to jus bedzie zaraz... po mnie...

— Bież po księdza! — krzyknął Sieniawski do żony.

— Nieskoro — i co mi po nim? Nie was ksiądz do mojej duse — powiher mnie weźnie...

Wstrząsnął się Sieniawski.

— Maryna! Bluźnisz Bogu! W chwili skonania może!

— He — szepnęła Maryna — podź haw, niek ci głowe przitulem, niek cie przy mnie ucujem... A to wiés, jako śpiéwujom? Hej zahucały góry, zasumiała woda, hej śmierzć mi ulubieniec, a ja panna młoda...

Sieniawski ją za rękę ścisnął.

— Patrzała ja kiejsi we wode, w ciémnom...

W Carny Staw... Zapatrzyłak sie weń... Ono sie mi wej znacyło... Cuł to Sobek, brat, kie mie za ramie ujon... Bał sie, byk nie wpadła... Wpadłak...

Wtem wzdęła jej się pierś, podniosła ręce i krzyknęła prawie głośno:

— Stawie! Stawie! Stawie Carny!...

Głowa jej opadła.

— Jezu! Kona! — zawołał Sieniawski. Sięgnął ręką ku twarzy Maryny — już była martwa.

W bieliźnie z wrzaskiem: ludzie! ludzie! — wypadła młoda pani z komnaty.

Sieniawski pozostał przy Marynie sam. Położył jej dłoń na ziębnące czoło, nachylił się i w usta ją pocałował i w ręce obie i zdawało mu się, że Maryna szepnęła: bądź zdrów! — ale poznał, że to mu się tylko już zdawało. I rękę na czole Maryny trzymając, mówić począł półcicho:

— Przysięgam ci, iże póki życia mego, żaden poddany mój chłop mieczem, kołem, ani ćwiertowaniem karan nie będzie, przez śmierć twoją, Maryna, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż!

Potem nóż z martwej już piersi wolno wysunął, z krwi obtarł i na kolanach zmarłej złożył mówiąc:

— A to relikwia święta będzie, którą na ołtarzu w kościele w Brzeżanach zawieszę.

Śpij!

W tej chwili ze światłem wpadli goście weselni, kto trzeźwy o tyle, o ile jeszcze był, i służba wystraszona.

— Mości kasztelanie! — rzekł Sieniawski do kasztelana Rzeszowskiego, ojca Angieszki. — Gromnice z zakrystyi każ przynieść, księży wołać i modlitwy za umarłych odmawiać. A na zwłoki tej dziewki, tej chłopki Maryny z Hrubego, cztery deski dębowe zbić daj, do Brzeżan ją powiozę i w złoconej trumnie pochować każę. Na obchód pogrzebowy wszystkich waszmościów z sobą zapraszam!

W tenże sam czas wieść po górach poszła, iż dusza pokutująca, czy zaklęta panna po nich się włóczy. Chodziła po halach to tu, to tam od niejakiego czasu osoba młoda, naga zupełnie, tylko w trawy, liście, kwiaty i gałązki odziana, z olbrzymiemi złocistemi włosami, które ją jak płaszcz okrywały, przychodziła ku szałasom, gdzie psy w dziwny sposób nie rzucały się na nią, ale tylko oszczekiwały ją i wyły na jej widok i po jej odejściu; jadła i piła, co jej podano i nie mówiła nic, tylko się uśmiechała. Odzienie, jakiem ją okryć chciano, zrzucała.

Włóczyła się po Tatrach od wiosny, błądziła po lasach i uboczach, wstępując na hale. Znali ją pod Hawraniem, przy Zielonym Stawie, pod Szczytem Kiezmarskim, w Dolinie Zimnej Wody i Staroleśnej, w Dolinie Wielkiej, w Batyżowieckiej, wszędy od Południa. Zrazu bali się jej juhasi i uciekali przed nią; później już tylko kobiety strach przed nią zdejmował. Złego nie robiła nic, do każdego się uśmiechała, jak dziecko.

Miano ją za duszę nie z tego świata, dlatego nikt na nią ręki w żadnym zamiarze nie podniósł, a wiarę tę zachowanie się psów zajadłych i atakujących każdego potwierdzało.

Gdy jednak razu pewnego zawędrowała het aż ku Północy, ze strony węgierskiej Tatr na polską, na ubocz pod Lilijowem, poznał ją tam Franek Marduła, barany pasący, i poniżej pasąca krowy Teresia z Hrubego.

Mówili oni z sobą, gdy widziadło się nabliżyło i w trwodze śmiertelnej za turnicę się schowali, ale gdy bliżej nadeszło, szepnęła Teresia:

— Franek! Ze dy to podane na ten panne, co u Jasiców Toporów bywała, co jom wygnali i ukamienować fcieli i co z Kretem starym usła?

— No no no! I mnie sie widzi!

— Ale pewnie! To ona! Sama ta! Ta panna, co jom Gałajda w śniégu nalaz!

— E, to bedzie jyno jéj dusa—rzekł ostrożnie Marduła.

— Zy ka dusa? Kie ma pięty pozbijane? Dusa by ci pięty po skalak zbijała?

Poglądnął Marduła bystro.

— Prawda — rzekł, ale bez przekonania.

— Ja na nie zawołam — rzekła Teresia i krzyknęła:

— Panno!

Stanęło widmo niewieście, obejrzało się.

— Po imieniu zawołam, Ludmiła jej. Panno Ludmiło!

Widmo niewieście stało i słuchało.

— Is — słuha. Jyno zgłupieć musiała. Biédarstwo! Ja sie jéj nieboje, ja ide ku niej.

Teresia wyszła z za skały, a i Mardułę wstyd wziął lękać się, gdy się dziewka nie boi, choć niedowierzał i pięty go o materyalności widziadła nie przekonały dostatecznie.

Teresia zbliżyła się śmiało.

— Panno Ludmiło — rzekła — wyście to som?

Widmo ludzkie uśmiechnęło się.

— Was Gałajda nalaz? Wyście bywali u Jasiców Toporów, u Sobka i Maryny? Na Hrubém? Was ukamienować fcieli?

Coś, jakby myśl jakaś, przemknęło przez twarz półodzianej w liście, trawy i gałązki kobiety. Zmarszczyła czoło, wytężenie mózgu odmalowało jej się w oczach i nagle złapawszy się za głowę rękami, z piskliwym wrzaskiém napastowanego dziecka, kurcząc głowę w ramiona i jakby osłaniając ją od razów, uciekać jęła. Puściła się za nią Tereska i Marduła podążał, wołając: nie bój sie! stój! — ale gdy ją doganiali, upadła na ziemię i jak kuropatwa, gdy na nią jastrząb bije, głową przypadła ku ziemi, rękami ją ciągle słoniąc.

— Panno Ludmiło — ozwała się Teresia łagodnie — panienko, wyście to? Nie strahajcie sie! Pocie s nami do sałasa! Na mléko, na sér.

Ale gdy ją za rękę ująć chciała, rozpaczny pisk wydała półnaga osoba.

— Waryjak — rzekł Marduła. — Zgłupiała. Daj jej pokój.

— Ostawić jom niémozemy. Wilki jom zjedzom, zmarźnie, abo od głodu zemre. Patrz, jakie to chude, biédne! Skóra i kości. Franek, odejńdź, moze se mnom samom pudzie.

Oddalił się Marduła i za wielką wantą ukrył, Teresia zaś usiadła obok leżącej, ale cała jej słodycz i perswazya na nic się nie zdały, a gdy na ręce biedną waryatkę wziąć chciała, taki wrzask rozpaczny zaczął wstrząsać jej piersią i z ust się wydzierać, że serce ścisnęło się w piersi Tereski.

— Ostaw jom! Niek robi, co fce! — wołał Marduła z za wanty.

— Ona to! Panna od Jasiców! — rzekła Teresia smutno, powstając. — Idze, nieboze, ka fces. Gwałte cie nik nie bedzie brał.

A gdy odeszła jeszcze o kilka kroków, półnagie stworzenie porwało się z ziemi i poczęło się śpiesznie oddalać.

— Zginie — rzekła żałośnie Tereska.

— Co robić? Kie ci sie nie dała namówić, ani na ręce wziąść — odpowiedział Marduła. — Taki jej los. Zezrejom jom wilcy nie dziś, to jutro. Dziw, co jesce do dziśka nie zezarły.

Kobieta szalona oddalała się. Szła szybko ku turniom nad Kasprową.

— Jak sie nie zabije — rzekła Tereska.

— Toby dla niéj nalepsi béło.

Długo patrzyli za odchodzącą Marduła i Toporówna.

— Mnie jéj straśnie luto — rzekła Teresia.

— Ano, takie przeznacenie béło tym dziéwkom. Maryna wasa, od Jasiców Toporów, kajsi przepadła, ta tys...

— Hej Boze! Takie przeznacenie... Maryna sie ta bez co ine nie straciła, jyno pokrony pana Sieniawskiego. To murowane.

— A i ta na ozaist bez jakomsi miéłość waryjakem sie stała — westchnął Marduła.— Jednemu Bóg przeznacył róze, a drugiemu cierń. Wse tak na świecie bywuje. Ja słysał kajsi we świecie takom piosnecke:

A wtoby fciał rozume sytkiego dohodzić,
I zginie i niebedzie umiał w to ugodzić.

Poczem siedli oboje z Teresią na murawie i plecami się o skałę oparłszy, zamyślili się o tragedyi, jaką jest życie.

— A ka tys Kret, co jom wywiód? — szepnęła Teresia.

— Musiał umréć.

— Pewnie. Stary béł. Ka to musiało hodzić, bo przecie za tele roki sie tu nie plątało, po wiérhak. Przecie to jus ze śtyry, abo lepiéj bedzie, jako jom Toporki z ludziami wygnały... Ka to musiało być, za tele casy...

— He prawda — rzekł Marduła. — Tego sie nie dowię nigd a nik.

— O bo nié. Jak?

— Mnie sie tak widzi — rzekł Marduła — ize jéj sie musiało zaraz w głowie pomiesać, pono jom ta cepami wtosi wycion w głowe, kie jom wypędzać przyśli.

— Haj, wycion, Papiézów Stasek.

— Ten, co pod śniége zginon?

— Ten.

— No wis, jako mu wyjehało! Kret biédny nie we swojej ziemi lóg.

— Prawda. A to musiało wandrować samo Bóg wié jakim świate.

— Zakiela haw przisło.

— Przywendrowało tu, kie jom Gałajda nalaz, i zaś znowa wandruje.

— Taki ma los.

— Taki.

Zamyślili się.

— Ale wiés, Franek — ozwała sie Teresia — ten Kret przecie cudny béł. Ja sie mu jesce dziś cudujem, jak sie mi wspomnie. Dy on jom przecie sobom zasłoniéł! Jego zabić mogli! Skale leciały z ręcy, jak za pse wściekłym.

— Wis, on béł sam, nikogo niémiał — odpowiedział Marduła. — Nik o niego niestał, on o nikogo. To dziéwce mu na ręce przysło, a tu mu go skalami i cepami bijom. Uzaliło sie mu go. Ja kiela rzecy pojon, kiejak w lohu u pana Rzesowskiego skróś Krzisiowyk portek siedział. Jaby béł zabiéł, wtoby béł temu staremu, co se

mnom siedział, włosa sie tknon. Wiés, Tereś, słuhaj, jako ci powiem, niémas lepsego dochtora na serce jako samotność. Wte byś i płe, co cie kąse, kohała. Jak człek sie uwidzi dookolućka sam, eh, tak ci powiem, dziéwce, taki zal serce biere, jaze sie samo od sobie kraje. Ja wiem. Kie woda po ścianie ściurcy, tobyś kazdom kropełke złociéł. Ja duzo pojon i niejednemu jek zrozumiał. I Pan Bóg stworzéł świat, bo sie mu samemu cło. I wis, co naustwarzał: słońce, gwiazdy, miesiąc, wody i ziemie i haw wiérhy takie, jako i nase, i las i stawy i dźwiérzyne, a i człeka w ostatku. W samym zadku stworzenia człowiek stoi.

— Temu to wej moze i nawięcél nań biédy — powiedziała Teresia.

— Moze. Scęśliwości sie Panu Bogu przebrało. Dał jom słońcu, dał jom gwiazdom i miesiącowi i wodzie i ziemi i sytkiemu, niezna niescynśliwości człowiecej ni drzewo, ni krowa, niestarcyło jéj Panu Bogu na człowieka. Ja to pojon, bo ja miał cas medétować. Telok namedétował, coby mie mogli biskupem w Krakowie zrobić. W boleściak matki sie człowiek rodzi i boleściami zyje.

Zamyślili się. Marduła jął gwizdać, a potem rzekł:

— Ale co jek wypłaciéł tego sołtysa pod Kalwaryjom, to jék wypłaciéł. I dobiłek go tak, co cud, i baba go własna skroś mnie dobiła i piniondzek mu ukrad i obiesiłek go.

— Toto toś dobrze zrobiéł — rzekła Teresia.

Marduła myślał chwilę i mówił:

— Niémas nad ciémne więzienie, coby człowiek opoważniał. Ja opoważniał strasecnie. Cujem to. Bo ja béł pies. A teraz, wiés, hojbyk co ukrad, to nie przetyrmaniem, jako przódzi. Bedem dzierzał. Jako i té dukaty, co ig sołtys na okfiare niós. Minonek ik jyno pieńć. Ja miał przyród dyabli pote syćko wymijać po karcymak i hoćjek hojco hoćkany przyździorbił, biéda béło biéde doma obegnać. Derbiła mie nieraz, co cud, jaze mie na wnuku dogorywało.

— E — rzekła Teresia z niedowierzeniem— odbendzies ty i té dukaty sołtyskie.

— Uwidzis, co nié. I grzych telo pić, jako ja pijał. Człowiek prosto w garło, w celuście piekielne leci. I woda sie na młyńskim jazie z przykopy odraźnicom odrazi, nie dopiéro ludzka matura. Ja béł psowaty, ale to juz przesło.

Z uznaniem popatrzyła nań Teresia.

Ledwo parę tygodni statek był po Zielonych Świątkach na halach, gdy nad doliną nowotarską niebywale licznemi stadami białe rybitwy o długich wązkich skrzydłach nad wodami krążyć poczęły. Przylatywały one zawsze, gdy wiosenna świętojańska powódź okolicę podgórską nawiedzić miała, niewidywano ich jednak w takiej gromadzie. Miarkowali z tego chłopi, że powódź będzie sroga, sroższa, niż zazwyczaj, bo te weredy czują wodę. Ale zadrżała rówień nowotarska.

Dwa dni z tygodnia przed Świętym Janem deszcz się wzmógł, a dnia trzeciego ulewy całe niebo od strony orawskich Tater pokryło się popołudniu koło godziny trzeciej chmurą czarną. Zagrzmiało kilka razy i chmura oberwała się na ziemię. Deszcz nie lunął, ale runął z wysokości. W jednej chwili wody poczęły tak pęcznieć, jak żmije, gdy się najedzą. W Ludzimierzu wezbrały oba koryta Dunajca, to, które idzie pod kościół,

i to, które idzie pod brzeg, gdzie siedzą Gapka i Wietrzny Kuba, rybak.

Między temi korytami, bocznem pod brzegiem i głównem pod kościołem, rozciąga się szeroka rówień, kamieńcem zwana, trawą w znacznej części porosła, pastwisko gminne, którędy i z dalszych pastwisk, z Zardzawicy i zkądinąd bydło powraca i w bród główne koryto rzeki pod samą wsią przechodzi. Na Maruszyńskie i Rogoźnickie wierchy ztamtąd widno i na łańcuch Tatr w jedną stronę, w drugą na Gorce, Kluczki, Babią Górę i Orawskie wzgórza.

Dzieci nieletnie w Ludzimierzu pasały, z wodą obeznane dobrze, od wilków w lecie spokojne, zwłaszcza, że lasu w pobliżu kamieńca i pastwisk między rzeką nie było. Deszcze ich nie trwożyły, ale gdy woda wartko i bystro od Krauszowa, Długopola i Czarnego Dunajca z Kościeliskiej i Chochołowskiej Doliny się tocząca, nagle wzbierać zaczęła, tak nagle, iż w oczach rosła i dźwigała się ku krawędziom pobrzeży, w popłochu gnały bydło ku rzece, póki jeszcze zbrodzić ją można.

Lecz napór wód był tak gwałtowny, że bydło mu się oprzeć nie mogło i wegnane pierwsze krowy co słabsze fala obaliła i toczyć po męcie zaczęła. Na który widok inne z rykiem z wody i od wody się cofnęły, pasterze jęli krzyczeć i płakać i zgromadzone już na przeciwnym brzegu kobiety również krzyczeć i płakać jęły.

Wieś poczęła się na brzeg zbiegać. Chłopi z pobliża po konie poskoczyli, a konie mieli rosłe, bo zdawna po wino na Węgry i po sól do Wieliczki jeździli, i w pław na ratunek w rzekę wjechali. Ale choć kilkunastu śmielszych na najlepszych koniach na drugą stronę dobiło, nie wszystkie dzieci, na koń je biorąc, ratować mogli. Więc te, które zostawały, z rozpaczy się im portek i końskich ogonów chwytały, lecz kilkoro czy z trwogi, czy też nie miał ich kto już zabrać, zostało na wyspie, Chłopi batami krowy w rzekę gnali, sądząc, że między konie je wziąwszy, przegnają. Ale krowy nagnać się nie dały, a woda rosła. Więc z powrotem puścili się chłopi z samemi dziećmi; mały Jaś Cajków, co przy ogonie Byrnasowego siwego ogiera wisiał, odpadł w prądzie i woda go zniosła.

W ten sposób Cajcyna Hanka trzech swoich krów, które w Dunajec pierwsze weszły i utonęły i syna w jednym prawie momencie pozbawioną została i tarzając się po ziemi i włosy drąc z głowy, wyła:

— Kieby sie mi béły sytkie dzieci wytopiły, a coby mi krów woda niewziena! Kieby sie mi béły sytkie dzieci wytopiły, a coby mi krów woda nie wziena!

Dzieci jeszcze miała troje, które płacząc, biegały koło szalejącej z rozpaczy matki.

Niedługo rzeka wystąpiła z koryta; z dwu stron poczęły się rozlewać wezbrane odmęty,

a wyspę, na której stało kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkoro dzieci, poczęły otaczać wody powodzi.

Już ryk krów i lament dzieci woda głuszyć zaczynała.

Wtem nadbiegł Jędrek Fit z głośnem wołaniem:

— Ka Zosia?! Ka moja siostra Zosia?!

Rąbał on drzewo opodal w lesie, w Grelu, i porzuciwszy siekierę pędził na ratunek, bo wiedział, że Zosia z krowami za wodę poszła i że woda stać się groźną już musi.

— Hań — wskazał mu ręką wójt Sopiarz, za Dunajec, bo Zosi niemiał kto na konia zabrać.

Więc Jędrek w wodę skoczył. Silny, młody chłop do pół koryta ramionami i grzbietem wystając z tonią walczył, lecz go zniosło. Rękę w górę wzniósł i pochylił się, rzucił się naprzód, lecz sile fali oprzeć się nie mógł, zatoczył się, padł i płynął przewracany prądem.

Na ten widok matka ich, wdowa po Michale Ficie, przysiężnym, która niemo nad brzegiem stała, niemo w tył padła. Nikt się nie popatrzał, czy żyje, czy umarła. Nie było głowy na to.

Nastąpił mrok taki, jakoby się słońce zaćmiło. Woda nie rosła już, ale piętrzyła się; od brzegu cofać się musiano. Zachód słońca zaledwie znać było w nawale chmur, które tylko bladły w tej stronie. Dunajec wylał na gościniec, mętny i brudny zalał ogrody Bartłomieja Fita, Krużlów, Szymczyków, organisty. Rzucono się do chałup

bliżej wody stojących na ratunek rzeczy, dobytku domowego, niemowląt, starców i chorych. Na falach już toczyły się pnie z tam powyższych i drzewa powyżej powyrywane.

Ciemności potężniały i ulewa nie ustawała w potędze. Za wodą już tylko jakoby kępę w cieniu, gromadę krów i kilkoro dzieci wtłoczonych między nie odróżniano. Ludzie przed powodzią musieli się cofać coraz dalej od brzegów. Pod wieczór na gościńcu już koniom nad brzuch woda sięgała. Z dachów nawoływano ku krowom i pastuszkom, jak gdyby im to co pomóc mogło.

Łodzi we wsi nie było, woda na to zawsze była o wiele za płytka; o żadnej tratwie myśleć nie można było, rzeka by ją była rozbiła, rozniosła i porwała za sobą. Nikt zresztą w całej wsi nad płytką górską wodą pojęcia o pływaniu niemiał.

W pola, w stronę lasu, wynosili się chłopi nad wodą mieszkający; za szczęśliwych miani byli ci, co się dalej pobudowali. Lecz takich było niewielu, bo i Lepietnica od Klikuszowy gnała z drugiej strony straszliwie wezbrana w Beskidzie.

Gdy wieczór zapadał, kto miał dziecko za rzeką, powtarzał: czy je też zobaczy jutro rano? Matki i siostry wyły w lamencie.

Noc rozpętanych żywiołów, powodzi, deszczu, huraganu i ciemności czarnych pomnożyła rozpacz, a gdy blady dzień zaświtał, przed oczyma górali ludzimierskich widniało ryczące morze, na

którego wściekłej spienionej glinianej barwy fali płynęły domy zniesione z wyższa, które druzgotało w ich oczach i porywało domy ich własne i które pochłonęło bez śladu dzieci ich wraz z bydłem. Nie było widać nic, tylko toń ryczącą, niezmiernie rozlaną.

Na myśl, jak woda zbliżać się musiała w nocy, jak rykiem trwożyła śmiertelnie, a stopy podmywała coraz wyżej, coraz wyżej; jak dzieci chlupotały w wodzie, jak im sięgnęła kolan, brzuchów, jak je obaliła i porwała wraz z krowami i poniosła gdzieś, naprzód, na głębię pod Sypką, pod nowotarskim brzegiem, gdzie je topielce chwytały, zkąd ich już nie uratuje nikt i nikt nigdy nie ujrzy; na myśl, jak te dzieci płakać i wołać o ratunek musiały, nim tonąć zaczęły: matki dostawały obłędu, a Katarzyna od Walosa, której syn dwunastoletni utonął, chwyciła topór, pobiegła ku kościołow przez wodę brnąc, dopadła go i rąbać zaczęła, krzycząc w opętaniu:

— Ludzie Ci kościół stawili, cobyś w nim siedział, a Ty kaś béł, coś sie nasym dzieciom potopić dał?! Kaś béł? Kaś poseł z kościoła?!

I rąbała ścianę kościelną, aż ją czterech chłopów, obawiając się zemsty Boga i sroższego jeszcze dopustu, powrozami skrępowało i gębę je chustą zatkało, aby bluźnić okropnie nie mogła i Pana nie wyzywała.

Cała dolina nowotarska zatonęła w klęsce powodzi; nawet w wysokich wsiach podhalańskich

gdzie zwykle potoki z hukiem w dół spadały, poginęli ludzie, bydło, poobalały się domy. Lamentem napełnił się świat dookoła. Trzy dni woda gazdowała niszczącą potęgą, niczem nie odparta, niczemu nie podległa.

Z Nędzowego Gronika w Kościeliskach, z wysokości nadwodnej, patrzał na to Janosik i słuchał, pozberkując obuszkiem ciupagi po kamieniach przed domem.

— Wiedziały rybitwy, po co lecom hań zkądsi jaze od morza — mówili chłopi dunajeccy, gdy rybitwy po opadzie wód pozostałe na szlamie ryby i upieczone od słońca, co na niebo z pomroków wyszło, czerwone raki dzióbały. — Taka gawiedź wié. Mądrzejsa je jako cłowiek...

Po straszliwych nieszczęściach zimy i wiosny, twardy góral odetchnął, aby niepohamowane puścić wodze chciwości, oszczędności i zazdrości. Wielu woda pochłonęła i zniszczyła całe zasiewy, wielu gruntu części znaczne w rwących odmętach potraciło. Dzieci były ciężarem rodzicom, starzy rodzice dzieciom. Stary Siuta, gazda ludzimierski niepłony, sam torbę przez plecy przewiesił, kij do ręki wziął i synowi się z chałupy uchylił, po pytaniu poszedł. Bał się, że go zabije. Tak uczyniła niewidoma Kułaska z Ostrowska, Handzel stuletni z Waksumundu. Kopiński z Klikuszowy, który czternaścioro dzieci miał, a któremu woda dom wzięła i cały zasiew zamuliła, dwoje tylko

najmłodszych przy sobie i żonie zostawił, resztę wypędził, a że iść nie chciały, biczem bił.

Lecz gdy na dolinie nowotarskiej po klęsce świętojańskiej powodzi w oczach kobiet łzy nie oschły, a chłopom bruzdy się na twarzach, zawsze wyryte, nie zagładzały, gdyż w skutek nieustannych deszczów nędzne zboża w żniwa po Wniebowstąpieniu Matki Boskiej pozbierali i do stodół zwieźli; gdy jesień nadciągnęła i Podhalanie z kolei do zbiórek się gotowali, owsy swoje kosili i w snopki wiązali i w stołki ustawiali: nieznany poniższym nowotarskim wsiom wróg, halny wiatr, się pojawił.

Natura tam nie spała, w Tatrach.

Zrazu, przed zachodem słońca, huk było słychać w głębi gór, a potem z za Goryczkowej, z za Giewontu, z za Czerwonych Wierchów chmurki lotne, siwe, pierzaste wybiegać jęły, poczem zawisł nad górami ogromny wał siwych chmur i trwał nieruchomy, aż nagle spychać go zaczęła moc dmącego wichru i po stromych ścianach skał staczać się począł w wąwozy i kotliny między turniami Tatr, a lasami regli zawarte. Jak olbrzymi wodospad kłębiły się zwały chmur nieprzebranych po ścianach prostopadle w dół się sunąc. Zadął potem wicher, krótko, gwałtownie, porywczo, z przerwami ciszy.

Po czerwonym zachodzie słońca poczęło dąć lepiej, gałęzie się łamały, płytko rosnące smreki samotne tu i owdzie trzasły i powaliły się na ziem.

Szumiało całą noc, lecz nad ranem, nim zaświtało jeszcze, runął wiatr.

Zakotłował się świat. Ryk, szum, wycie wypełniły go, jakby horda szatanów potwornemi skrzydłami łopotała ponad nim. Pęd powietrza to cichł, jakoby się uniżał falisto ku ziemi, to znów wzmagał się i wzbijał w górę, jak orzeł szalejący. Rzekłbyś, że olbrzym obłąkany, jak tęcza ogromny, to przypada piersiami ku ziemi, to wznosi się i rękami chwyta za czuby gór, nad światem potrząsa niemi i zgina je poczwarną siłą, Wszystko zdawało się drżeć, a żwir miótł z pod nóg, jak kurzawa. Wiatr dochodził chwilami do potęgi grzmotu. W cztery strony świata rozniósł snopy owsa, a nieporuszony jeszcze na zagonach posłał na ziemi. W powietrzu wirowały liście, konary, słoma i ptaki pohwycone zawieją. Wozy i konie wywalały się, ludzie padali. Oddzierały się deski z dachów, dachy całe zrywało i domy dźwigały się z węgłów.

Tak wiało dzień i noc, czyniąc na drogach zasieki z drzew obalonych, wyrywając przesieki w lasach, jak drogi i wyręby. Z owsów nie zostało nic — wiatr je rozniósł i wymłócił. Została nędza i rozpacz.

Tak klęskami raził Bóg — cała góralszczyzna jęczała, zimą, wiosną, latem i jesienią nawiedzona nad zwykłą miarę.

Bywały czasy złe. Za króla Zygmunta Starego przez jedenaście lat nic się rodzić niechciało

i od głodu ludzie padali, jak muchy, a setki wytruły się jadowitemi grzybami i zielami, w których nie przebierano; za króla Stefana powódź trzy razy rok po roku Nowotarskie spustoszyła, ale i zimę, i wiosnę, i lato, i jesień, rok cały aby Złybóg, Czarnoboh, światem rządził, aby łzy nie osychały kobietom i bruzdy, wyryte zawsze na twarzach mężczyzn, nie zagładzały się i rok cały walczyć o istnienie w całej okolicy polskich Tatr w okrutny sposób trzeba było: to dojęło ludziom do żywej kości.

Patrzył na to Janosik i pozberkiwał obuszkiem topora, bijąc nim o kamienie przed chałupą, przed którą siadywał, nogi przed się wyciągnąwszy.

Starzy zaś gazdowie w Nowotarszczyźnie, na Skalnem Podhalu, ku Spiżowi i Orawie mówili:

— Trza sie bedzie héba wynieść ka we świat... Syćkie biédy sie uwzieny... Jak tak pudzie daléj, wyginiemé od głodu...

I tysiące oczu mężów, niewiast, dzieci patrzyło za Tatry, ku Liptowu, ku słonecznej pszenicznej winorodnej ziemi Niźnich Tatr.

Wówczas też „procesyami" ludzie na zbój za Tatry polskie zaczęli chodzić, ale niejednemu to „kręto szło," nie przyniósł nic, dziury we łbie, albo i wcale nie wrócił.

Za Tatrami się też przeciw zbójnikom bronić umiano. Nienawiść tylko rosła wzajemna i chęć zemsty od strony węgierskiej. Do Polski nie było

po co iść, ale gdy kogo z Polaków złapano, „odpiók.” Bito, mordowano, katowano, wieszano na szubienicach i drzewach, zamki w Lewoczy na Spiżu, w Mikułaszu na Liptowie, Orawski, zapełniły piwnice więźniami. Mnóstwo ginęło po prywatnych zamkach i dworach, lub gdzie dopadnięci na rabunku, czy jego intencyi zostali. Choć się ten i ów rzemiosłem zbójeckiem wspomógł, biedę w chałupie na chwilę obegnał, spyrek, czy mąki przyniósłszy, nikt się nie zratował. A choć i pieniędzy który nabył, nazbijał, ciężko było na wozie o drewnianych osiach gdzie dalej po zboże jechać, na koniach jeździli, ale i trudno było kupić i ni pieniędzy na zakup, ni nabytego towaru, ani życia swego nikt pewny nie był, bo i swoi i chłopi z dolin wydzierali, napadali, mord był dookoła.

Głód jął się szerzyć od północy Tatr polskich i przybierać rozmiary straszne, ciągnąc za sobą śmierć, co sie jaze potem zaléwała od prace.

Janosik Nędza Litmanowski rozdawał, co miał. Ojcowizną i macierzyzną rządzić nie mógł, ojcowie żyli i majątek dzierżyli, ale skarby swoje z pod buków, jabłonek i z pod głazów z miejsc klętych dobywał i ludziom dawał. Czuł on się do tego w obowiązku, w obowiązku do swojej pychy, swojej górności, swojej wyższości. Dawał z gestem króla, wspaniale, chciał, aby wiedziano, że biorą i od kogo. Rzucał skarby z miną wielkiego pana, którego żadna klęska ziemska dosiąc nie może, który nie obawia się niczego i od niczego

nie jest zależnym. Ale choć było tego mnogo, była to kropla w morzu nędzy i wyczerpało się w końcu.

Wówczas Janosik począł myśleć. Począł myśleć więcej i głębiej nad tem, co mu jeszcze w zimie w głowie błyskać jęło.

I pewnego popołudnia poszedł ku izbom, gdzie mieszkały nieopodal jego domostwa siostry jego stryjeczne, Krystka i Jadwiga Nędzówne z bratem młodszym Wojtkiem.

Zastał je w czarnej izbie na warsztacie przędące, a Wojtuś pod oknem kozikiem łyżnik strugał.

— Niek bedzie pofalony! Co ta na was słyhno, dziéwczęta? — zapytał Janosik.

— E, nic tys ta takiego bracie. A na tobie jak lepiéj? — odpowiedziały dziewki.

— Płótno przędziecie?

— Haj.

— A Wojtuś struga? — rzekł Janosik, siadając na ławie pod ścianą.

— No.

— I coz tys ta tak strugas, hłopce?

— Łyźnik.

— Pokaze. Ej wiera, piékny. Nie ukotwi ci sie to tak strugać?

— E, wiés — odpowiedziała Jadwiga — onby we dnie i w nocy strugał. Przipatrz ze sie, jakiego świentego Marcina babce z limbowego drzewa urobiéł. Wis?

— Ej ha! Ale skądze wiécie, jeze to świenty Marcin?

— My niewiedzieli, ale zaseł do nas pozawcorem Kuba Mraźnicarz, ten temu rozumié, bo sam świentyk seliniejakik struguje, zaraz poznał, ze to świenty Marcin.

— A tyś wiedział, Wojtuś, kieś robiéł? — spytał Janosik.

— Nié. Dopiéro kie mi Kuba podzieli.

— No, to i ten Kuba nie głupi — rzekł Janosik. — Ja hojbyk sie i trzi dni do tego świentego patrzał, tobyk nie poznał, cy mu Marcin, cy mu Scepan, cy Francisek? No, dziwoty niémas, kazdy temu rozumié, s cym sam robuje. Kieby Kube wywiedli w las, toby na mnie wołał.

Umilkli. Warsztat warczał.

Jadwiga, Krystka i Wojtuś Nędzowie mieszkali sami, bo ich rodzice odumarli, a do nich nazywało się do Zubkosa, po dziadku, który zębami grube gwoździe przecinał.

Wielki czarny kot, z błyszczącemi oczami, który siedział obok konewki, powstał na cztery łapy, wygiął grzbiet w kabłąk, ziewnął, podniósł ogon w górę, wyciągnął w tył poza się naprzód lewą nogę tylną, potem prawą i przyszedłszy ku Janosikowi począł się o jego nogę ocierać bokiem głowy i ciała i mruczeć.

— Kici! — ozwał się doń Janosik. — Coz ci dam? Kie niémam nic.

— E, jemu sie jeść niefce, wrodniakowi — rzekła Krystka. — Ptaki hyce po lesie, kiejsi zająca udusiéł. Na niego niéma biédy.

— Ale na ludzi jest — odpowiedział Janosik.

— O jest.

— Telo lamentu, co nieg ręka Boska broni — rzekła Jadwiga. — Ludzie gadajom, co jus trza bedzie sytkim skapać. Zginonć majom górale.

Westchnęły dziewki żałośnie.

— Ja béła wcora u Florka, fciałak, coby mi prziseł stojaki haw do warśtatu naprawić, bo on umié. Umar.

— Umar Florek?! — zawołał Janosik poruszony.

— Otruł sie. Grzibem. Zasłak hań, tok ani nie wiedziała, jako wyjnść? Sama przy piersi z dziecke, a pierś wyskniona, jak patyk. On lezy niezywy na wyrku. Troje dzieci po izbie łazi, sukajom co zjeść. Jedno dziéwce, siedmi roków, skałe tłukalnom od soli lizało.

Suka sie im oscenіła przy hałupie, pięcioro ma młodyk, sytko skucy od głodu. Śniło sie mi całom noc o nik. Jesce, kie wspomne, to jaze drzy serce we mnie.

— Hm — mruknął Janosik. — Biéda na ludzi przysła, co cud.

— Ej biéda, bracie, biéda — powtórzyła Krystka.

— O bo biéda — dodała Jadwiga.

Westchnęły znowu obie.

— Dziéwcęta — ozwał się po chwili Janosik. — Zaśpiewajcie o zbójnikowi, o Janosikowi.

— E, bracie, ani sie śpiéwać niekce — rzekła Krystka.

— No dy jyno kielo telo, nie głośno.

Wojtuś podniósł oczy na Janosika. Słyszał on nieraz, bo to wszyscy gadali, że gdy Janosik, strycny brat, hetman zbójecki, chce myśleć, każesobie o zbójnikowi o Janosikowi jakimsi, co przed nim bywał, śpiewać, a gdy co namyśli, „ziem sietrzęsie".

I dziewczyny wiedziały to, więc cicho jedna za drugą zaczęły:

Pod jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym,
jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu, pójdź sem domu,
wydajem cie, nieznam komu,
wydajem cie Janickowi
ej hroznemu zbójnickowi!..

Dalej brzmiała cicho pieśń, a Janosik oczy w sosrąb na powale wlepił i słuchał, a gdy prześpiewały koniec o szubienicy, gdy zbójnik mówi:

Kieby ja bél dawno wiedział,
ze ja budziem na niej wisiał,
dałbyk ja jom odmalować,
śrybłem, złotem wyobijać,
ode spodu talarkami,
a od wiérhu dukatami,
a na wiérhu złotu kawku,
gdzie połozem swoje hławku.

Janosik wstał, końcem kierpca kota odsunął i rzekł:

— Bydźcie haw zdrowi syćka! Dobra noc.

— Dobra noc, bracie.

Janosik wyszedł przez dom stryków i szedł ku swoim izbom, a gdy był przy nich, włożył dwa palce w usta i gwizdnął.

Rozdarło się powietrze i psy tu i owdzie zaszczekały strwożone.

Niedługo z lasu, zkąd dym snadź nad chałupą widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżać ku Nędzowemu domostwu począł.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy i trzeci — Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, Janosikowi towarzisia zbójeccy.

Stanęli w milczeniu, gotowi słuchać, co powie.

— Hłopy — rzekł Janosik — ja wam jus radziéł kiejsi, ze pudziemé na wojne.

— No — odpowiedział Gadeja — radziłeś.

— Bacymy — powiedzieli drudzy.

— No. Strasne biédy na lud przisły. Ludzie marli od biédy w zimie, powodzie, mrejom zaś znowa w jesieni i tak jus widzimy daléj bedzie. Takie casy nastać obiecujom. Hłopcy, icie pomiendzy ludzi: wto fce se mnom na wojne iść, po sytkie dobro, na hléb, na miéso, na wino, na złoto, niek haw przydzie.

Do trzok dni ludzie haw majom być. Na Nędzowym Groniku.

— I ka pudziemé? — zapytał Mocarny.

— Na hléb, na miéso, na wino, na złoto.

— W Polskom?

— Na hléb, na miéso, na wino, na złoto — powtórzył Janosik.

Mrugnęli Gadeja i Mateja na Mocarnego: snadź hetman nie chciał nic więcej powiadać. Odeszli.

On zaś przywołał celadnika Maciusia i rzekł mu:

— Graj.

I siadł przed izbami na ławie, nogi przed się wyciągnąwszy i palce w przypory u portek wsunąwszy.

Maciuś wrócił z chałupy ze skrzypcami i zaraz grać począł. Czasem mu Janosik nutę z cicha przygwizdnął. Czasem z cicha przyśpiewał:

Nie bój sie Janicku, nie bój sie tego nie,
Orawskiego Zamku, Luptoskik siubienic!
Niebój sie Janicku, niebój sie nie zginies,
wyjńdzies do wirsycka, siekiéreckom zwinies!

Noc szła i gwiazdy w nów miesiąca zalśniły sklep ciemnych niebiosów. Lekki wiatr, który w nocy zwykle przychodzi, podmuchiwał od turni Czerwonych Wierchów.

— Hm — rzekł Krzyś łapiąc pchłę na karku, do żony swojej Byrki — stara, wiés? Béł Matejów Wojtek u Gałajdy, pozywał go ku Janosikowi na wojne, na hleb, na miéso, na wino, na złoto.

— E — westchnęła ciężko Byrka — onoby sie zdało, aj zdało! Głód!

— No — rzekł Krzyś.

— Pietrków Franek z głodu zgłupiał; goni po lesie nagi i krzicy. Jagnieska od Kapuściarza samo to.

— Więcél takik bedzie — rzekł Krzyś, kręcąc pchłę w palcach.

W tem, gdy mówili, wpadła najbliższa sąsiadka, Kohutowa, z hałasem, wołając:

— Rany Boskie! Co sie stało! Zelaznego Topora syn dzieci swoje zarombał! Icie — pedział — ziem Boskom gryźć, kie Bóg hleba niedał!

Stanęła oszołomiona wieścią Byrka, a Krzyś

zgniecioną pchłę z palców puścił na podłogę, mrucząc:

— Idze, weredo! — i zapytał głośno z przejęciem:

— Topora Zelaznego syn? Jasiek?

— No haj, Jasiek — odparła baba, Kohutowa. — A słyseliście? Janosik Nędza na jakomsi wojne woła? Na hléb, na mieso, na wino, na złoto?

— No toście i wy słyseli? Dopiéro mi mój wej opowiadał — rzekła Byrka.

— Mój hłop idzie — rzekła Kohutowa.

— Idzie?

— Pude i ja — oświadczył Krzyś. — Mnie przi Janosikowi, kie my w Polsce wojowali, béło dobrze. Ja sie ta moc niebił, jynok grał i piłek dubelt. Pude.

— Symek! Staryś! — zawołała Byrka.

— A tyś młoda?! Bassam ci teremtete dziś! — wykrzyknął Krzyś z humorem.

— Mój to wiécie taki — rzekła Byrka do Kohutowej — hojby na świat sto biéd sie zleciało, on sie bedzie śmiał.

— Temu ik tys ludzie radzi widzom — powiedziała Kohutowa.

Byrka z czułą dumą popatrzyła na męża.

Krzyś zaś przez okno ujrzawszy olbrzyma Gałajdę, wrzasnął:

— Gałajda! Idzies na wojne? Z Janosike?

— Idem! Z Mardułom z Frankem!

— Pockajcie! Ide i ja s wami! Jyno się pozbiéram!

Duchem się zebrał Krzyś, warmuzu, bo nic innego w domu niebyło, dwie zimne łyżki połknął i skrzypce pod pachę, a ciupagę do garści wziąwszy i Byrkę, która go za szyję obłapiła, pocałowawszy z mlaśnięciem w lico, z izby wyszedł. Ale przy okienku się zatrzymał i zaśpiewał do wnętrza:

Moja stara nie umiéraj!
Wtoz mi bedzie gacie piérał?...

— Beskurcyja! — zawołała Kohutowa i roześmiały się, a Krzyś śpiewając wesoło:

Syćko jo se śpiéwom, syćko jo se gwizdom,
idzie za mnom baba...

kroczył mały na krzywych nieco w iks nogach, ku czekającemu nań w rynsztunku wojennym potwornej wielkości Gałajdzie. Miał Gałajda w garści ciupagę, której obuchem głazy ogromne łupać było można, która Krzysiowi bez mała pod pachę sięgała, a której lada kto więcej godziny by nie poniósł: ku temu nóż straszliwy za pasem i procę, z której kamienie, jak głowy dziecinne, lubił Gałajda puszczać.

Wyszedł naprzeciw nich Marduła wybryzowany jak na wesele. Pióra z cietrzewia miał za kapeluszem, nowy serdak i portki cyfrowane czerwono.

Na jednem ramieniu miał rusznicę, na drugiem łuk, za pasem pistolety i noże, ciupagę z kółkami zberczącemi w garści.

— E, aleś tys strasny! — rzekł Krzyś.

— A jaby sie tobie i tak niezląk — rzekł pomału Gałajda, patrząc na Mardułę.

— Nie ząk byś?! A ja by sie tobie moze ząk?! — krzyknął Marduła.

— He he he! — rozśmiał się Gałajda nizkim basem.

— Jak bedzie cas, pudziemé za pasy — rzekł Marduła.

— Jedyć ta jak pudziemé, to pudziemé — odpowiedział Gałajda i ruszyli w drogę, Marduła naprzód, potem Krzyś, na ostatku potwornie wielki Gałajda.

— Wiés, Bartek — ozwał się Marduła do Gałajdy — straśnie sie mi dobrze idzie. Bedzie cosi!

— Moze — oświadczył Gałajda. — Zarobek.

Lekkomyślny i wesoły Krzyś zaśpiewał zaraz drobną nutę:

Ty parobek, ja parobek,
podźmy oba na zarobek,
ty weź kose, a ja grabie,
wykosimy źlibek babie!

— He, wis! — zauważył na to Gałajda.

Marduła zaś, który miał piękny głos i skłon-

ny był do przekazowania się z bohaterstwem, ujrzawszy kilka kobiet nieopodal, rozdarł się na całe gardło po zbójecku; żeby wiedziały, że idzie:

Na Orawskim Zamku wisi troje zelaz —
uwazujze hłopce cobyś do nik nie wlaz!

Ale Krzyś figlarne oko ku niewiastom rzucił i zabrzęczał przeraźliwie przez nos:

Jedzie wóz na przewóz, malowane luśnie,
dam ci chłopce gemby, jyno mama uśnie,
jyno mama uśnie, jyno świcka zgaśnie,
dam ci hłopce gemby, jaze łózko trzaśnie! Ej hu!...

— Is! — zauważył znowu Gałajda, gdy baby Krzysiowi wygrażały pięściami, szczerząc zęby szeroko z przyjemności.

I szli pełni ochoty, nadziei i wiary ku Janosikowi Nędzy Litmanowskiemu na Nędzów Gronik, spotykając po drodze innych dążących tam uzbrojonych chłopów, a z nimi moc bab, które im towarzyszyły, „zbroje" i pożywienie niosąc, (jako jest zwyczaj, że dopokąd można, chłop się babą przeręcza), gwarliwe i mowne na potęgę.

Zaszli ku Janosikowi wraz, tamże już sporo luda zastając.

Albowiem na głos Janosikowy, naprzód do dalszych wsi posłany, aby bliżsi, którzy pierwej przyjdą, nie czekali, schodzili się chłopi, gazdowie i parobcy het od Beskidu, z dalekich stron. Szli Kliszcze i Zagórzanie od Poręby, szli z Ochot-

nicy, od Babiej Góry, od Stróż, ze Skomielnej, z pod Czorsztyna, od Nowego Targu i hurmem z blizkich wsi: z Ludzimierza, z Niwy, z Rogoźnika, z Czarnego i Białego Dunajca, z Leśnicy, z Trybścia i Czarnej Góry, z Jurgowa, z Osturni, z Poronina, z Zakopanego, z Witowa i Chochołowa, z Maruszyny, Wróblówki, Koniówki, z Podcerwonego, z Międzycerwiennego, z Rdzawki, z Morawczyny, z Łopusznej, z Ostrowska, z Waskmundu, Dębna, Szaflar, z Zubsuchego i Bustryku, z Dzianisza, Działu, Cichego, z Brzegów, z Muru, z kilkudziesięciu wsi dookoła, może do tysiąca ludzi zbrojnych stanęło. Mogło ich być znacznie więcej, ale niektórym baby niedały iść, niektórym zajęcze sumienie nie dało. A niejeden z tych, co przyszedł, z dolnych wsi, z równi nowotarskiej, na wysokich dzikich skalnych Podhalanów i dzikich juhasów beskidowych i na samego Janosika Nędzę spojrzawszy, żałował, że się namówił, bo co za wojna dopiero będzie, kiedy towarzysze i wódz samym wyglądem przerażają!

Stał Janosik przed chałupą, do wojny już przybrany, od rynsztunku, blach, klamer błyszczący, a chłopi i baby, co go pierwszy raz widzieli, szeptali:

— Is, is, taki je wej, hetman zbójecki, złotem malowany...

Babom i dziewkom mimo biedy i wojny ckliwo się robiło.

Stała kobieta, którą niegdyś matka jej Janosi-

kowi chciała dać, aby się tylko przeciw szlachcie ruszył, co się mu na szyję wówczas rzuciła, a on ją łagodnie odsunął i rzekł: nie ku orłowiś ty, ba jacy ku pawowi — śliczna i młodziuśka Zosia Gahutowa z Cichego. Męża przywiodła, a wzdychała i przypiekało ją.

Koło Janosika zaś stał sztab: Mateja, Gadeja i Mocarny Stopkowie i Sablik stary z gęślikami w rękawie, a nieopodal, tuż przy nich, ustawili się mały na krzywych nieco od siebie nogach Krzyś ze skrzypcami pod pachą, wystrojony i uzbrojony, na dziewki rzucający zabójcze spojrzenia Marduła, i potwornej wielkości Gałajda, któremu najwyższe chłopy do ramion sięgały.

Dalej, przed drzwiami domostwa stanęli Janosikowi rodzice, ojciec i matka, starzy, poważni i dostojni, majątkiem i dobytkiem nad klęski i biedy wszystkim groźne wyżsi; Maciuś celadnicek i dwie siostry stryjeczne Janosika, urodziwe Nędzówny, Jadwiga z Krystką Zubkosowe i brat ich Wojtuś, co kozikiem strugał.

Gdy się chłopi i baby grupowali, a gwar nieustawał, nagle Janosik z za pasa dwóch pistoletów dobył, tęgo nabitych, i w powietrze nad głowy huknął.

Uciszyło się, jakby makiem zasiał, on zaś na pniak skamieniały, na którym drwa rąbywano, wstąpił, i powiódłszy dookoła oczyma, ozwał się głosem szerokim:

— Ludzie!

Biédy was dokucajom, złe was derbi, cysto pięknie wyginonć fcecie. Głód, mór, powodzie, nieurodzaj, selijakie niescéńścia was trapiom, co sie widzi, ize sie s was ino strzępki ostanom. Mnie ta nic. Samemu. Ojcowizna i macierzyzna moja nie takie czasy przetrzimie, a ja sam hoćjek moje złoto i śrybło hudobnym ludziom ozdał, kie bedem fciał, to go jesce telo przyniesem, co go ten ato wielgi Gałajda, hoć on konia na grzibiet biere, nie udźwignie.

Od Zelaznyk Bram na Dónaju, bez Zelazne Wrota i Kamienistom Przełęc w Tatrak my śtyrzej, haw z Gadejom, z Matejom i Mocarnego Wojtkem dukaty przynosili i jak padnie, przyniesiemé. Ale na was, ludzie, biéda. Hoć ta i wtory wyskocy za bucki, to jyno zbabrze. Wstydu narobi, zbójnikem, jak sie patrzy bądź wto nie bedzie, tak jako i orłem. Mnie samemu tego nie trza, ale sie mi was sytkik luto stało.

Dziadkowie nasi i pradziadkowie hań za Tatry poziérali. Bo hań hléb, hań zboze, hań wino, hań złoto i ciepło. Doliny do cudu, rzeki rybne, po górak dźwiérzyny nie tak, jako haw u nas, co sie mało kie zając, abo sarna trefi, ba jyno wilk i ryś; ptaków moc, a u nas jyno oreł strasny na niebie. A kie wiesna przidzie, to u nas dziwaśka drózdz, a hań jaze drzewa śpiéwajom i z lasa ci sie wyjńść niefce, be ci tak jak złotemi niciam ptaskowie śpiéwający nogi plącom. Jest hań zycie! Co wysiejés, to ci zeźre i lić ci telo nie

zgnoi, ani wiater nie weźnie. Tam radość! Słońce świéci i grzeje, wesoły świat. Smreki konarami obite do ziemie stojom, nie takie jak haw u nas wiatrem osiecone; jabka, gruski, śliwy, wiśnie samé na ziem od źrałości spadujom. Świnie mozes hować, bo dębowyk i bukowyk zołędzi telo godnie, co sie same bez lato po lesie wypasom, nie trza karmić. Krowy jedna jak trzi naskie, woły siwe okrutne, konie jak śrybło! Tam ziem!

Dziadkowie i pradziadkowi nasi za Tatry poziérali, a babki i prababki naskie śpiéwowały:

Janicku, Janicku, béłby s tobie zbójnik,
kiebyś se wyrubał do Luptowa hodnik!

Dziadkowie i pradziadkowie nasi poziérali za Tatry, a babki tak śpiéwowały ze cemu? Bo sie im w tej twardéj naséj, zimnéj, biédnéj skalnéj polskiéj ziemi góralskiéj hańten bogaty świat śnił i nocami gwarzili o nim, a biadkali w roki głodów, moru, powodzi: cemus my tys nie hań, za Tatrami, kie my pono haństela na polskom strone prziśli? Tak se gwarzyli sami do sobie, abo pomiendzy sie uradzali! Hań ziemia bogata! Hłopi! W Luptów, na Uhry, za Tatry was powieść fcem, ja Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, cok po Uhrak zbójował, na ślakcie polskiéj za hłopskom krziwde sie mścił i króla polskiego na iego gazdostwo po śwedzkik trupak wewiód! Idziecie se mnom?

Długa chwila milczenia zapanowała pośród

obecnych, gdy nagle zachwycony Marduła i olśniony Krzyś na gardła zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje biłe ruce
budom ótwiérały kupieckie truchlice!
Kupieckie truchlice i kralewskie składy
budzies se otwiérał Janosicku młady!...

a po nich chłopi, baby, tysiące głów powtórzyło:

Kupieckie truchlice i kralewskie składy
budzies se otwiérał Janosicku młady!...

Las zahuczał i góry zahuczały. Chwycił Sablik gęśle z rękawa guni, Krzyś skrzypce z pod pazuchy, toż Maciuś celadnicek Janosikowy po skrzypce na wyzkę, nad izby skoczył. A że ten i ów chłop fujarę, gęsiołki, kobzę, piszczałkę na wojnę z domu zabrał, żeby mu drogami iść było weselej, zabrzmiał las od muzyki i zabrzmiały góry lesiste.

Lecz Janosik jeszcze mówić chciał i z dwóch drugich pistoletów, bo ich miał cztery za pasem, wystrzelił.

Ucichło, on zaś powiódł dookoła po ludziach oczyma i ozwał się głosem szerokim:

— Ludzie! W noce bez spania ja se myślał o was i o Luptowie! Ja se hań hodziél tak jako po izbie i brałek, cok fciał, a nie jyno hań, ba ka sie mi zabaziło, po całyk Uhrak, sędyl. Ale mie to dzióbie, coście wy w biédzie. Zbójnik

świat równa i ja na wasom niedole niémogem patrzyć. Cozby to béło aj by béło, coby jeden miał, a drugi nié? Ja hudobnym wse z rabunku dawał, a hudobnemu, bo sie i hań taki trefi, ja nie wzion! Ośpiéhowali my prędzej kupca, abo karcmarza, lebo pana i przewiedzieli sie dobrze, jaki je, zakiel my nań pośli. Béle kogo, dziada ja nie zazbójował nigda! Tam my brali, ka béła kupa. I jesce ostało. Hoć skóry owce owijać sie, kie my sadła uskwarzyli i po brzuhu polali, coby sie prziznał pojeden, ka ma piéniondze sowane?

Ja se w noce bez spania o was myślał. Fcecie iść, to was powiede! Na hléb, na miéso, na wino, na złoto! Panów luptoskik, grafów i baronów na gałęziak obiesiemé, zamki ozbijemé, hajduków pańskik i biskupik, zołmiérzy i zupanów madziarskik pobijemé, wojaków césarskik ozezeniemé! Ja sam s towarzisami, a témi haw trzoma Gadejom, Matejom i Mocarnego Wojtkem, za regiment wojska obstoje! Na wojnek was popozwoływać dał! Idziemé!

— Idziemé! — ryknęli chłopi.

Naówczas gęśle, skrzypce, fujary, kobzy, piszczałki zabrzmiały, zahuczała nuta:

Hej, idem w las, piórko sie mi migoce!
Hej, idem w las, dudni ziemia, kie kroce!
Ka wywinem siekiéreckom, krew cyrwonóm wytoce!
Ka obyrtnem ciupazeckom, krew mi z pod nóg
[bulkoce!

Janosik ojca i matkę w ręce zmarszczone pocałować przystąpił, a oni go w lico pocałowali, poobłapiały go za szyję siostry stryjeczne Krystka i Jadwiga Zubkosowe, celadnicek Maciuś w rękaw go od koszuli pobośkał, i Janosik na czoło wyszedłszy, strzałem z rusznicy dał znak gotowości.

Z płaczem, krzykiem, jajczeniem żegnały baby chłopów, mężów, ojców, braci, kochanków, synów.

A Sobkowi Toporowi z Hrubego, który z łukiem przez plecy, z pistoletami i ciupagą w ciżbie stał, przypomniał się ów pochód wiosenny, kiedy po raz ostatni jako baca owce na halę ku Czarnemu Stawowi wiódł, kiedy potem pan Kostka z marszałkiem Łętowskim na halę przybyli, kiedy później pod Czorsztyn odsiecz panu Kostce wiódł i przez dragonów Sieniawskiego za Nowym Targiem rozgromiony został — a później Beata Herburtówna miłowana, wojna ze szlachtą, Maryna siostra przepadła, znikniona w świecie... Hej, mocny Boze!...

Sobek westchnął, splunął i ciupagę w garści ścisnął.

Krzyś zaś grał mrucząc, siekierę krótką na łokciu zawiesiwszy.

W Kościeliską Dolinę Janosik chłopów wiódł, a baby za nimi ogromną hałaśliwą bandą ku odprowadzeniu postępowały.

Było po południu, dzień mglisty i wilgotny. W las wstąpili olbrzymi, co zaraz nad Nędzowym

Gronikiem się zaczynał. Przez Kamienistą Przełecz po pod Bystrą Janosik chłopów przewieść chciał, pod dowództwo między trzech swoich towarzyszy, Sobka Topora, dwóch Nowobilskich z Białki i dwóch sołtysów od Nowego Targu rozdzieliwszy.

W noce bez spania on sobie Liptów dla polskich górali zdobyć umyślił. Niejedną noc na tem bezsennie strawił i niejeden raz sobie o Janosikowi o zbójnikowi śpiewać kazał, aż mu plan w głowie śmiałej dojrzał. Spaść jak orzeł z nieba na dolinę Liptowską i dziedziny na niej postanowił, węgierskich żołnierzy i hajduków wygnać, a przyjdą Węgrzy i cesarz odbiérać — niebał się. Ziemi na Liptowie i południowym Spiżu i dali w gemerskim, trenczyńskim komitacie i ku Koszycom było dość — mieli się gdzie podziać i słowaccy i polscy Górale, a słowaccy za wolność z pod straszliwego ucisku madziarskich panów z otwartemi rękami pobratymców z za Tatr powitają. Wyzwoleniem z pod madziarskiego buta z nawiązką wypłacą się krzywdy złodziejskie od Polski i w niepamięć pójdą dla niego nienawiści i współzawodnictwa myśliwskie.

W niespane noce śnił Janosik rzeczy wielkie i cudowne. Śnił krainę szczęścia, sytości powszechnej i dostatku, a by ludzie nie rdzewieli i duch w nich nie upadał, śnił wyprawy dalsze już nie za Tatry, ale za Nitrę, za Niźnie Tatry, za Fatrę, Matrę, Hegyalię, na Morawy, na Ślązk, do

Austryi, na równie węgierskie pod Komarno i Budę. Śnił się i marzył Janosik hetmanem zbójeckim jeszcze nie takim, jak teraz. I śniła mu się wdzięczność ludzka, sława, hyr po świecie...

Za plecami zaś jego Krzyś opowiadał:

— Jus gotowe jeść mieli, jyno jesce matka pedziała Sowizrzałowi: lejdze wartko na ocet! — i dała mu gros. Kie poseł, za rok prziseł, ale sie na progu utknon, prasnon flaske i ozbił jom. Hy — pada — taka to wej wartka robota!

Śmiali się idący za Janosikiem chłopi.

W wąwóz Kościeliski wkroczono i bramę nad Dunajcem minięto. Na polanie, gdzie chłopi międusiańscy siano kosowali, rozkazał Janosik babom odstąpić i do domów powrócić. Z płaczem, ale i radością, że zdobyć bogaty kraj idą, kobiety chłopów żegnały i gromadą zawodząc do domu poszły. Wysoko brzmiało po lesie: Janosik, Janosik, twoje biłe ruce...

Drogą żelazną, górniczą, pomiędzy olbrzymi stary las kroczył pochód ku źródłu w dwie strony płynącemu, ku wodzie tajemniczo z pod skały wytryskającej, pod straszny ów zapadły w turnie żleb, kędy woda w ulewy męty przelewała przez głazy, gdzie smoki, strachy i dziwotwory mieszkały i gdzie nikt bez grozy i niepokoju nie wstąpił na ślizgie kamienie popod wilgotne prostopadłe ściany wapienne.

— Hań — mówił Sablik — mnik mieska. Haństela, kie powódź ma być, wychodzi z ka-

gańcem w ręcy. Hań on dziéwcenta poruwa, pastérki, abo té, co na jagody idom. Hań zginena Salka Pokuscarzowa z Miętustwa, Kasia od Komperdy z Carnego Dónajca. I dziwozony hań siadajom i smoki okrutne, oćwiary strasne, z trzoma głowami, jedna barania, druga wilca, a trzecia człowieca, abo sowy. Haj!

Ciało ma wilce z rybiemi skrzelami. Z jam wyziérajom, a kogo hycom, to ig. Ani sie niedźwiedź nie wybroni. Béł śmiały polowac, Marduła, on temu Frankowi Mardułowi jakisi prapradziadek przydzie. Byka kie za jeden róg dopad, to na ziem parsnon. Na niedźwiedzie hadzał z procom, a kie ubiéł, to sam na plecak do wsi przyniós.

Ani nie pruł; z bańdziochami przyniós. Hoć sie mu zaśmierdział, to pokazał, kielom siéłe ma. Bywajom niedźwiedzie, co i do dziewienci centów wazom. Haj.

Razu jednego straciéł sie mu niedźwiedź, co przed nim uciekał. Bez przełącke z Chochołowskiej Doliny. Ale jemu ta niedźdwiedź pilno nie uciók. Noc béła ciemna, Marduła béł hłop śmiały, ale niómóg za nim iść po ćmie. Słozył watre na płasience na kraju i siad. Co sie działo, to niewypedziane rzecy! Całom noc barany becały, wilki wyły, sowy hukały, a i głosy ludzkie słyhno béło. Cosi w żlébie cud robiéło! Marduła nie jyno nie usnon, ale ani nie lóg, ba jyno siedział i ciupage w garzci trzimał. Widziała sie mu

ta noc za pięć nocy. Lemze namieniało na świtanie, Marduła wstał, ciupage ścisnon, proce miał nagotowionom i idzie. Nalaz jyno kości z niedźwiedzia. Ja tak uwazujem, ze go hań niémiały zjeść wilki, ani liski ogryźć. I on ta tys tego nie radziéł pote do ludzi, Marduła. Padał, ze hań nawet mało znać béło, coby sie niedźwiedź broniéł komu, abo cemu. Taka potwora z trzoma głowami musiała go wej przysiednonć, tozto wartko niezywy béł. Jyno pote sie ig musiało więcél zlecieć i o miéso sie wadziły, abo moze i biéły między sobom. Temu telo holofu béło. Ale po nik oślady niémas, bo to duhy. Do samej śmierzci to Marduła opowiadał.

— Słyseliście? — wyrwał się któryś dowcipniś z dalszych wsi, z nizin.

— Słysałek; prosie kwiknonć—odpowiedział Sablik mgliste, sępie, stalowe oczy zwracając na śmiałka.

— Dostałeś, siedź cicho! — ozwały się głosy i dało się słyszeć kilka klapnięć po kapeluszu. Mędrsi chłopi wiedzieli kto Sablik.

A zaś Krzyś mówił:

— W jednéj wsi béła taka baba straśnie mądra. Syćkom prawde wiedziała i wse ludziom wrózyła, co wtorego cłeka ceka, abo kie umre?

Nalas sie hłop, co sie straśnie śmierzci bał i poseł do niéj. Zapłaciéł jej dobrze, bo jej dwie kury dał, ccby mu jyno pedziała, kie umre.

Ona mu pedziała, ze jak pudzie do młyna, wywali sie, to jus po nim, to zaraz umre.

On uwierzéł i kie seł do młyna, ślizgawica béła strasna, juści raz sie wywaliéł.

Lezy i ceka, kie przydzie śmierzć, coby umar.

Przyleciała świnia i zacéna mu worek ze siaciem targać. Tardze, tardze, a on nic. Lezy.

Jaze kie sie tęzéj wziéna do niego i jus owies jadła, hłop zacon krzyceć na nie, haj, załośnie:

Je ksy! Pudzies do hléwa! E, myrsyno jedna, kieby ja téz hoć końdek zywy béł, dałbyk ci téz, aj zebyk ci dał!...

Dalsze słowa opowiastki Krzysia zgłuszył śmiech ogromny. Śmiali się chłopi, aż dolina dudniała. Jeszcze tylko tyle słychać było:

— Babsko miał wielgie i tęgie, juści taka hłopa owładze.

Milońsik biéda zjadła, aj zjadła, namocyła powróz. Trzi dni sie mocył...

...cudecki sie robiéło...

Jyno ty hłopie bab słuhaj, to ci wse źle wyjńdzie...

Jedna ci nagada bzdur, a druga cie za to pote rozumu naucy...

— Hej wiera, naucy! — westchnął któryś z głębi serca ze słuchaczy.

— Cy cie naucyły, Scepan? — zapytał jakiś sąsiad.

— E, jaze mu włosy wyprzały pod kapeluse!

— Wto wié od cego.

— Bajto!

Krzyś obejrzał się, łypnął ku owemu Szczepanowi, z Lasku, czy z Niwy, figlarnem okiem i zanucił:

Kiz to dyasi za wóz taki?
Ja smarujem, a on sapi!

Salwa śmiechu zatrzęsła lasem.

Użaliło się na to wspomnienie młodemu sercu, co w tłustem ciele któregoś parobka z Długopola mieszkalo, jakiejś ostawionej w domu Bronci, czy Marysi, i na wsiańską powolną nutę żałośliwie zawiódł:

Tak sie mi zdawało, ze w lesie gorzało,
to sie mojej miłej licko rumieniało...

ale stary satyr Krzyś w te pędy go na tę samą nutę cynicznie wyszydził:

U mojej dziéwcyny w piątek namówiny,
w niedziele wesele, w poniedziałek kściny —

a żałośliwie, a ozwlekle, po długopolsku...

Tak wesoło szły twarde, osiekałe i lekkomyślne chłopy góralskie na wojnę, na hléb, na miéso, na wino, na złoto.

Tylko jeden Szymon Bafija z Działu, chłop koło lat pięćdziesięciu, którego okrutna, wściekła

nędza wygnała z chałupy, wysoki, chudy z natury, a wychudzony niedostatkiem, jak drewno, z ptasim z głodu profilem i świecącemi, jak próchno w nocy oczami, ponuro poglądał po czarnych odwiecznych smrekach, zwieszających z uboczy nad idącymi konary.

Skapać w domu, czy zginąć za Tatrami było mu jedno. Odszedłszy z chałupy przynajmniej nie patrzy na podobne do szkieletów żonę i dzieci. Szedł z kosą na ramieniu na sztorc nastawioną, słaby tak, że ledwie nogi powłóczył. Sam się ze siebie w duchu śmiał — dziecko dobrze uchowane przewróciłoby go na ziemię.

Nędza, bez której dnia, ani godziny, ani minuty nie przeżył, odebrała mu wszelką zdolność wiary.

— Zginie Janosik i wyginiemé sytka — myślał — ale to jedność, tu, cy hań. Taka śmierzć węgierska, jaka i polska. A moi ta by i przy mnie wykapali...

Szymon okropny los przewidywał, okropny koniec wszystkim, ale szedł. Widział on Janosika na haku za pośrednie żebro powieszonego, a koło niego szubienice, szubienice, jak okiem sięgnąć, a na nich chłopi wiszący.

Minęli czynne za królów Zygmuntów kopalnie żelazne i srebrne, poopuszczane sztolnie, kędy hawiarze rudę dobywali i przyszli na miejsce, gdzie kościół miał stać i w ziemię się miał zapaść. A to dla ogromnych grzechów górników, którzy

dyabłom dusze zapisywali, byle ich dyabli do żył metalu wiedli.

— Toz to dobrze nie bardzo — mówił Sablik — zgniéwał sie Pan Bóg i z kościoła w łunie wyseł, a lemze jyno wyseł, dyasek przzileciał i kościół w ziem wepchnon. Trzi dni go pchał i trzi noce, bo sie kościół, hoć bez Boga, na ramieniak krzizów na dahu i na wiezy stawiał. Jaze go wepchnon. Ale zwony pod ziemiom zwoniom, bo hań kościół nie zmiérwiony, cały stoi, jaki béł. Jus go i odkopać prógowali, béli tacy Jawolcykowie z Cihego, bo hań śrybelne i złote sprzęty, kielichy, monstrancyje, ornaty ostały, ale sie dokopać niémogli, tele dale do ziemie wjahał. Ale hań stoi, jaki beł, i zwony w nim na Janioł Pański zwoniom. Haj.

Więc chłopi idąc słuchali i słyszeli pod ziemią: din—don—din—don, a święta groza przenikała ich członki.

Nabożny Szymczyk z Ludzimierza klęknął i chciał pacierz zmówić, ale go obok kroczący Kułachów Pieter w ramię trącił:

— Wstańcie, kumotrze! Coz sie bedziecie modlić, kie hań Boga niéma! Niesłyseliście, jak ten stary Podhalan padał, ize w łunie wyseł?

Niemniej czyniło wielu znak krzyża, Krzyś zaś zauważył:

— Bedzie sie hań dyasek ucył na organak grać, bo sie niemusi świenconom wodom przi dźwiérzak zegnać.

Gdy zaś Smreczyński Staw i Tomanową Polską po boku mieli, ozwał się Sablik:

— Jest hań na polanie pod Tomanowom skamieniałe owce i juhasi przi nik i psy. Jednego lata biédy przisły wielgie, psoty i ludzie ik tak naśli, kieby zamarźnionyk, lód na nik béł, taki sreń. Skamienieli. Owce sie do kupy zbiły, a juhasi przi nik siedzom, jeden przi drugim. Oni pono béli kajsi z precka, ode wsi, jaze z pod Obidowy. Bo to béło dawno, jesce haw pod halami ludzie nie mieskali, ba ze światu z dalsa z owcami paść przyhodzili. Haj. Tozto miał baca jakomsi kohanke, straśnie wierna mu bywała. Kie sie du domu nie przyredykali z hól z owcami pod jesień, wziéna jom niespokojność i posła sukać. Jidzie, jidzie i zasła i uwidziała tyk skamieniałyk juhasów i bace miendzy niémi. Od zalu sie hań w ten Smrecyński Staw ruciła. Kie ciémna noc, na nowiu, abo na wietku miesiąca, we psote, w siompawice, co mało co bez gme widno, wyhodzi ta kohanka tego bace z wody i jidzie hań na polane, ku niemu. Te skamieniałe psy zacynajom skucéć, haj, załośnie, a jeden juhas, co kobze miał, brzęcy, ale tak, kieby mu wej płakało w miehu. I ona jajcy po lesie, płace, coby i śmiałego przejena. Tak to wej się udarzy, seli niejako, roki lecom, wieki sie mijajom, a ono wej trwa aj trwa. Nie zginie. Haj.

Góralom z wielu wsi, którzy Kościelisk nie znali, wydawała się ta dolina jak zaczarowana.

Owe strome podniebne skały, w mroku, końcami czerwone i ogniste od zachodzącego słońca, po których las się wspinał i po których miejscami płynąć się zdawał; owe turnie przedziwne, mnichy, olbrzymy, widma, sowy kamienne, przy nieustannym jednotonnym, posępnym szumie wody serca przejmowały poszanowaniem i niepokojem.

A szli rozmawiając o nędzy swojej, o biedzie, o klęskach, co ich na wojnę za Tatry gnała— na hléb, na miéso, na wino, na złoto, którego w Polsce brakowało.

Potem, gdy wązką ścieżką leśną wśród olbrzymich mchami orosłych drzew przeszli i wstąpili na wielką, otwartą, wspaniałą halę Pyszną pod Bystrą i Kamienistą, zkąd widno było ku Kamienistej Przełęczy, Janosik im na noc się rozłożyć rozkazał.

Ziskrzyły się krzemienie o ocel w tórbce przyniesione i mnogie ogniska zapłonęły. Nie warzyć strawę, bo tej prawie nie było, ale się ogrzać, bo wicher od Wschodu na pogodę wiał i ziombił. Pośród mnóstwa migotliwych mgiełek stu barw niebieskich, szafirowych, złotych, szmaragdowych, bronzowych i srebrnożółtych, jakoby przelatywał niezmiernie wartko i rwał się w strzępy jasno świecący sierp miesiąca na niebie niebiesko-szafirowem, pełnem niknących i odsłaniających się z pod szybkich mgiełek rubinowo i szafirowo-złotych zwiewnych gwiazd. Niebo całe grało muzyką barw, jak skrzypce wysoko strojone, na któ-

rych nieozwie się gruby ton, ale które jakoby płoną całe migocącemi, świetlistemi dźwiękami, wartką, skoczną ręką mistrza dobywanemi. Dzwoniła w miesiąc i w gwiazdy przewieja obłoczna nieba rozścielona ponad skałami, kędy cisza wiekuista leżała w wichrze i wysokości.

Patrzał w górę Janosik ległszy przy watrze i zwolna szerokim głosem zaśpiewał pieśń starą, którą rad w górach wysokich śpiewywał:

Pasał Jano dwa woły,
pasał Jano dwa woły, dwa woły,
u zelenej u hory,
u zelenej u hory.

Zaśli k'niemu hajnicy
zaśli k'niemu hajnicy hajnicy,
swatojańscy zbójnicy,
swatojańscy zbójnicy.

Daj nam Jano halenu,
daj nam Jano halenu, halenu
spasałeś nam jarynu,
spasałeś nam jarynu.

Ja wam halenu niedam,
ja wam halenu niedam,
bo sa s wami pojednam,
bo sa s wami pojednam.

Tak sa oni jednali,
tak sa oni jednali, jednali,
aż Janika zabili,
aż Janika zabili.

Janik lezy zabity,
Janik lezy zabity, zabity,

i halenu prykryty,
i halenu prykryty.

Wtoze nad nim narieka?
Wtoze nad nim narieka, narieka?
Ociec, matka, frairka,
ociec, matka, frairka.

Ociec matka ze łzami,
ociec matka ze łzami, ze łzami,
a frairka z rukami,
a frairka z rukami.

Ociec matka załośnie,
ociec matka załośnie, załośnie,
a frairka fałeśnie,
a frairka fałeśnie.

Szeroko brzmiał na las potężny głos hetmana, któremu nikt wtórować nieśmiał. Unosiła się siła Janosikowa pieśnią z piersi, która muzyce nieba odegrać muzyką czuła się zachwyconą. A gdy echo Janosikowego głosu przebrzmiało i chwila uszła, na dobytych z rękawa czuchy gęślikach, wsparłszy je o ramię, zabrzęczał Sablik siwokędziorny i po chwili śpiewać począł:

Miał se Siecka,
miał se Siecka
troje dzieci,
kazde w swoju,
kazde w swoju
stronu leci.

Jedno leci,
jedno leci
w ciémnu horu,

drugie leci,
drugie leci
w bystru skału.

Trzecie leci,
trzecie leci
w cudze ziemie,
suka sobie,
suka sobie
wyzywienie.

Ja sem nieboracek,
nieboracek
wielmi stary,
niémogem im, niémogem im
kisić strawy.

Skrzidełka mi,
skrzidełka mi
opadały,
a rucki mie,
a rucki mie
obolały...

Tak se wej stary Maciek Siecka nieboscyk śpiéwował — począł mówić Sablik — kie jus na polowanie hodzić ustał. Niebéło nadeń koziara. O bo nié! Cy kraść, cy strzelić, cy z proce. On i zywe koźle za nogi hyciéł. A to béło tak: lóg na takiej pułece nad Wielgim Ogrode w Hrubym Wiérhu, w turniak, na grzibiecie, a my nań z brate Józke kozy nagnali. Wązko béło, tozto kozy bezeń skakały. Haj. A koźle, co na zadku hipkało, on dopad za nogi. Dobrze co go nie zruciéło, bo hań strasne przepaści. Zniós go do-

łu, do wsi, i plekała go domowa koza, sało, ale zdechło. Abo mu dyhać béło nizko, abo mu mleko nie hasnowało, niefciało sie hować. Nié.

Rzadko on w doma na Łązku siadował, bo go to nieciesyło, ba go jyno góry ciesyły, tak, jako i orła. Ale pote biéda na niego przisła, dyhawica go hyciła, co ani kroke pod góre krocyć nie dało, synowie sie za zarobke ozlecieli, kajsi na Uhry pośli, to se on biédny przed hałupom siedział, poziérał ku wiérhom i tak se lamentował. Jaze usłysała śmierzć, co kanysi bez Łązek sła, zlutowała sie nad nim i wziena go. Haj.

Zachodziła powoli noc. Niebo ciemniało, z niebieskoszafirowego stawało się ciemnogranatowe, prawie czarne. Wiatr rozdął mgły i na pośród nieba zawisł w bezdni szczytom i mgłom niedosięgły miesięczny sierp, białosrebrny, lśniąco błyszczący, z różową osmużką, ostrym brzegiem na niebie wycięty. Orły i jastrzębie ogniskami pobudzone odzywały się pociągłym piskiem z turni, a zwolna las napełnił się rykiem, bekiem i jakoby fujar olbrzymich przeraźliwym głosem: to jelenie odprawowały po polankach leśnych rykowisko.

Po kosodrzewinie, poniżej po lesie i dookoła po upłazach szumiał wiatr. I jakby jedną myślą z tysiąca piersi dobyty zagrzmiał w pustynie skalne krótki śpiew, westchnienie zbójeckie:

Świć miesiącku świć mi wysoko, nie nizko,
bo ja ide na zbój daleko, nie blizko!...

Ej na tej polskiej stronie, ej daj nam Boze zdrowie,
na węgierskiej cešcie daj nam Boze scęście!...

Powoli cichła gwara ludzka. Jednych począł morzyć sen, a drudzy myśleli o tem, dokąd idą, po co i czy wrócą jeszcze? Niedola ich na wojnę gnała, na zdobycie ziemi...

Koło Janosika towarzysze już spali, nawet Sablik mamrotał przez sen, choć on nieraz noc całą przeszeptał sam do siebie, we watrę szyszki i gałązki rzucając.

Zasnął i on, jeden tylko jeszcze Krzyś jedno oko miał otwarte i nucił, stary zbereźnik, pod nosem:

Śniło sie mi śniło na spaniu spajęcy,
ze se idzie ku mnie dziéwce śpiéwajęcy...

i chrapnął.

Ale Janosik niespał. Wracał pamięcią w tę noc, kiedy z leśniczanką Weronką obcował, kóra się go pytała: wrócisz? — której rzekł: wrócem— która mu mówiła: takiś mi jak ten las — której rzekł: bierem s tobie miód, jako pscoła z bezu...

A potem się mu jęło marzyć. Rozszumiał się las pyszniański, wiekuisty las...

Waligóra z Wyrwidębem, Pętorzek z Wódpuscem, Łamiskała z Walilasem wielcy Toporowie, co Hrube wykarczowali, i potężny przodek Janosika, Jano z Gronia, który sam jeden halę Miętusianów napadał, bacę i juhasów pobił i siedem sto dojek uwiódł, miętuskich gazdów znisz-

czywszy, że potem wołali: nędza! nędza! — a ztąd mu nazwisko Nędzy nadano—przyszli mu na pamięć.

Ogromny wiekuisty pyszniański las szumiał i kołysał mu ich wielkie nieśmiertelnej chwały postacie. Waligóra, Wyrwidąb... Pętorzek, co rzeki pętał, z tramów olbrzymich jazy budując. On, powiadają, Dunajcowi w Ludzimierzu koryto odwrócił, pod brzeg nowotarski go gnając, a tylko błotne, sitowiem zarosłe Mocary i Dunajcyska, gdzie kaczki dzikie siadują, po dawnej rzece zostały. On, powiadają, potok na dom młynarza w Ratułowie w czas powodzi przykopą lecący, piersią swoją zatrzymał. Szeroką miał pierś. A młynarz córkę ładną.

Wódpusc, co potok w Kalatówkach z pod głazów puścił, bo mu się wody luto stało, że pod skałami jęczy i dobyć się nie może; którego Bukowianie prosili, aby im w ich gołych suchych wierchach źródła pootwierał, i byłby to zrobił, ale go zgniewali, bo chłopi od wiatru ustawnego postrachane włosy mieli, a na każdym włosie wesz siedziała, co nieraz i Krzyś opowiadał. Zbrzydzili go widokiem niechlujnym i do dziś wodę z doliny w lecie na wózkach, w zimie na sankach w beczkach do chałupy wywożą.

Oni dwaj się stawili ze sobą, Wódpusc, że w Kościeliskach w źródle wodę puści, Pętorzek, że ją zatrzyma. Ale gdy Pętorzek jeden strumień wody piersią swoją zatrzymał, Wódpusc w drugą stronę strumień zwrócił, a gdy Pętorzek nie mógł

zdążyć na obu korytach hamować, zakład przegrał, wszystko złoto w Krzywaniu.

Za to Pętorzek wodę na Czerwonym Wierchu, co się wysoko w słońcu grzała, skałami tak olbrzymiemi zawalił, że jej Wódpusc odkopać nie mógł i musiał jej jamę w skale kuć i w Kościeliskach dopiero z pod skały ją puścił, a kuł jamę w Czerwonym Wierchu trzydzieści lat. Od huku i łomotu wewnętrznego góry pękały i ztąd tak straszne krzesanice Kościeliski wąwóz obległy.

Oni, gdy deszcz gwiazd spadł w Kamiennej Dolinie pod Czerwonemi Wierchami, zwadzili się ze sobą; Pętorzek staw świecący z gwiazd utworzył i kozice w nim kąpał, że jak złoto błyszczały i góry od nich zalśniły, a w nocy zdawało się, że płomienie po górach się snują; ale zazdrosny pasterz owiec, Wódpusc, rozdarł skały i staw wąwozem spuścił i piargami zasypał, a ten wąwóz w Kościeliskach leży i potwory w nim siadają.

Wódpusc owce pasał, Pętorzek stada kozic, juhasi byli setni. A gdy Wódpusc ze stawów dla swoich owiec rzeki jął puszczać na hale poniższe, Pętorzek dla swoich kozic jął stawy budować w niezmiernej wysokości Tatr, kędy się owce przybliżać nie śmiały, a Wyżni Staw Teryjański pod Hrubym Wierchem, kozic ojczyznę, lodem wieczystym przykrył.

Oni chwałą swoją napełniali góry i doliny — Waligóra, Wyrwidąb, Pętorzek, Wódpusc, Łamiskała i Walilas Toporowie, co Hrube wykraczo-

wali, Jano Nędza z Gronia, co Miętusianów do nędzy przywiódł. I wielu, wielu innych, choć mniejszych potęgą, było później. Sablik o nich pieśni śpiewać znał, o wielkich zbójnikagh Nowobilskich, o Wojtku Malcu również z Białki, co sto lat mając, hajduckiego tańcował i pod Murań na Spiż woły chodził kradać, o wielkich strzelcach co niedźwiedziom kufy i łapy rzemieniami wiązali w lesie i w doliny na barach je nieśli, o śmiałych chłopach, co z królem wężów i jego zastępami; z Tatarami; ze zakutymi w zbroje rycerzami, którzy dziewki porywali, walczyli zwycięzko.

Ogromny pyszniański wiekuisty las kołysał Janosika szumem o sławie przodków.

Lecz większą on sławę posiąść mógł lud cały z biedy, nędzy, ubóstwa w krainę dostatku prowadząc. On jakoby królem nad narodem mógł stanąć, świat mu nanowo stwarzając. Odmienne życie, życie szczęścia chciał Janosik góralom swoim stworzyć. A wówczas w dalekie wieki szumieć będą wsze lasy tatrzańskie jego imię; zbójnika nad zbójniki, mężnego nad mężne, hetmana nad hetmany. Błogosławieństwo polskie i groza węgierska imię jego wieńczyć będą, jako świerki zielone wieńczą strzelistą turnią w Białem pod Giewontem.

I zdjął Janosika sen.

A gdy się ocknął i spojrzał nad siebie, już na bielejącem niebie gdzieniegdzie tylko migotały gwiazdy. Nadchodził świt.

Wówczas powstał on i gwizdnął.

Świst ten, jak tysiące strzał, roztrysnął się dokoła i las sobą napełnił. Dźwignął głowę z ziemi Krzyś i mruknął:

— Hej, babie w rzyć! Dyasi temu na zębak pazdury brusom!

Niejednom, kieby słysała, jako kiebyś sydłem źgnon. Telo jom podruci na pościeli. Myślałaby ze wto wié co? Cy jom dyaboł igłom na nitke nie nawlók?

Porwali się na znak hetmański Mateja, Gadeja, Mocarny Stopkowie, siadł na trawie stary Sablik i dłońmi po wilgotnej trawie pociągnąwszy, twarz sobie i oczy rosą przetarł; pobudzili się chłopi. Marduła trzykrotnie w górę wysoko na ochotę podskoczył i palcami obu rąk mocno się trzykrotnie po skórzanych piętach od kierpców trzasnął.

I zaraz cokolwiek, co jeszcze kto miał, zjadłszy, w pochód dalszy, na Kamienistą Przełęcz ruszono. Bielał świat, gdy po czerwonawych piargach i zżółkłej jesiennej trawie, zimnym szronem pokrytej, w chłód po uboczy wspinali się chłopi, a gdy ostatni wyspinał się na siodło, świecił się w zorzy porannej świat.

Jasno różowo błyszczało niebo z po za Krywania i blask padał na Niźnie Tatry Liptowskie, a dolina u stóp jeszcze leżała w mroku. A gdy powoli światło stopiło mrok, ukazały się mgławice szare nad ziemią, nieruchome.

Ale zwolna poczęły rzednąć i przedzierać się mgły, ukazały się dziedziny, wsie i miasta i zasrebrzył się bystrofali Wag.

Prybilina, Królewska Lehota, Poręba, Hradek, Mikułasz — liptowskie dziedziny, wsie i miasta, gdzie bogate sklepy i dwory, gdzie się pszenica rodzi i wino, gdzie pod chleb siwemi wołm, orają...

Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, towarzysze Janosikowi, zawiedli na ten widok chórem co zawsze, gdy Tatry z hetmanem przestąpili śpiewali:

Na dole, na dole siubienicek troje —
wybiéraj se śuhaj wtore bedom twoje?...

Patrzyli w dół: pod stopy swoje w długi, głęboki, nizkospadły wąwóz Kamienistej Doliny, pusty, dziki i posępny, kosodrzewem i karłowatemi smrekami nad ciemnym lasem porosły, i dalej na dolinę Liptowa het pod Dziumbir, górę wyniosłą. Jakoby ogromnym sierpem rzucił, coś przemknęło poniżej przed oczyma chłopów: to ryś, zwykły mieszkaniec tych stron, w olbrzymich susach przemknął od zachodniej ku wschodniej stronie uboczy i znikł w kosodrzewinie.

Potem zbliżyło się ku nim dziwne widmo, w czarnych sukniach, z długą pomierzwiono siwiejącą brodą i takiemiż włosami na kark obwisłemi. Na plecach worek nieregularnego kształtu dźwigało, a pilno patrzało po trawach.

Zaraz poznali, że korzeniarz. Litworowego cudownego korzenia i ziół zbawczych szukał.

Gruby ten mały stary człowiek podszedł do Janosika i ukłoniwszy się kapeluszem, rzekł:

— Szukają skarbów — tam... Niech idą... Hetman...

— Głupi — szepnęli do się chłopi, a Janosik spytał:

— Wto suka?

— Trzej... Od Krakowa... Niemcy... Tam— u Raczkowego Plosa... Pod Kończystą... Niech idą... Zabiją.., Wezmą... Wielki hetman... zbójecki...

— Skądze mie ty znas? — zapytał Janosik.

Stary wzniósł obie ręce do góry.

— Co?! — zawołał przez gardło z nabożeństwem.

Dał mu Janosik dukata z pasa; korzeniarz go pod nogi podjął, poczem rzekł sepetlawo:

— Sablik!

— Tyś tu? — odpowiedział Sablik.

— Hy, hy; hy! — zaśmiał się korzeniarz. — Pan leśniczy... w kolebie... panic... fuk! fuk! fuk!...

Czynił naśladując ogień.

— Podpaliliście, krzesny ojce? — zapytał Janosik Sablika, ten zaś odpowiedział:

— Podpaliłek, na spaniu, w sałasisku. A dźwiérzek zapar.

— Ka?

— Pod Osterwom. Widział. Łazi. Trzy roki temu.

— Ryś przed tobą uciekał — rzekł Janosik do korzeniarza.

— Spérkę zjadł... W kosodrzewinie... Kanalia...

— Skądeś ty, dziadu?

— Z Warszawy... Z Krakowskiego Przedmieścia. U panów Kazanowskich służyłem.

— Dawno na korzenie hodzujes?

— Trzydzieści lat... Niech idą... Skarbów szukają... Niemcy... Kupcy krakowscy... Księgi mają... Czarnoksięzkie... Duchy klną...

— A tyś sukał?

— Szukałem...

— I coś nalaz?

— Duch skałę puścił... — i uniósłszy kapelusza, pokazał zabliźnioną rysę na głowie.

— Temuś tys pewnie zgłupiał — ozwał się Krzyś. — Kaześ sukał?

— U Żabiego Plosa... Pod Lodowym... U Jaworowych Sadów.

— No wis! Kielo to światu zeseł góramil— zauwarzył Gadeja.

— Uhél sie! Bo idziemé — rzekł Janosik, odganiając go ręką.

Patrzył on na dolinę przed sobą i mężne, bohaterskie serce wzbierało mu w piersiach. Czuł się jako orzeł nad światem. Ziemia leżała nizko, drzemiąc jeszcze o poranku, on zaś jako wiatr halny kłębił się w górach, wewnątrz Tatr,

jako tuman chmur z za skał i wierchów się dobywał, by runąć na nią i zagarnąć w panowanie.

— Hej haaa! — zahuczał nad ziemią jako się wiater halny głosi hukiem, nim spadnie.

Na tej przełęczy kamiennej ważyły się losy tysięcy i jego. Stał na granicy, prawą nogą przy ciupadze na polskiej, lewą po węgierskiej stronie.

— Hej haaa! — powtórzył, a echo poleciało skałami.

I ruszył naprzód.

A za nim ruszyli chłopi.

Gdy w las zeszli, Józek Tatar, co się był na bok oddalił, młody siedmnastoletni chłopiec z pod Kopy, przybiegł wystraszony, wołając:

— Trup! Trup!

— Ka? Ka? — zapytano.

— Hań! W smreckak! — i ukazał ręką.

Poskoczyło kilkunastu ludzi. Sablik z nimi.

Ujrzeli człeka nagiego, leżącego na ziemi na wznak.

Na ciele nie było śladu obrażenia.

— Co się mu stało? — mówili ludzie.—Nie ublizył mu nik na ciele. Rany niéma, ani krwie zasknionéj.

— Hehehe! — roześmiał się Sablik. — Góry go zjadły!

— Coz to znacy? — zapytywali niźniejsi chłopi Podhalanów.

— Je wtoz wié co on myśli? — odpowiedzieli Podhalanie.

— Góry go zjadły aj zjadły — powtórzył Sablik. — A złodzieje odzienie wzieni. Cy to piérsemu tak?

— Góry zjadły cłeka — powtórzyli niźni górale, z trwogą się po pustych zielonożółtych połyskliwych jesiennych upłazach rozglądając.

— A wicie? — rzekł Sablik. — Tu wej znak na drzewie — i wskazał końcem toporzyska na krzyż nacięty na skoruszy.

— Ale tu jus pod niom niebedzie nic. Abo zradziéł, abo fciał zradzić. Towarziskik piéniendzy niebees sam brał. Abo cie towarzisia wypłacom, co ci w uhu zazwoni. Zaźréjcie mu do uha hłopcy! Ma kołek?

— Kołek? Jaki kołek?

— No jyno patrzcie!

— Hej wiera! Na mój sto prawdu! Kołek ma wbity do uha! Do lawego! — zawołał Pitoń z Polan.

Sablik powiódł tryumfująco mglistemi swemi sępiemi oczyma po otaczających, którzy nań z adoracyą patrzyli.

— Jesce mie starego nie przebierecie! — rzekł z dumą. — Onacyłek po halak kope roków, tok sie ig do siódmej skóry nauczył. Kie ci dorote wbijom.

---

dorota — gruba krótka świńska kiszka, tu w przenośni.

— To sie jus na jadwidze huział niebees!— wpadł Sablikowi w słowo rozpustny Krzyś.

— O bo wiera nié — zakończył Sablik i świsnąwszy lekko parę razy przez zęby, począł mamrotać niewyraźnie pod nosem prastarą, górniczą pieśń słowacką:

Hawiare idu, hawiare idu
hore dolinu
budu w bani skale łamać,
śrébło, złato dobywać...

Nikt zaś niemógł opisać, co chłopi widzieli. Jakoby tęcze w mgłach nizko w dolinie się wiły, jakoby jeziora i stawy spokojne i źródła wybuchające szafirowozłotego blasku we mgłach się zapalały, lub po upłazach i uboczach korowody mgieł błękitnych niby duchów ogromnych, błękitnych, zadumanych szły. Było, że w blask wśród sinych mgieł, jakoby biała pojawa skrzydlata wpłynie; było, że ze złocistego mgielnego stawu inna różowo-srebrna obłoczna wynikała, zkądś z dołu, z pod chmur płynąca.

Było, że jakoby olbrzymie stada potwornych ryb o łusce świecącej w tumany wzdęte szarego morza się rzucały, lub z nad doliny wylatał anioł o skrzydłach rozhukanych.

---

jadwiga — korzeń smrekowy. na jednym końcu w hak zgięty do zaczepienia na żerdzi, na drugim karbowany, na którym się wiesza w szałasie kocieł z mlekiem nad ogniem.

Podalej zaś coraz spokojniej, coraz jaśniej rozwierała się liptowska rówień. Jakoby sen na niej leżał różany i złocony. Spokojnie oddechała piersią.

Wtem Janosik Nędza Litmanowski gwizdnął przeraźliwie i zazberczał ponad nią zdobioną w mosiężne obrączki, wzniesioną nad orle pióro na głowie, ciupagą.

Ciężko, pusto było w gazdowstwie starych Nędzów po wyjściu Janosika, jedynego syna.

Tak było trza — on się ruszył.

Ruszył się, jak niegdyś chłopów karanych mścić, karzącą rękę szlachecką nad nimi zatrzymać, po bitwie pod Beresteczkiem.

Ruszył się po raz wtóry, z lasów z Babiej Góry, aby króla po szwedzkich trupach do własnego kraju i własnego panowania, do ojcowizny wewieść.

Ruszył się teraz po raz trzeci, za Tatry, nędzę polską zwyciężać, ziemię dla chłopów polskich, dla krajanów swych, górali zdobywać.

Milcząc poglądali na siebie starzy Nędzowie, w pięknej białej izbie pod szerokim pozrębem rzeźbionym, na którym powałę wsparto, siedzący.

Tak trza było — syn się musiał ruszyć.

Albowiem to była jego sprawa.

On był na to chłop.

On się na to urodził.

Z dumą patrzeli na siebie starzy Nędzowie, rodzice Janosikowi.

Ani go dyabeł zrobił, ani mu czarownice koszuli, pasa i ciupagi nie darowały, koszuli, w której jest trwałość, pasa, w którym jest siła, i ciupagi, co się sama przez dziewięć drzwi przerąbie. Oni to we dwoje, on Jasiek Nędzów z Gronia, najstarszy syn Janosikowego Jaśka Nędzy Litmanowskiego i Maryny Stopkówny od Cajków i ona, Kaśka jedynica u Walcaków ze Skibówki w woniejącą od łąk czerwcowych noc go spłodzili.

Pełen dumy własnej patrzał stary Nędza na swoją żonę i pełna dumnego własnego poczucia Nędzowa na męża patrzała.

Zazwyczaj było tak, że matki piękniejsze bywały od córek, a ojcowie potężniejsi od synów.

Ale jak dawno pamięć ludzka pokolenia Nędzów z Gronia pamięta, jeszcze od czasów, kiedy na Zaskalu, między Ludzimirzemi, Szaflarami a Rogoźnikiem siedzieli, nie było takiego Nędzy.

— Ani nie bedzie.

Ani Jano, co Miętusianów pobił, ani Juzo Siumny, niebyli lepsi...

— O bo nie...

On się ruszyć musiał.

Bo jakby on się nie ruszył, to któżby?

Ku niemu, jak do słońca, oczy góralskie patrzały.

On, choć młody, był jakoby król Podhalu.

A nie ino Podhalu, ale całej góralszczyzny.

Takim synem ich Pan Bóg pożegnał.

Bez niego szlachta byłaby chłopów wymordowała, bez niego byłby król na stolicę swoją nie wszedł, on nędzy góralskiej drogę zastąpił, szeroką piersią drogę jej zastawił, on jej z gardła ludzi, jak z wilczej paszczęki jagnię, wydrze.

A gdy wydrze, gdy z chwałą i nowem bogactwem powróci, wtedy się ożeni.

Będzie wesele, jeszcze nie takie, jakie ich samych było, choć to wesele na sześć mil wkoło słynęło.

Jedzie wesele dołu wsiom,
niek sie nam ludzie napatrzom...,

Nad drzwiami umieszczony, naprzeciw misternie z cieniuteńkich badylków uplecionej ogromnej ruchomej sieci pajęczej, co złe oko wchodzące w dom na sobie zatrzymywała, na gwoździu wisiał wian, który stara Nędzowa, będąc panną młodą, na głowie miała, wian zeschnięty od lat dziesiątków, który nim uwito, chodziła ona po Skibówce, po łące zielonej we wielgim maju przed ślubem, pomiędzy kwiaty zawodząc:

Coz mi jus po tobie rózowy kwiatecku,
kiedy jus niebedem hodzić we wianecku?...

Za obrazem zaś świętym, na szkle malowanym, tkwił bukiet ślubny pana młodego Nędzy, ojca Janosika, suchy i zapytony.

Uśmiechnęli się do siebie Nędzowie.

Ona jeszcze miała tę koszulę, w której do ślubu w Szaflarach jeździła, w skrzyni schowaną, cieńką, jak pajęczyna, z szeroką kryzą i w cudny wzór delikatnych, smrekowych gałązek i lilij górskich haftowaną, i gorset miała schowany w złote róże na szafirowej matryi haftowany i haftowany bogato biały, przeźroczyście cienki rańtuch na ramiona, i buty safianowe czerwone, I schowane miała do limbowej skrzyni, gdzie się żaden owad nie zalęgnie, poszewki z zagłówków z cerkami, haftowane cudownie i pracowicie i cieńkie prześcieradła lnlane i na dnie skrzyni pięć wojek korali bez ceny, które na święto kładła, a synowej darować chciała.

Ale nie lada to musiała być dziewka.

Z gazdowskiego rodu, Toporówna z Hrubego, albo Nowobilska sołtysianka, majętna, robotna, usłuchliwa i piękna. Wiele takich tęskno na Nędzów Gronik poglądało, lecz Janosik żenić się jeszcze nie chciał.

— Wiécie, mamo — mówił — wiater lekcejsy, kie nic nie niesie. Hojby jyno gałąź z olsyny, abo i pióro z ptaka niós, juz mu nie tak idzie. Ja jest taki, jak wiater.

Uśmiechała się Nędzowa. Bo z tej natury syna sława, majątek, znaczenie rosły.

Ale smutno z pod powały z za listwy rzeźbionej pięknie gadzikiem strojnej i o zdobnych wspornikach, patrzyli się na pośród izby, Święci

na szkle jasno malowani i około bogato w kwiaty malowanych limbowych ciemnozielonych skrzyń, dostatku pełnych, smutek się błąkał; i smutno na sozrębie widniała cyfra 1550 i napis: „Janosik Nędza Litmanowski fundator tego domu”, na który stary Nędza poglądał.

Gdyby syn nie wrócił...

Gdyby zginął...

Nie powiedzieli do siebie słowa starzy Nędzowie, tylko popatrzyli na siebie równocześnie.

Więcej niż sto lat stoi dom i gazdowstwo na Groniu się trzymie.

Pan Bóg żegnał i bogactwo rosło.

Miałożby to wszystko osierocić?

Westchnął stary Nędza i jego żona westchnęła.

Ale syn ruszyć się musiał.

Oni go sami na to chowali.

Sama matka ciupagę mu podała.

Uczyli go dumnie się nosić i żeby go świat za co miał.

Nie widzieli ku niemu równego, ani nawet wśród sołtysów, choć się oni, jako Nowobilscy na Białce, Zychowie we Witowie, ze slacheckich famili wiedli.

Sami mu mówili, iż niema ku niemu równego.

Sami posłuchu dla niego uczyli uboższych Stopków, dzieci, od Gadejów, od Mocarnych, od Matejów, kiedy chłopcem był.

Oni pierwsi go nad świat wynosili.

W chłodnych, ostrych, wyniosłego spojrzenia oczach starej Nędzowej grube łzy się zaszkliły.

— Po co ja go tys takiego honornego hłopa na świat wydała? — rzekła.

Takiego hetmana?...

Ale otarła zaraz łzy końcami palców i surowy dumny spokój na twarz jej powrócił.

— Co robić? — rzekł stary Nędza. — Orłowi się sowa nie urodzi, ba orzeł.

— Haj — odpowiedziała Nędzowa. — Trza przystać.

A że krowy wracały z pastwiska, z jesiennej ścierni i łąk, dzwoniąc spiżowemi dzwonkami u szyi, powstała gaździna z ławy i wyszła przed próg domu na statek oczyma rzucić. Szło stadem na południe do domu kwiatula, biedra, krasula, wysmukła panicka, węgierska, środula, cwartocha, łysa, łaciata, okaista, byczki paniś i bukiet i wiele, wiele innych, a za niemi szli z długiemi batami i ciupagami w rękach dwaj pasterze dorośli, którzy od wilka i złego człowieka mogli bronić trzody, i mały chłopiec trzeci z habiną w garści, który się z daleka darł na głodno

Słonecko zahodzi, za las zapaduje,
ta nasa gaździna wiecerzom gotuje,
gotuje, gotuje, ale nie nikomu,
jyno pastyrzowi, co zenie do domu!...
[Hu—huuu!...

Osobno krocząc wolno, ogromne woły dłu-

gorogie wracały z paszy, przez dwóch wolarzy zbrojnych w trombity i ciupagi gnane, siwe turonie orawskie, i cisonie, i carne polskie.

W setki turlików spiżowych dzwoniąc z regli, przez psy obganiane i juhasów wiedzione biegły owce białem olbrzymiem stadem, wraz z kozami.

Bogactwo synowe spływało ku domowi.

Wyszedł i stary Nędza poprzéd izby.

— Zaba, gazdo, tłuce cisule — ozwał się starszy pasterz krowi. — Przewyrce sie i straśnie sie piere.

— Zawieź ze jom do stajnie, — rzekł stary Nędza — zoblec sie i przyruć jom kosulom na opak przewyrtnionom, a pote ukąś jom bez grzibiet do trzeciego razu, to jom zarusięki popuści.

Powrócili do izb oboje Nędzowie. Połednina była gotowa, uwarzyła ją gaździna na czas, a kucharka przygotowała.

Postawiła misę ogromną na stole w czarnej izbie, a wkrótce zasiadł Nędza i jego żona i czeladź, parobcy i dziewki, dokoła na ławie i stołkach. Była klóska gorąca z jarcanej mąki. Zmówił pacierz Nędza, jako gazda i przeżegnał strawę, i długiemi łyżkami drewnianemi pięknie rzniętemi, z ozdobnemi trzonki wygarnowali kluskę, pożywawający, a do dołka wygniecionego łyżką na dnie misy dolewała gaździna wrzące dymiące się mle-

ko raz po raz ze stojącego obok garnka i każdy na łyżkę go wraz z klóską nabierał.

Po południu zaś przyszły zaźreć na stryka i stryne Zubkosowe dziewki, Krystka i Jadwiga, i ich brat, Wojtuś, co z drzewa strugował, z kozikiem.

Posiadali pod izbą, bo ciepło było, a roboty o ten czas w polu nijakiej i poczęli rozmawiać, Wojtuś zaś kawałek drzewa lipowego, miękkiego, nalazłszy, zaraz zeń strugać począł.

Kształt rósł mu pod ręką.

Patrzał nań długą chwilę stryk Nędza, niemieszając się do kobiecej rozmowy, która choroby studzielnicy, pomiędzy dziećmi grasującej, dotyczyła, a na którą trzeba było do trzeciego razu wytrzeć dziecku gardło liściem wierzbowym, z wierzby rosnącej nad rzeką i w to samo miejsce liść, zkąd się go wzięło, odnieść nad rzekę, i zapytał:

— Wojtuś, ie coz to robis?

— Matke Boskom.

— Matke Boskom? I powiédz mi tys, hłopie, skąd sie ci to biere, takie próźnioki?

— Ono mi tak jakosi samo przychodzi, z powietrza — odpowiedział Wojtuś.

— No a tota Matka Boska, co jom strugas, jako ci do tego przisło? Skądeś pomyślenie wzion? Cosi cie przecie nadethnonć musiało, cobyś to robiéł, a nie co ine.

— Ja sie patrzał, stryku, na ziem i nalazek

haw lipowego drzewa niekwardego kawałek i trzimałek go w garzci i patrzem sie. I zaconek wej strugać.

— A ci sie przecie Matka Boska haw na ziemi nie pokazała — uśmiechnął się stryk.

— Ona sie mi nie pokazała, ja Jom widział w Saflarak w kościele, kie my raz hań jesce z niebozyckom z matkom byli, w ołtarzu. Ale sie mi to sytko, co jek hań widział, przybacuje. Jaby taki ołtarz zrobić fciał. Kiebyk miękiego drzewa dość miał, to zrobiem.

We środku byk postawiéł Matke Boskom z Jezusem na ręcy, z takom obrącaskom cieniućkom nade głowom. Dookoła byk uzdajał gwiazdy, a pod nogami kule, a na niej wąz i jabko, tak, jakok widział. Widzi sie mi, co go w pysku trzimał. No, to by béł ołtarz.

— Wiera haj, béłby — przywtórzył stryk Nędza zamyślony.

— Jaby pote jesce fciał co ine wyrzezać— mówił Wojtuś. — Góry byk fciał urobić, takie turnie wysokie, jako hań kozice po nik hipkajom, oreł ponad nie lace i jako krzesny ociec, Sablik, niedźwiedzia, abo dzikom świnie zabiéł.

— Haj, toby béło — rzekł stryk Nędza.

— No, ono by mogło być, aj mogło, stryku.

— Pan Bóg ta dziwtoremu stworzeniu rozmaity talant podaruje. Dzik ma kielce, a bedzie hłop do hoćjakiéj roboty zdatny. Ja miał raz taki dziwostworny juhaski nóz, cok sie mu ani wy-

cudować niémóg. Trzonek to miał wyzdajany z mosiądzu, z miedzi, z kości, z rogu, ono nawet i samo śrybło w nim béło, takie obrącki, jedna ku drugiéj, a zaś na wiérhu to béło mosiężne denecko, a na tym denecku trzy bulki, jako we zbójeckik nozak bywuje, ale to takie bulki béły, jak słupki, straśnie piéknie wyonacone, a na samym wiérhu kłobuk luptowski, z mosiądzu i z rogu, wykarbowany, i zaś na tym miedziana blaska i stalowy gwóźdź, co ten kłobuk nim przybity béł, a on musiał het bez pośredni słupek i bez cały trzonek do noza do nuka iść i moze z tej samej stali béł, co i nóz. Tak wej syćko do wjedna uzdajane béło, cok sie dość namyślał nieraz, kiek juhasił, jakom ten głowe miał, co to robiéł! A pote jek i ciupage kiejsi takom widział, co po jednej stronie béła na niej nakładziona watra, a naokoło sie wej ludzie na kolanak do tego ognia modlili, a na drugiéj stronie to zaś béło słońce, miesiąc i gwiazdy, a na obusku cosi takie, jak człowiek, w jednej garzci trzimało pierun, w drugiej kule. Starzy ludzie gadowali, bo my sie ta dziwaśkie dość tej ciupadze nausprzypatrzowali syćka na sałasie, jeze to ma być bóg i trzimie świat. A ten, co jom miał, taki Stasek Wirdzinnik ze Starego Bystrego, to padał, ze jom nalaz we młace, kajsi u Wale. Haj.

— E radby ja tys to stryku widzieć! — zawołał Wojtuś.

— Nóz to ani niewiem, cy ka niebedzie do

spary wbity; dziekiedy to sie pojedno u gazdy wrazi, co i bez sto roków przesiedzi, zakiela sie najdzie. Ma cas. Ale ciupaga to niewiem ka je, bo to béła Wirdzinnikowa, Stanisławowa. Jest je ta moze ka sowana po nim, abo sie straciła. Bo ta Wirdzinnik juz moze wysy śtyrdziestu roków nie zyje.

— Cojsi se ta ze stryke ukwalujecie—ozwała się Nędzowa.

— Jedźjek mu gwarzéł o tym nozie juhaskim, coś go jesce u mnie widowała, i o Wirdzinnikowej ciupadze.

Dzień jesienny chylił się szybko pod zachód. Od regla na łąkę wyszedł jeleń na przedwieczorną paszę. Widać go było dobrze.

— Ka tys ta teraz Janosik? — westchnęła Krystka.

— Hej wiera, kany je tys? — powtórzyła Jadwiga Zubkosowa.

— Bojno mi oń — rzekła stara Nędzowa, ale stary Nędza rzekł:

— Janosik wyświacony w ozbójeństwie. Nie trza se przybirać do głowy, bo to na nic.

— Wiécie, stryku — rzekła Jadwiga — ja ani przyobrazenia dobrego niémam, na co on z telim narodem za Tatry poseł?

— Hajno wiés, dziewce — odpowiedział stary Nędza — po co tys ta hań temu jeleniowi urosły rogi? Niek bedzie niewycytno Bogu Przedwiec-

nemu, co mi wyraźnego hłopa dał. Ja sie ś Nim o to zbywał nie bedem, ba Mu dzieńkujem.

Z Panem Bogem zbywka na nic. To prawda własna. Tak sie mi widzi, ze be dysc.

— Idzie od śródwiecerz, z Orawy — rzekła Nędzowa.

— Janosikowi sie musi scęścić — dodał jeszcze stary Nędza jakby do siebie — on świat równa, a nika blizko po Polsce nie zbija, ba daleko. Takiemu zbójnikowi Bóg scęści, a ludzie błogosławiom. Jakbyś po pod nogi ludziom srał, to oni cie te hnet obzalom. Podźmy, stara, do izby; zimno.

— A i wiecerzom trza przygotowić, bo sie hnet pastérze przyredykajom z pasieki z bydłem i owce przydom z regla.

Odeszli starzy Nędzowie, natomiast przyszedł Maciuś czeladnik ze skrzypcami i siadł nieopodal Jadwigi, w której się kochał, a na którą ledwo pozierać śmiał, bo była bogata, a on służył i młody był jeszcze bardzo.

— Maciek, co tys se ty myślis, kie gras? — zapytał go Wojtuś, powtarzając pytanie strykowe.

— Je cozbyk myślał? Gram i gram — odpowiedział Maciek.

— Krzesny ociec Sablik to se musi o starodawnyk casak myśleć, kie gra.

— A Krzyś z Olce o karcymie — zaśmiała się Krystka.

— Ja tak gram, jako słysem z ludzi — rzekł

Maciek. — Ino we wiecór to sie mi lepsi gra, jako we dnie.

— Bo i las piékniéj we wiecór sumi — ozwała się Jadwiga.

— No piékniéj. Kie tak ciho na świecie, jako dziś je, to ci tak powiem, Wojtuś, ono samo w gęślak gra. Tak jako kieby ci cosi smycke wodziło.

— Hm, wiés, ale dy przecie wtosi taki musiał być, co nuty wyzdajał. Bo sie przecie samy nie narodziły — rzekł Wojtuś.

— No juści. Taki musiał być.

— I niejeden — ozwała się Krystka. — Som jest nuty juhaskie, som jest krówskie, co je za krowami śpiéwujom, som jest zbójeckie, strzeleckie, weselne, pogrzebne, wojemskie, rozmaite.

— No to kazby ci jeden człek telo zdolał uzdajać nut? No nié?

— Ze ba haj. Tak béło — odpowiedział Maciek.

— A no to byś i ty móg jakom uzdajać nute — powiedział Wojtuś. — Stryna padajom, co za jej pamięci ze trzi, abo ze śtyry nuty posprzybywały.

— Ono ta moze przyjńść — odpowiedział Maciek. — To sie w sercu rodzi. Kieś smutny, abo kieś wesoły, cy ty to bees wiedział, co gras, abo co bees śpiéwał?

— No — rzekła Jadwiga. — Kie Kubowa Broncia leciała bez pamięci proci Kulowego Jętrz-

ka, co to Kulów Orawcy pobili przy drzewie, kie hań panom ze Zamków ścinać buki pośli, to on jej zdaleka zaśpiéwał: idzie od Orawy potocasek krwawy, nie pładze dziéwcyno, to nie z mojej głowy! Tego go ta nik prędzej nie ucył, bo ani niewiedział, co w Orawe ku drzewu pudzie, ani co jego braci hań Orawcy pobijom. Ba jom fciał zdaleka pociesyć.

— No — rzekł Maciek — ono samo przydzie. Świat niesie. Jedno ze świata idzie, drugie sie w sercu rodzi — — jyno co pote jedno do serca, a drugie we świat gras.

— Abo i nie we świat — powiedziała Krystka.

Jadwiga zaś schyliła nieco piękną twarz ku wyniosłym piersiom.

Na który widok zadzwonił Maciek po strunach smyczkiem.

— Słysys? Gra — rzekł stary Nędza do żony w izbie. — U nas w Polsce lud przysprostawy, padajom, ale zdatny. Jeden z drzewa Matkę Boskom ustrugał, drugi gra, co sie jaz nie zal przysłuhać.

— Haj—odpowiedziała Nędzowa.—Ale mnie o Janosika bojno. Coby ka o zdrowie, abo broń Panie Boze gorzy o zycie nie przyseł.

— Wiés, stara — rzekł Nędza — jaskółka z błota gniazdo ulepi, a drózdz po lesie gwizda, ale ony oba ku orłowi nic nie płacom. On po

niebie leçi i kozy dzikie bije i nad ptakami je królem.

— Haj, haj — pokiwała stara Nędzowa dumną głową — ale to dziecko...

Gdy zaś cicha noc nadeszła i nad całą zagrodą Nędzów Litmanowskich spokój zapanował, a Wojtuś spać do stryka i stryny poszedł, Maciek czeladnik, który jeszcze długo grał dziewczętom, ukłonił się im grzecznie kapeluszem (obawiając się, że przez delikatność, ponieważ gra, nie odchodzą) i rzekł:

— No, dobra noc. Idem na sope.

— Dobra noc — odpowiedziały dziewczęta, ale się nie ruszyły z ławy pod domem.

— Wiés — rzekła po chwili Jadwiga do siostry — jaby sła ku Maćkowi legnąć, on mie koha.

— Ze dy idź — odpowiedziała Krystka, — Ucies jego i sie.

Opuściła Jadwiga ponownie głowę ku piersiom, gdyż była młodsza i jeszcze panna.

— Ale to moze tak nie przystanie na mnie, cobyk ja ku niemu sama sła, ba cobyk go ku sobie puściła.

— Kie on ani popod naskom ściane hodzić nie śmié, bo sie boi stryka.

— No...

— A ty puścis dziś ku sobie Wawrzka?

— Puscem.

— Wawrzek idzie śmiało, bo to gazdowski syn i parobek...

— No. A tobie sie widzi Maciek?

Jadwiga owinęła kraj zapaski na palec i rzekła:

— Wiés, kie on gra, to po mnie jaze mrowiecki hodzom, het, po całym ciele.

— No, jus i na tobie cas. Sesnaście ci mineno na Syćkik Świentyk. O te casy to ja jus spawała z hłopcyskami. Idź.

— No to pude... Przitrzim dzwiérze od sopy, coby nie zgrzipiały.

— Nie bój sie. Wiés, ka kołki?

— E cyk to raz hań strykowe siano wykładała?... Ale wiés co?

— Zje co?

— Coz ja mu powiem?

— Maćkowi?

— Haj.

— Je cozbyś do niego radziéła? Zawołaj Maciek — on sie obudzi, jak jesce nie śpi. A pote to on ci sie ta o słowa pytał nie bedzie!

— E best!

I Jadwiga zaczęła chichotać.

— No idze idź — rzekła Krystka — bo widzem, co cie juz mgli.

— Cy tys ta juz dziéwcęta Zubkosowe posły spać? — ozwała się stara Nędzowa do męża na pościeli.

— Pewnie; cegoz by siedziały? Ani nie

wiem, wto ku nim hodzuje? A toby skoda béło, kieby taka młodość i uroda sama lezała.

— A, toby jus béł stokrotny grzyk taki dar marnić — rzekła Nędzula.

— Haj — odpowiedział Nędza — mnie samemu case zal, co niémamy dziéwki w doma, boby my sie jej uhylali z białej izby, jakby miłego swojego puścić fciała na noc.

— Ale by to musiał być parobek, ku nasej córce! — rzekła Nędzowa. — Coby sie ku Janosikowi równał!

— Ba, coz radzić, kie niéma — mruknął, kłoniąc się ku snu, stary Nędza.

— Jyno jacy to jedno dziecko... Sokół...

Janosik chłopów w lasy popod Krzywaniem zwiódł i w górę ku Krzywaniowi patrzał.

Krzywań z góry na Liptów spozierał.

Wysoko w słońcu świecił jego łeb skalny, jak złoty, jakoby hełm z blasku wdział na się szczyt krywański.

On, jako orzeł z rozszerzonemi do lotu skrzydłami ku Polsce się obrócił, grożąc jej krzywym dzióbem, jakoby zakroczył sobą Liptów i Orawę od Polski.

Pierś skalną miał ściętą prostopadle nad doliną Niefcyrką, Hrubym Wierchem się zastawił, jak murem.

Groźno, straszno jego łeb skalny nadlasy widny, słońcem uwieńczony, ku Janosikowi pozierał.

Tak się Janosikowi Nędzy Litmanowskiemu z Nędzowego Gronika w Kościeliskach wydało, jakoby moc liptowskiego ojca Krywania wyzwał.

— Icie? — ukazał łeb jego chmurny Sablikowi.

— Wysoko — odpowiedział Sablik.

— Wysoko... Tak jakoby sobom Luptów zagrodziéł...

— Niegzeta... On ta i kóz i niedźwiedzi i świstaków przedemnom broniéł, a kiela ik hań padło?!

— Kieby to człowiek taki béł!

— Je toby świat owładał! Boby ani morze ku niemu za nic nie stało!

— No!

— Tak sie mi zdaje, jak kieby patrzał na nas.

— On ta i patrzy. Ale on o tem nie méśli. On méśli o tem, co béło przed tysiącem roków, abo i dawniej. On se zbacuje, jako beło, kie sie na równi nowotarskiej morze spiérało o Gorce i Babiom Góre, a haw na luptowskiej o Kralowom Hale i Dziumbir w Niźnik Tatrak. Jako bywowało, kie nań miesiąc z morza wyłaziéł i zaś znowa ś niego do morza seł. Jako wiater nań z morza piane wyciskował i jak wodami duł, a kie w zimie zamarzło, jako po lodzie goniéł. He, wtej béło! Jyno se poméśl! Tu kieniekie dziwaśkany scyt po nad lodami, a tu lód i lód, jak światu syroko!

I ciho. Ani pary. Tu wej wte wiatry grały! Wartało słuhać! Tu sie słońce iskrzyło po lodak! Ani ptaka, bo coby haw robiéł, nic i nic, jyno skały i lód. Jaby wte fciał zyć. Kieby ja se béł

wte z ruśnice wypaliéł, toby mie na sto mil béło słyhać. Nie zal by béło ani umreć!

Oni majom o cym do sie radzić, ci nagłowniejsi: Łomnica, Lodowe, Gierlahowska Wysoka, Luptowska Wysoka, Hruby Wiérk, Krzywań. Mnie sie to nieraz widziało, co ik słysem, jako gwarzom do sobie ponad ine scyty.

To tys to tak, jako i w doma gazda z celadziom; gazdowie, a jesce hrubi, majom o cym ze sobom uradzać. Krywań luptowskim Tatrom sołtys, jako Łomnica śpiskim sołtyska. Oni radzom o lasak, o wodak, o pogodzie i psocie, o tym, co sie dookoła dzieje, poza doliny, po Kosyce na Uhrak i po Kraków w Polsce. I przybacujom se starodawne casy, co mineny. Wto wié, co sie robiéło, kie woda z morza bez Pieniny uciekała. Jaki musiał być sum! He, wiés, Janośik, ony majom o cym pomiendzy sie ukwalować. Krzywań z Łomnicom. Na tobie patrzał niebedzie, ani na nas haw syćkik, jacy my i zkąd? Bajto!

— Tak uwazujecie krzesny ojce, izeby o ludziak niémieli nic radzić? — zapytał Janosik.

— Radzis ty to o mrowcycak, abo płascycak? A coz to jesce mrowcyca wielga proci nas, kie my pod górami!

— E — wtrącił Krzyś, który rozmowy zasłyszał — o płascycak*) jest nieraz telo co uradzić, co więcyl, jako o sytkiej wirności, sołtysak, wój-

---

*) Płascyca—pluskwa.

tak, starostak, kaśtelanak! To biskup! Kie ci za kosule wlezie! Ani cie przy słuhanicy ksiądz telo nie wypokutuje! Ta cie wytańcy, w nocy, cobyś hnet babie bez przykope hipnon!

— Hehehe! — śmiał się Saqlik.

Dał Janosik odpoczynek chłopom przed wyprawą w lasach pod Krzywaniem. Do wieczora mieli wypoczywać. Z łuków zwierzyny nastrzelano i było co jeść, ale surowe mięso ze solą chłopi musieli pożywać, bo Janosik ognia kłaść bronił, aby dymy nie zdradziły, choć lasy były nieprzejrzane naokół.

Wiadomo, że dyabeł nigdy nie śpi, a jak niema co robić, to pazury o kopyta brusi.

Rzekł Marduła do Krzysia i Gałajdy, z którymi się trzymał:

— Wiécie, hłopi, co, cały dzień po próżnicy w lesie lezeć, mnie sie haw niefce.

— Kazbyś seł? — zapytał Gałajda.

— Jaby sie seł ka co napić — rzekł Marduła. — A dałoby sie co ka przy casie porwać, no to jako fce, kie sie dało. Skoda dnia.

— Ze dyj prawda... Teraześ dobrze pedział. Ty mas głowe! A kazbyś seł? — rzekł Krzyś.

— Ze kabądź. Dy haw nika nie prec.

— Wyhodna blizo — rzekł Gałajda.

— Kralowska Lehota, Kokawa...

— Prybilina — dodał Krzyś — zkąd ja miał freirke w Budzynie, kiek na roboty hodziéł.

— Moze sie jesce do was przyzna — zakpił Marduła.

— Na mój sto prawdu! Ta, kie mie uwidzi, to jesce dziś sytko praśnie, dzieci, hłopa i dóm i pudzie za mnom — odparł niezbity z tropu Krzyś.

Gałajda popatrzył nań z niedowierzaniem.

— Moze — rzekł.

— No to idziemé? — zapytał Marduła.

— Podźmé — oświadczył Gałajda.

— Janosik zakazał sie oshodzić — rzekł Krzyś.

— Je! Wiera! — odpowiedział Marduła. — Idziemé na jagody. Dopadniemé swoik, bo tysiąc ludzi sie nie straci w lesie. A poscęści Pan Bóg, to sie przyznamy. Damy Janosikowi cęść.

— On nie weźnie.

— No to Stopkom i Sablikowi, co przy nim. Ja straśnie rad pudem, bok juz więcyl jako pięć roków nie krad! Jako mie przy tyk portkak pod Kalwaryjom dostali, to jesce do dziśkak nika niebéł

— Hej! — rzekł Krzyś — A Mardułaś!

— No! To tak, jak kieby słowikowi bronił śpiéwać — rzekł Marduła.

— Huhuhu! — roześmiał się Gałajda.

— Se mnie ta złodziej nie strasny — ozwał się Krzyś — ale napić, tobyk sie napił. Dy jus drugi dzień idzie, jakok w karcymie niebéł. Ono sie mi tak moze jus w zyciu nie trefi drugi raz.

— Ani sie moze dotela nietrafiło — rzekł Gałajda.

— O bo nié! Ja jesce nigda nie horował, ale jak bedem, to abo karcyme musom ku mnie przynieść, abo mnie ku karcymie, bobyk umar.

Szli dalej, nagle zatrzymał ich dojmujący widok. Na perci leśnej nad kotlinką młody niedźwiadek, piastun, ale już spory i tęgi, wyszczerzył na nich zęby i usiłował podnieść się na zadnie nogi z groźnem gwałtownem mruczeniem; za lewą tylną nogę był on chwycony w żelazną paść, w oklepiec.

— Jezus Maryja! — krzyknął przerażony Krzyś i w tył się cofnął. Marduła w jednej chwili wzniósł ciupagę do góry, ale Bartek Gałajda przytrzymał go za rękę, mówiąc spokojnie:

— Dajze pokój, to młode i w oklepcu.

— No? — Zapytał Marduła.

— Wrodniak, nie poznał znaku — rzekł ochłonąwszy z przerażenia Krzyś. — Wis, głupi, nie widziałeś zérdki?

Żelazna paść zastawiona była na ścieżce, którędy woły na halę pędzano, a nad nią, jakie jest prawo myśliwskie, wbita była żerdka poprzeczna z deseczką u górnego końca dla ostrzeżenia przechodniów.

Dwie półobręcze z długiemi i wielkiemi szpiczastemi zębami, rozłożone szeroko w mchu, zwarły się, gdy niedźwiadek nastąpił na sprężynę, przyczepiony zaś na grubym łańcuchu ciężki kłat drzewa nie pozwolił mu uciekać z miejsca.

— Stary oklepiec godny kęs powlece, po-

jeden i na drzewo ś nim wylezie — rzekł Gałajda.

Niedźwiadek był wściekły i w śmiertelnym zarazem strachu; raz wyszczerzał ku góralom kielce i usiłował grozić im przedniemi łapami, to znowu próbował cofać się i umknąć, ale żelazne obręcze i kłat na łańcuchu hamowały go w miejscu.

Szarpał się i jęczał z bólu.

— Zastrzel go — rzekł Krzyś do Marduły.

— Dobrze — odpowiedział Marduły i strzelbę zdjął z ramienia.

Ale Gałajda się ozwał:

— Dajcie mu pokój! To młode. Co wam złego zrobiło?

— Niedźwiedź — rzekł Krzyś.

— No to co? I on fce zyć — rzekł Gałajda.

— Bartek, aleś głupi — ozwał się Marduła. — Zabić go nie fces dać, a ostawis go w oklepcu, coby się męcył, z głodu zdek, abo coby go wilki zjadły?

— Ja go w oklepcu ostawić nie fcem—rzekł Gałajda.

— No to mu go séjm! — rozśmiał się Marduła.

Gałajda mówił jakby do siebie.

— Niewola strasna rzec... A i ból strasna rzec...

— Cos to robis? — zapatał zdziwiony Krzyś.

Albowiem Gałajda począł zdejmować swój

ogromny serdak barani. Gałajda nie odpowiedział, tylko z szeroko rozpiętym serdakiem, odrzuciwszy ciupagę, postąpił ku niedźwiadkowi, który podskoczył z rozwartą paszczą.

— Bartek?! — wrzasnął Marduła.

Ale Gałajda zarzucił swój serdak na łeb niedźwiedzia, zawinął go, pochylił się i objął ramionami niedźwiedzia łapy i w jednem mgnieniu oka on, niedźwiedź, żelazny oklepiec i kłat z łańcuchem stoczyli się z brzękiem i łoskotem w kotlinkę.

— Ohop! — krzyknął Krzyś z rozpaczną rezygnacyą.

Marduła wyrwał nóż z za pasa i gotował ciupagę, gdy nim zbiegł na dół, ozwał się przerywany głos Gałajdy:

— Franek —— śliź —— ozewres —— zelaza —— toporzyskem...

Marduła zdumiał się i skoczył przed siebie.

Tam Gałajda w potwornych swoich ramionach trzymał zawiniętego łbem i przedniemi łapami w kożuch niedźwiadka, który się szarpał jak wściekły.

— Pilno — mówił — bo wereda —— mocna —— jak kóń...

Marduła był Podhalaniec — i wiedział, co robić i nie namyślał się. Wbił toporzysko od ciupagi między zęby oklepca po za łapą niedzwiedzia i silił się rozważyć żelazo.

Krzyś patrzał z góry w podziwie.

Rozważył Marduła i odskoczył.

Na który widok na górze odskoczył i Krzyś.

Gałajda zaś prasnął niedźwiadkiem od siebie, jak mógł najdalej. Kożuch spadł na pusty oklepiec.

Niedźwiadek gruchnął na bok, aż jękło, porwał się na łapy i dał susa w bok; wydarł się nad kotlinkę i znikł w chuściawie.

— Zdrowy! — zawołał Marduła. — Nie rusyło mu kości!

— Zdrowy — powtórzył Gałajda, sapiąc i podnosząc serdak.

Krzyś patrzał nań w zachwycie, gdy z kotlinki wylazł.

— Ej, Bartek, aleś tys hłopski hłop! — rzekł. — Nie bździny!

— Ani ci nie podziękował! — zaśmiał się Marduła.

— On mi ta podziękował, po swojemu—odpowiedział Gałajda.

— A kieby cie beł skalicéł? — rzekł Krzyś.

— No to jako fciało. Dy on niewiedział, po co ku niemu idem.

— Ja jus meślał, Bartek, ześ ty o rozum prziseł.

— E, on ta i prziseł. Jesce się to nie wydarzyło, coby wto niedźwiedzia z oklepca ratował— rzekł Marduła.

— Luto sie mi go stało, tak jako i Kretowi hańtego dziéwcęcia, u Toporów u Jasiców.

— A siéłe miał? — zapytał Krzyś.

— Malućko, a jaby go béł nie dotrzimał — odparł Gałajda. — Krowe by ten jus zabiéł, kieby na uwzientego sło!

— No, wis! Toby i tobie móg béł zabić!

— Moze — odrzekł Gałajda.

Krzyś rozdziawił na niego oczy i poszli dalej.

Było już słońce wysoko na niebie, gdy się z lasu wysunęli.

Marduła szedł naprzód, Krzyś za nim, na końcu Gałajda.

Wstąpili na trawą porosłe jesienną pożółkłą pagórki, pozarastane krzakami jałowcu i późnemi jesiennemi kwiatami, nizką szafirową goryczką i modroliliowemi dzwonkami o wielkich pojedynczych kielichach. Falisto kołysały się te pagórki nad doliną Liptowa. Wsie i miasteczka blizkie widno było.

Szli prosto ku Prybilinie nad rzeką Belą.

— Jaby zatańcył i wzion co komu — rzekł Marduła.

— A jaby sie napił gorzałki i zagrałbyk — rzekł Krzyś. — A ty, Gałajda, cobyś robił?

— Spałbyk — odpowiedział Gałajda.

— No to po co ześ s nami poseł? Mógeś w jaferak pod ferecynom w lesie legnąć i spać.

— Kieście mie zapozwali ze sobom — odpowiedział Gałajda.

— Wiés, Bartek, ale sie nie gniéwaj, tyś taki, jak wół z pod Murania — rzekł Marduła. — Ka cie pozenom, to idzies.

— Huhuhu! — roześmiał się Gałajda i rzekł po chwili pomału, jako zwykle:

— A mnie miéło poméśleć, co se ten niedźwiadek po lesie hipce. I jemu miéło.

Na co popatrzył nań Marduła i oświadczył:

— Bartek, ja ci pedział, s tobie hłop, ale kieby sytka tacy béli, toby my jesce kamieniami ziem orali, jako drzewij, za Jadama w Raju.

— Ja ta wyméślował nic nijako nie bedem — odpowiedział Gałajda. — Jest na to ini.

Rozradowała się Krzysiowa dusza.

Albowiem naprzeciw nich ukazała się za małym przylaskiem karczma, jakie dobrze poznał w życiu.

Stał dom drewniany wielki, z wysokim góralskim dachem i z murowanym po nad nim białym pobielonym kominem, ściany domu szare były od dawności. Dzieliła go na dwie połowy sień, w oknach zaś małych i wązkich, których było po dwa z każdej strony sieni w izbach, widniały grube kraty żelazne, pordzewiałe i pajęczyną zasnute. Z boku, przy izbie po lewej ręce była jeszcze komora bez żadnego okna, tylko z wyciętym kwadratowym otworem dla odrobiny światła.

Przed karczmą był dziedziniec, a na nim studnia z żórawiem i po nim porozsypywane siano, sieczka i owies, oraz gnojówka z mętną żółtawą

pianą u brzegów z moczu końskiego, albowiem konie stały przy kilku wozach, siano z półkoszków biorąc. Pomiędzy końmi chodziły kury i prosięta żydowskie. Stała też po drugiej stronie dziedzińca wozownia, z którą łączyła się stajnia krowia, należna do karczmy.

Młoda tęga dziewka słowacka z zakasanemi rękawami koszuli myła szaflik pod studnią, do kolan mając spódnicę uniesioną i dwa krótkie warkocze twardo splecione kasztanowatych włosów, niebieskiemi wstążeczkami u końców przewiązane, na obie strony głowy na biało przedzielonej ku ramionom, jak ogonki młodych gończaków krzywo sterczące.

— Marta! — krzyknął za nią niespodzianie Marduła.

— Jaaaj! — zawołała słowackim obyczajem przestraszona dziewczyna.

Na który widok ucieszone całym widokiem serce Krzysia folgi szukające sprawiło, iż Krzyś pełną garścią dziewczynę wyżej uda z tyłu ułapił.

— Jaaaj! — krzyknęła ponownie, odskakując.

— Dobre rano! — rzekł Krzyś.

— Dobre rano niech mają! A skod idu? Z Polski?

— Z Polski. Na zarobek. A jest karcmarz?

— A gdze by iszoł? Jest je.

— A kacmarka?

— I pani su.

Kacmarecko nasa nie wyganiaj ze nas,
jak nam nie zborgujes, to nam darmo nie das! —

zaśpiewał Krzyś.

Wyszedł Żyd z karczmy, wysoki, siwy, barczysty, z brodą długą, w zaświchtanym chałacie.

— Dobre rano! — zawołał Krzyś. — Ty, pan, borowićku mas?

— Mam — odpowiedział Żyd.

— To daj!

I postąpili ku izbie.

— A ka idom? Z telim zbrojem?—zapytał Żyd, podejrzliwie patrząc na pistolety za pasem u Marduły tkwiące i strzelbę na jego ramieniu.

Ale Krzyś odpowiedział:

— Boimy sie zbójników, bo my kupcy na konie, z miasta, z Nowego Targu, znas, pan? My dwa — wskazał na siebie i na Gałajdę — a tego my najeni, coby nas broniéł — wskazał na Mardułę. — To mój parobek.

Skrzywił się Marduła na tę prezentacyę i ozwał się górnie:

— Wino, tokaj, jest?

— Jest i tokaj.

— Dawać!

I posunął się pierwszy do sieni, a z sieni do izby na lewo.

Tam młodsza Żydówka stała przy piecu i warzyła coś w rondlach, druga zaś stara, pomarszczona i zgarbiona, siedziała na zydelku i darła pierze. Kilkoro dzieci kręciło się po izbie. Za

stołem siedziało paru słowackich chłopów i piło wódkę.

Chłopi podnieśli oczy z zaciekawieniem na przybyłych, żydzi poszwargotali między sobą. Zaś Marduła chcąc zatrzeć wrażenie prezentacyi Krzysiowej, zachęcał Gałajdę:

— Jédz! Pij! Kazuj se!

Pili, a Marduła, aby pokazać, że nie z byle kim, ale ze „światowymi ludźmi" mają do czynienia, zaczął, a zawtórował mu zaraz Krzyś pieśń złodziejską, szeroko śpiewaną:

Siorsa burkowana, karćma murowana,
jest tam kacmarecka jesce niesimfrana.
Tak se przyknajało trzok handrusów do dnia,
siedli za stolice, dziakneli se ognia.
Świarna kaćmarecko pozdwól ze nam zagrać,
troske potańcymy, poknajemy doraz.
Śwarna kaćmarecka zagrać im kazała,
oni tańcowali do samego rania...

Niedługo wziął za skrzypce Krzyś, a Marduła jął tańczyć. Ciało jego wyprężyło się, oczy znieruchomiały i straciły wszelką myśl, a stały się jakimś blaskiem bezmyślnej, krążącej po żyłach Marduły krwi; korpus wykonywał ruchy małe, miotany przez nogi, nogi natomiast wykonywały pracę gwałtowną, jak piorun, i wściekłą, jak obłęd. Marduła, unosząc się na końcach palców u stóp, uczynił taki wir z nóg swoich, iż szalonych ich ruchów oczy patrzących chwytać nie zdołały. Lekkość zaś w końcach stóp Marduły była taka, iż

zdawał się on nie stawać na ziemi, ale tylko dotykać jej szpicami kierpców i suwać się jakoby wirując w powietrzu.

Patrzyli chłopi słowaccy z niemem zdumieniem.

Wtem Marduła ponad ich głowami skok dał i piętami w ścianę nad ich głowami uderzył.

Chłopi przygięli głowy i pootwierali gęby.

Wtem Marduła skoczył i podeszwami kierpców skrzypce Krzysiowe musnął, a Krzyś nie przestał grać.

Chłopi słowaccy wybałuszyli oczy.

Wtem coś trzasło.

To lekkonogi Marduła jednem uderzeniem stopy gruby dyl podłogi karczemnej złamał.

Naówczas chłopi słowaccy wybuchnęli ogromnym śmiechem zachwytu i poczęli wołać po swojemu: jaaj! jaaj!

Krzyś zaś grał, oczy jego ciemnoszafirowe, o długich wołoskich rzęsach, szeroko otwarte, wodziły się za Mardułą, przymykając się, gdy Marduła zdumiewał, a ruch ręki wodzącej smyczek i palców przebierających po strunach był automatyczny; również automatycznie bił Krzyś takt stopą. Od czasu do czasu przy wyższym skoku, cudowniejszym ruchu, namiętniejszym rzucie Marduły, spoglądał na Gałajdę i uśmiechał się.

Pierwszy otwarł Marduła oczy i odrazu zachłysnął się, jakby mu oddech zaparło. Jezus Marya! — przeżegnał się w duszy. — Żali to był sen?

Żali nie wyszedł z lochu pana Rzeszowskiego i śniło mu się tylko, że go ztamtąd puszczono, że sołtysa na drzewie powiesił, z pieniędzami jego na Olczę przyszedł i ztamtąd na wyprawę z Janosikiem wyruszył za Tatry?!...

Przetarł oczy.

Lecz nie, nie była to ciemnica lochu, gdzie lata długie przesiedział: z boku, niewysoko, widniało zakratowane okno w murze, którego w zamku rzeszowskim niebyło.

Nagle, w śmiertelnym strachu Marduła porwał się na równe nogi i kopnął obok leżącego i śpiącego Krzysia w kolano.

Krzyś się obudził, siadł i spytał:

— Dnieje?

— Krzyś! — krzyknął Marduła. — My we więzieniu!

— Co? — zapytał Krzyś włosy odgarniając.

— Krzyś! Na rany Boskie! My w hereście! We więzieniu!

Tyle rozpaczy było w głosie Marduły, że Krzyś porwał się z siedzenia, odrazu trzeźwy.

— Jako?

— My we więzieniu! — wył Marduła.

Krzyś rozejrzał się i ujrzał kratę w oknie ściany, pokiwał głową i rzekł:

— Juści prawda. Zaparli nas.

— Gałajda! Gałajda! — wył Marduła, kopiąc z kolei Gałajdę w bok.

Ale Gałajda spał twardo, na brzuchu leżąc, podobny do wielkiego tramu drzewa.

Marduła rozpaczliwie raz za razem trącał go nogą. Wreszcie Gałajda się obudził i zapytał:

— Co fces?

Marduła wrzasnął z jękiem:

— Bartek, Jezusie Maryjo, my we więzieniu!

— Jako? — zapytał Gałajda sennie.

— We więzieniu my! Boze! Boze! Boze!

— We więzieniu? — zapytał Gałajda powoli i niewyraźnie.

— Dyj ci gadam! Zaparli nas!

— Moze?

Marduła począł płakać na cały głos. Znowu więc jest w lochu, znowu, znowu, znowu?!

Gałajda zaś siadł na kamiennej posadzce lochu i począł pytać Krzysia:

— Ka my to? We więzieniu?

— Patrz! — wskazał mu Krzyś małe zakratowane okno.

— Hy — mruknął Gałajda — prawda.

— Jako my sie dostali?! Jako my sie haw dostali!? — ozwał się w szlochaniu Marduła do Krzysia, ten zaś milczał jeszcze chwilę i odpowiedział:

— Ja sytko wiem. Tańcowałeś w karcymie, pote zacéni my pić, pote jeś ty hipnon do Gałajdy i pedziałeś mu: ty myślis, bestyja wielga, ze ja ci sie bojem? — i wycioneś go pięściom w łeb. On nic, jyno sie ośmiał i łeb sie mu skrziwiła. Tyś zaś drugi raz hipnon ku niemu i zaśeś mu znowa samo tak pedział: ty myślis, bestyja wielga, ze ja ci sie bojem? — i zasieś go wycion w łeb, a on sie samo tak ośmiał i łeb sie mu skrziwiła. Za trzecim razem cie ciapnon, dłoniom na plask, a tyś sie przekopyrtnon pod ławe. Zacéni sie Luptacy śmiać, a Bartek im pedział: wy sie nie musicie z Polaka śmiać. Oni jesce barzyj, bo i oni przynapici béli, a Gałajda nic nie pedział, jyno do nik beckom z kapustom, co mu stała pod bokem, śmignon. Zrobiła sie burniawa, oni do nas hipli.

— Aha! Wiem. Zbacyłek se. Ja ik w pole wyprał — przerwał mu Marduła.

Ale Krzyś rzekł:

— Edźjeś ik ta bars moc w pole nie wyprał, boś pod ławom lezał jesce, jak głupi, jyno Bartek synkwas do obu rency ułapiéł i wzion nim

jeździć po izbie ze starom Żydówkom na krześle, bo jom zawadziéł rogem. Luptowscy hłopi uciekli.

— Uciekli, kie ja wstał — rzekł Marduła.

Krzyś niechętnie kiwnął głową i odpowiedział:

— To jyno ten wte uciekał, co go nie było. Tyś, Franek zawdy jednaki. Kiebyś sie béł nie fciał przekazować przed Luptakami ze siéłom, toby my béli do biédy niewpadli. I wyśmiali cie i jesce my we więzieniu, a wtoz wié, cy kie wyjndziemé stela?

— Ze coz my zaś takiego strasnego zrobili, coby nas niémieli puścić? — rzekł Marduła przemijając cierpkie prawdy Krzysia.

— Je nic, jyno co po téj bece z kapustom trzok niezywyk ostało.

Zwiesił Marduła głowę na piersi, potem powiedział:

— Hajducy béli blizko.

— Wiera blizko! Bo ja cie za pahołka udał, a tyś płaciéł i wołałeś na nas, coby my se kazowali. Piékny mi taki pahołek, co gazdowi wino płaci. Zyd zaraz do urzędu musiał dać odkaz. Prawie hajducy przyśli, kie my béli z winem, z gorzałkom i s temi trzoma gotowi. Straśnie my béli sytka pijani, ani nie wiemy, kie nas tu przywiedli. Mnie sie jesce w głowie zawraca.

— Ej Boze! — westchnął Marduła.

— Bo my jesce pote pili, zakiela hajducy przyśli i tak sie mi widzi, ze my polégali spać na ławy — kończył Krzyś.

— Tak musiało być — rzekł Marduła. — I tu nas przywiedli, abo i przywieźli pijanyk. A teraz nas obiesom, abo tu zgnijemé za zywa.

— Kaz my som? — zapytał Krzyś.

— Cy ja wiem?!

Krzyś poszedł ku oknu i wyjrzał przez kratę.

— Tak sie mi widzi, ize my na zamku w Hradku. Tak mierkujem, bo góry końdek widno.

— O! O! O! — począł łkać Marduła. — Znowuk w niewoli! O jus teraz niewyjńdem ś niej! Jus nie wyjńdem! Nigda!

Gałajda słuchał milcząc. Wtem wstał, a głową pułapu sięgnął, i przystąpił ku ścianie najbliższej. Wyciągnął ku niej ręce, rozstawił ogromne palce i tak wzdłuż ścian posuwał się, macając je, jakby był niewidomy.

Przybliżył się ku oknu.

Wlepił w nie oczy i powietrze pociągnął nozdrzami.

Potem znowu ścianę macając sunął się wzdłuż celi, ale gdy znowu ku oknu przyszedł, zatrzymał się i powietrze nozdrzami ciągnął.

— Niewola — mruknął powoli do siebie.

— Niewola — powtórzył.

— Niewola — rzekł po raz trzeci.

Coś takiego zadrżało w jego głosie, że Krzyś i Marduła pomimowoli z przerażeniem spojrzeli na siebie.

Gałajdy pierś wzdymała się, usta krzywiły i oczy poczęły nabierać wyrazu przerażenia aż do obłędu.

Zwrócił oczy na Krzysia i na Mardułę, straszne i pełne okropnego strachu.

— Gałajda — rzekł Krzyś, aby przerwać milczenie i z trwogi przed Gałajdą — dy cie jesce nie wiésajom.

— Ja — ja—począł bełkotać Gałajda — ja— w niewoli? Jakoz to? Niémogem — iść — ka fcem — zapartyk — — pomiendzy mury — — niémogem iść — ka fcem — ja — — w murak — — ja — —

— Piérsy raz siedzi — mruknął Krzyś porozumiewawczo do Marduły.

Gałajda położył ręce na kratach.

— E — rzekł Krzyś — hrube, nie wytardzes.

— Próguj! Próguj, Bartek! — krzyknął Marduła. — Ja ci pomogem!

Gałajda zagiął palce na kratach, przypiął się do nich i Marduła. Nie drgnęły.

— Na nic! — zawołał Marduła. — Niémamé haw nic? Ani noza?

— Sytko wzieni, kie my spali — odpowiedział Krzyś.

Gałajda ciągnął kratę, żyły wystąpiły mu na skroniach i na rękach i zsiniał cały z natężenia; ale krata nie puściła.

— Na nic — powtórzył Marduła — juz my ik! Na wiecność!

Gałajda szarpał kratę w tak straszliwy sposób, z takim wyrazem twarzy, aż Krzyś przerażony ozwał się:

— Bartek! Daj pokój! Nie siep sie telo!

Ale Gałajda snadź nie słyszał i szał go ogarniał. Zerwał ze siebie koszulę, zmoczył skręcił, założył za kratę, cofnął się krok i szarpnął. Przerwał koszulę i odleciał w tył ku ścianie, w którą uderzył plecami, aż jęknęła.

— Jezus Maryja! — szepnął Krzyś w trwodze na widok tak strasznej siły i tego wysiłku.

Gdy Gałajda zaś na nieruszoną kratę w oknie i na przerwaną na poły koszulę w swoich rękach spojrzał, usta skrzywiły mu się do płaczu, łzy do oczu nabiegły, pierś poczęło mu wstrząsać krótkie, przerywane łkanie i rozpłakał się jak zrozpaczone dziecko.

Krzysiowi stało się go żal.

— Bartek, o coz płaces? — ozwał się, aby go pocieszyć. — O kosule? Dyj ci jej ani nie trza na długo, bo cie obiesom. A kie cie pod siubienice powiedom, to ci kosule dadzom, nie bój sie.

— Nie ładnie by béło na nik, coby nagiego wiésali — dodał Marduła rezygnacyjnie.

Gałajda łkał i na kratę patrzał, a oczy stawały mu się coraz większe, coraz więcej przerażone, zdawały się wychodzić na wierzch z orbit.

Krzyś przeląkł się o niego.

— Gałajda! Nie zapamiętuj sie! — krzyknął. Gałajda zaś znowu jak człowiek nieprzytomny począł rękoma dookoła siebie wodzić, ruchy niemi nieokreślone wykonywać, cofać ju ku głowie i znowu wyciągać.

— Is — rzekł Marduła żałośnie — niedźwiadkaś z oklepca puściéł, coby béł wolny, a sameś na niewolom przyseł...

— Hej wiera! — westchnął Krzyś. — Jus mi Byrka więcél zimnej kapusty bez omasty na śniadanie nieda... Co robić... Mocny Boze...

— Kiejek do dudka przyseł, kie mi Pan Bóg piendziesiont dukatów nagodziéł, cobyk sie na gazde sprościł, tu mas! — biadał Marduła.

— Hej Panie Jezusie! Aleby my béli za té dukaty nieraz pili! — westchnął Krzyś.

— Ej béli by my béli!

— I Gałajde by my béli ozénili! Bo ja mu to zawdy padał, co mu baby trza. I byłbyk mu babsko nalaz, jak sie patrzy, nie oblizańca, ani nie matafije, coby maniory miała, jyno dziéwke gazdowskom, nie wysiedzianom, rezuwitnom, wystawnom i przystojnom... Bo to cłowiek!

— Hej, cłowiek! — powtórzył Marduła.

— Jemu baby béło trza — mówił dalej Krzyś. — Ja mu radziéł. Coby miała duse jak woda, serce jak złoto, rozum jak włosy, a od biedry do biedry w zadku trzy siuhy. Coby béła.

— Haj, coby béła! — westchnął z żałością Marduła.

— Ja mu radziéł. Bo mi go béło zal. Samé jyno obsiwkary béły koło niego, co na jedném ramieniu wode nosi a na drugiém ogień...

— Hej, hej! — wzdychał Marduła.

— A teraz sytko na nic.

— Na nic.

— I z Byrkom jus niebedem i Gałajda sie nie ozéni i obiesom nas.

— O rany, rany Boskie! — począł łkać wzruszony do głębi Marduła.

— I s tobie, Franek, tys nic niebedzie. Taki piékny hłop!

— No — jęczał Marduła przez łzy. — Béł ka wtory drugi taki?

— Nie béło.

— Ja to zawdy wiedział, ze nié!

I Marduła rzucił się Krzysiowi w objęcia.

— Symónie! — odezwał się z kąta Gałajda głosem cichym i drżącym do Krzysia.

— Co fces?

— To ja jus nie pude więcél z wołami w hale?

— Nié.

— Kie sie zieleni?

— Nié.

— Kie okowiak gwizda po lesie, a siwarnik po kosodrzewinak?

— Nié.

— Kie zołna puka po smreku?

— Nié.

— A wewiórka hipka po gałęziak?

— Nié.

— Kie hmury białe po niebie idom i owce po kosarak zbyrcom na zwonkak?

— Nié.

— Kie juhasi na piscałkak grajom po turniak, a pastérki śpiéwajom za krowami?

— Nié.

— Watre kłaść?

— Nié.

— Nie pude więcél na trawie pomiendzy lelujami zółtemi na brzuhu lezeć i jescaw zuć?

— Nié.

— Ani borówek i bruśnic przy wołak jeść?

— Nié.

— Ani niebedem więcél ocami do nieba na grzibiecie lezał do słonka sie grzejęcy?

— Nié.

— Nie pudem jus ka bedem fciał, kie bedem fciał, jako bedem fciał?

— Nié.

— Ba mie cosi trzimie?

— Haj.

— Mnie?

— Tobie.

Gałajda, żałośnie i jak dziecko dotąd mówiący, ryknął i rzucił się ku drzwiom żelaznym, gładkim i bez klamki od wewnątrz. Za nic ich chwy-

cić nie mógł, za nic probować wyważyć, więc po kilku daremnych próbach jął w nie bić sobą, własnym ogromem. Huczała cela więzienna, ale drzwi nie drgnęły, Krzyś zaś wołał:

— Bartek, siejdze, daj pokój, bo se na zdrowiu ublizys!

— Bartek, posiedź! — wołał ze swej strony Marduła. — To na nic! Ja to znam!

Gałajda tłukł ramionami, piersiami, kolanami drzwi, aż wreszcie cofnął się od drzwi, mówiąc półgłosem:

— Mocniejse...

— Biédak — rzekł Krzyś — widziało sie mu, co jus nic mocniejsego niéma nadeń. A ono wej jest. Nasło sie. Dźwiérze zelazne.

— Mocniejse — powtórzył Gałajda.

Jakby z jakiemś uszanowaniem, z podziwem na drzwi patrzał.

— Wis, Gałajda — rzekł Marduła — tak se i ten niedźwiadek pod Krzywaniem, coś go z oklepca puściéł, septać musiał, jako ty haw teraz. Bo i ten oklepiec béł mocniejsy, jako on. Pedziałeś mu: niewola strasna rzec, a aniś sie nienazdał, kie sam do niej wpadnies.

— Nienazdałek sie — zachrypił Gałajda.

— I ulutowałeś sie go wej, hoć to jyno głupi dźwiérz béł, ale nad nami nijakiego zlitowania niebedzie aj niebedzie...

— Haj, z nienazdania my haw wpadli — zabiadkał Krzyś, Marduła zaś zawołał:

— Wis, Bartek, twój niedźwiadek se po lesie skace, spomina cie... I niewolom swoje...

— Niewola — zachrypił Gałajda.

Wtem porwał się od ściany, pod którą stał, przegiął się, pochylił głowę naprzód, wziął rozpęd od ściany, dał olbrzymiego susa i z łoskotem, wyłamawszy kratę w oknie, wleciał w nie ramionami i tak został.

Krzyś i Marduła oniemieli na razie, nakoniec Krzyś, widząc, co się stało, krzyknął z uciechą:

— Bartek!

Gałajda nie odpowiedział; Krzyś wołał:

— Bartek! Aleś hłop! Jesce takiego niebéło! Wysoko hań? — Gałajda milczał.

— Zamglał — rzekł Marduła.

— Nie dziwota! Kie sie hań kosula urwała! Wyciągmy go!

Wyciągnęli Gałajdę z okna, ale on zwisł im na rękach.

— Bartek! — wrzasnął Marduła.

Z czaszki Gałajdy z pod włosów sączyła się krew.

— Ozbił głowe! — zawołał z przerażeniem Krzyś.

— Nie, łeb ma całom — powiedział Marduła, wsunąwszy palce we włosy Gałajdy.

Położyli go na podłodze; Gałajda legł sztywno.

— Trup — rzekł Marduła. — Zabiéł sie.

— Zabiéł sie — powtórzył Krzys, kiwając głową. — Teli hłop.

— Śmierzć więksa.

— Bartek! — wrzasnął nagle, potrząsając Gałajdą, Krzyś.

Ale Gałajda był nieruchomy.

— Zabiéł sie, na ozaist zabiéł się — rzekł Krzyś z bezsilną trwogą do Marduły. — Zabiéł sie...

— Skoda go. Ja go straśnie rad widział — westchnął Marduła.

— I ja — powtórzył Krzyś i wybuchnął płaczem.

Rozpłakał się również i Marduła i obaj płakali rzewnie nad ogromnym trupem.

— Bartuś, Bartuś, kieby ja béł przecuł, niebéłby ja cie pozywał ze sobom, kieś sie ty miał zabić — łkał Marduła.

Lecz Krzyś ustał płakać i rzekł:

— Ale okno wybiéł.

W jednej chwili przestał płakać i Marduła.

— Prawda — rzekł — okno wybiéł.

— Mozemy uciekać.

— Mozemy.

— Słonko dopiéro mało co wyhodzi. Jesce śpiom.

— To my tu od wcorańsa, od popołednia?

— No, spalimy, bo my béli pijani.

Zerwał się Marduła, jak żbik.

— Uciekajmy!

Krzyś przystąpił ku oknu i wyjrzał.

— Niéma nikogo. Woda pod murem, Wag,

nie bars sie głęboka widzi. Jyno wysoko skocyć. Bedzie ze trzy siongi.

— Nieg bedzie i dziesieńć!

— Połózmyz go, jako trza — rzekł Krzyś — coby wiedzieli, ze to béł oświęcony człek i ze go haw nik nie zabiéł, jyno on sie sam.

— Wartko! Wartko! — wołał Marduła.

Krzyś zaś ręce Gałajdzie na piersi olbrzymiej złożył i powieki mu przymknął.

— Bydź zdrów, bracie! — rzekł, ściskając go za rękę przy dłoni.

Ale Marduła wsunął się już w okno, wysunął nogi i skoczył.

Pojrzał za nim Krzyś: spadł w rzekę, zanurzył się po szyję i stanął.

Krzysia przejął strach, lecz Marduła dawał znaki naglące rękami, wsunął się więc i on w okno, wspomniał Matkę Boską i Byrkę i skoczył.

Buchnął w wodę obok Marduły; zalał się, ale go Marduła za kark chwycił i tak go dzierżąc, wodę przebrnął, poczem wpadli w rosnący zaraz za wodą las i poczęli biec naprzód.

Biegli długo, aż Krzyś sapać zaczął i przemówił:

— Lekcéj ze, bo nie zdolem.

Zwolnił więc nieco Marduła szalone tempo, a Krzyś mruczał:

— S tobie by béła prawie pła, abo cap, Franek... Kie umres kiejsi, to sie z dyabłami

w niedziele o załoge bedzies ścigał po piekle... Bo hań pudzies za sołtysa z pod Kalwaryje.

Bieżeli jeszcze, aż Krzyś zaprotestował:

— Stań! Teloś przebiegły, co cud! Zapaliłbyś mie!

Stanęli więc. Krzyś zaraz siadł na korzeniach od buka. Milczał chwilę, sapał, potem rzekł:

— Skoda Bartka! Béł hłop! A i dobry człowiek, strasecnie.

— Skoda — odpowiedział Marduła. — Mnie go bedzie zal do końca zycia.

— I mnie. Ale wiés, kieby nie on, toby my haństela nie wyśli.

— Ze jak? Nigda na świecie! Tej kraty by ani trzok tęgik hłopów nie wyłomało. Ja jom cuł, kiek sie jej hyciéł.

— Béliby my wisieli.

— No. A coby nas béli dobili przódzi! Mało zywyk by nas obiesili!

Krzyś wstrząsnął ramionami od zedrżenia.

— Dobrze, co s nami béł.

— Ze dy ista łaska Boska! Ojca nam Pan Bóg dał, w tym Bartku.

— Haj. Trza dzieńkować Panu Bogu, co go s nami wraz zaparli.

— I co miał łeb nie krufkom. Gównem by béł niewybiéł.

— No. Kwałaz Panu Jezusowi, kie my tu!

— Wyślebodzili my sie.

— E — rzekł po chwili z wesołością Krzyś — ale sie nacudujom, kie hań jyno jednego najdom!

— Wiera sie nacudujom, psie kości! Kie trzy siubienice ryktowali!

— Bajto! Nieg mie pobozia ze siubienicom, kie ja haw, w lesie. Ale kaz teraz pudziemé?

— Ku Janosikowi. Najdziemé go! On hłopami nie sieje po dródze, ba idom kupom. Wrócimé sie zaś za wode, ale daleko. Mnie tak kieby skrzidła rosły!

— Dyabli cie wytrzęśli! Obęckałek się wcora straśnie w tej karcymie, jesce dziś cujem. Posiedźmy na kwile. Goniéł nas nik niebedzie, bo ani ślaku znaku po nas. Bedom myśleli, jeze my sie potopili we Wagu, kie my powyskakowali oknem. A i trup ig zabawi by na ćwierć godziny, kie go najdom. Bo sie bedom cudować, kieli je i jako sie stało?

— No tak pedzieć sprosta, Symónie, co juz widno, ize nas Pan Bóg opiekuje — rzekł Marduła. — Kieby Gałajdy béł nie stworzéł, toby my haw niebéli, ba hań, i musieli by my wisieć.

— No haj.

— Cud Pana Boga, jakie ja mam scyńście! — mówił Marduła. — Niwto iny takiego scyńscia niéma. I piniondzek nabył i z biédy jek bez Gałajde wyseł. A i tyk dukatów jek nie wzion ku sobie, jyno dwa, dwak minon, a seś śtyrdzieści jek ostawiéł przy mace. I Pan Bóg sie w piéknym cłowieku koha. Jyno wiécie, Krzyś, nie pa-

dajcie pomiendzy ludziami, co ja sie od Gałajdowego rencyska przekopyrtnon. Bo to ani tak niebéło, jyno ja sie utknon i bez to. Przewyrtnonek sie wej. Jaby sie mu béł niedał na ziem prasnonć.

— He — rzekł Krzyś — skoda go. Jaby go béł ozéniéł. Na mój sto prawdu! I był byk mu na weselu grał i byliby my pili...

Marduła zaś dowodził:

— Pan Bóg tyz wié, co robi, nie bój sie! On by sie do sądnego dnia hańbiéł, jakby mnie z Jego wólom takie ciarapary Luptaki obiesiły! To raz. A drugie: miéło Mu na mnie patrzyć, jak do kwiatu. No, ale lećmy.

— E, jyno jus tak pytlikujmy, bo straśnie pre. Gorąc! — rzekł Krzyś.

Siadł Janosik Nędza Litmanowski, ręce za przypory od portek założywszy i nogi przed się wyciągnąwszy w zamku hradczańskim w wyzłoconej kasztelańskiej sali na szkarłatem obitym fotelu, a za nim stanęli jego towarzysze: Mateja, Gadeja i Wojtek Mocarnego Stopkowie i siwy stary Sablik ze sępiemi oczyma, pospierani na ciupagach. Przed nim zaś stał blady wylękły kasztelan, Iwo Szalany baron, z rękami w bezwładnym przestrachu opuszczonemi po żupanie.

— Prosem ig miéłość, wielgomoznego pana grabie kluce od kase—rzekł Janosik grzecznie do kasztelana.

— Kasa cesarska.

— Ja tu teraz pan! Pisajcie do cysarza: Janosik Nędza Litmanowski z Polskej, z Nędzowego Gronika w Polanak, haw béł i kase wzion!

Tomek! — zwrócił się do Gadei. — Bier hłopów i icie z panem grabiom, kase cysarskom wybrać.

I wyciągnąwszy przed się rękę palcem wskazał posłuszeństwo baronowi.

Z kolei zwrócił się do siedzącego pod ścianą ponsowego z gniewu kanonika, zamkowego proboszcza:

— Prosem ig miéłość duhownom, Gałajdzie, emu, ccście go we więzieniu, zakiela ja haw z hłopami prziseł i Hradek zajon, niezywego naśli, cobyście mu taki pogrzéb sprawili, jak kieby jednorał cysarski pomar.

Żachnął się zuchwały ksiądz, w suknię swą dufny, i krzyknął nieposiadając się z oburzenia:

— Szalejesz, chamie?!

Ale Janosik ze szkarłatem obitego fotela wstał, ku księdzu postąpił, pistolet z za pasa dobył i pod nos go kanonikowi podsuwając, pocałował go w rękę i rzekł spokojnie:

— Jedy jako fcecie, jegomość. Ja was ta moc nukał niebedem. Ale bedzie?

I przybliżył lufkę pistoletu pod nos księdzu.

— No jakoz? — pytał Janosik.

Ksiądz zaklął po madziarsku, porwał się z miejsca i wrzasnął:

— Zbóju!

— E ta o to nic — odpowiedział Janosik spokojnie i stalą lufy końca nosa księżego dotknął.

— Bedzie?

— Bedzie! — ryknął trzęsąc się z furyi ksiądz.

Janosik ujął go powtórnie za rękę, pocałował i rzekł:

— I coby wartko béło, iegomość, duhem, bo tys casu niémamy haw siedzieć. A co my sie końdecek teraz pokłopocili, to nic. Gniéwu o to miendzy nami niebedzie.

Bier hłopów, Mateja, i idź z jegomościom pogrzéb Gałajdzie jednoralski sprawić. Ja ta przydem.

A setnicy i dziesiętnicy nieg pilnujom: kupców, Zydów, panów rabować wolno, siedlakom, hłopom, a biédakom, sewiecom, krawcom, rzemieśnikom niebrać nic, ba jesce, jak biéda nań, to mu rucić. Zbójnik świat równa.

— No wicie, krzesny ojce — zwrócił się do Sablika — moze my nie dłuzy jak o dwie godziny po świtaniu haw prziśli, a z Gałajdy juz trup!

— No.

— A Mardułe, ani Krzisia nik niewidział?

— No nik.

— E, to oni dwa cojsi umędrkowali, a Gałajda odpiók. Bo on ta bodeś s kim o bodejscym nierad radziéł. Skoda hłopa. Ja go fciał kie sie bedem z cysarzem w Peście ziemiami dzieliéł, cysarzowi pokazać. Bo niémas pomiendzy nami nadeń, coby wto tęgiego wołu dźwignon, abo z hrubego smreka urwał gałąź od samego serca. Ja sie ś nim fciał pokwalić—jakie to w Polsce bra-

kowne hłopy bywujom. Jeść sie mi fce. Hej, hajduk, przywiedź mi haw barana! Tłustego!

— Tu?—zapytał wystraszony burgrabia, którego Janosik za hajduka wziął.

— Nie błaktaj pyskem, jyno rób, j... ci oko dziś!—krzyknął Janosik.

A gdy skopa do sali wprowadzono, Janosik przystąpił ku niemu, nożem zbójeckim gardziel mu na dywanie bagdadzkim poderżnął i rzekł:

— Kaz kuhnia? Uwarzcie go w mléku, po juhasku. A hłopom woły, kielo trza. Coby miésa dość béło. I biédakowi, wendrownemu, dziadowi dać. Jyno pić mało. Wto sie opije, pięć dwaścia toporzysk.

Tak nagle, tak niespodziwanie Janosik z tysiącem chłopów Hradek podszedł, że nim do muszkietów skoczono, nim armaty nabito, już muszkiety były w rękach Podhalańców i na armatach siedzieli. Janosik zajął Hradek i myślał co dalej uczynić. Czy na Liptowski Mikułasz iść, na liptowską stolicę, czy ku Spiżowi się udać, ku Popradowi? Czy się tu panem na Hradku ogłosić i ztąd ziemię dla górali zdobywać?

Chciał on ją liptowskim panom, grafom Erdoedym, Palffym, Zichym, panom Maryaszym, Szentivany'im, Pongraczom i biskupowi, co miał w goemerskim komitecie setki tysięcy morgów lasu, a w nim więcej dzikich świń, niż cała góralszczyzna owiec, majątki odebrać, a co się zwyższy i Słowakom «rucić". A nie wyobrażał sobie,

aby mu się kto oprzeć, kto go na czele jego tysiąca wybiornych chłopów pokonać potrafił.

Że jednak chciał sobie godnie poczynać, pojadłszy baraniny w mleku uwarzonej i tokajem z piwnicy zamkowej ją popiwszy, kazał pisarza magistrackiego zawołać i taki list mu dyktował:

Mości panie cysarzu!

Pozdrawiam was piéknie i kłaniam sie, ja, Janośik Nędza Litmanowski z Nędzowego Gronika w Polanak, hetman zbójecki, i posyłam wam s człekem, co ten list odniesie, zwiestowanie, ize my haw, górale z Polski, przyśli. Niek sie o to nie gniéwajom, ani im to nie bedzie za przykro. U nas biéda, ziem twarda, zimno, wiatry wielgie, wody naremne, pola płone i urody nicpotem. My haw hłopów luptowskik sponiewiérać nie przyśli, ba bogatemu wziąść, biédnemu dać, jakie jest zbójeckie prawo, panom, Zydom, kupcom i ig duhownej osobie, biskupowi. A ze oni sytka som jest pod cysarskom władom, toz to pytam bars piéknie ig miéłość, coby my do kłopotu pomiendzy sobom nie przyhodzili i coby s tego nijakiej paśkawy niebéło, ba coby my se dwa syćko fajnie, syćko piéknie pod uramentem uonacyli. Ale jak by na to miało paść, to sie sprógujemé, wto mocniejsy? Nieg ostajom zdrowi, jako i ja hawok. Kłaniam sie.

Kazał się podpisać i nadpis położyć: do ig miéłości wielgomoznego pana cysarza we Wiédniu.

Kubździarzowej Hanki Walek ze Skrzypnego, chłop nie wielki, ale tęgi, krzesławity, podjął się list doręczyć.

Potem siadł Janosik na stolicy na środku rynku na znak władzy swej odprawować sądy. Po mieście i poza miasto wołać kazał, że kto ma jaką skargę, niech przyjdzie, a sprawiedliwość znajdzie.

Szli więc chłopi słowaccy z narzekaniem na madziarskich swych panów, a Janosik słuchał i w pamięci karbował karby, kto się zaś na nędzę żalił, sypać mu pieniądze zrabowane kazał.

Twardo i pobożnie Janosik sądził. Zakazał on pienędzy ze skarbon kościelnych rabować, a gdy niejaki Pieńko z Bustryku, który skarbonę taką odbił i z niej jeden pieniądz wyciągnąć nożem zdołał, na tej kradzieży przez surowego Gadeję przydybany i przed Janosika przywiedziony został, rozkazał mu Janosik pięćdziesiąt bukowych kijów dać mówiąc:

— Aś ty moze biédnej gdowy, lebo siéroty ostatni gros wyjon!

A gdy potem Pieńko jęcząc i narzekając obity w rogu rynku leżał, potrząsali chłopi skarboną, w której było pełno, a wiedząc, że tylko jeden pieniądz wyciągnął, mówili:

— Aniś matki tym piéniondzem nie wzion, a wypłacili cie... Z Janosike niema spasów...

Ale już po południu tego dnia na wozach na gwałt z Mikułasza wiezieni przyjechali żołnierze,

pandury i hajducy węgierscy. Wypadł na nich Janosik, jak sokół łowny na jastrzębie. Jego ciupaga ze zberczącemi kółkami zdawała się być piorunem w jego dłoni. Tam starł się z nim wielki i sławny rycerz, postrach Turków, Koloman Szentivany, który jednym zamachem miecza wołom łby obcinał, ale Janosikowi wytrzymać nie zdołała. Ręka z mieczam odcięta w przegubie Janosikową ciupagą, upadła. Tam wysoki, jak sosna i piękny jak kwiat, wzór młodzieży węgierskiej i umiłowanie węgierskich kobiet, hrabia Juliusz Zichy, młodzioniec, który podkowy fryzyjskich ogierów łamał, nim Janosika szpicem krzywej szabli pchnąć zdążył, cięty przez twarz z konia gniadego się zwalił. Tam najstraszniejszy ze wszystkich, Cygan Franek Bela, oficer gwardyi księcia Esterhazy'ego, dyrektor dóbra Orawskich Zamków, olbrzym o twarzy szatańskiej pieszo walczący, z Janosikiem się zetknął. Walczyli obaj toporem, bo i Cygan innej broni nie używał w boju.

— Chamie!—krzyknął waląc się na Janpsika, jak buk ścięty na uboczu góry na poniżej rosnące smreki się wali.

— Psie!—odpowiedział mu Janosik.

Przystanęli.

— Do gnoju chłopie!—krzyknął Cygan, który po polsku umiał.

A Janosik odparł mu z dumą:

— Lepsy hłop, jako sługa!

Przestrzeń ich dzieliła, gdy się łajali. Wtem

Cygan topór z ręki wyrzucił, w głowę nim Janosika mierząc; młyńcem śmignął on przez powietrze, a górale za Janosikiem idący zadrżeli. Ale ostrzem w ostrze topór Beli spadł, stal w stal aż dźwiękły i ogniem rzęsnym prysły obie siekiery, Janosik zaś w lewą rękę topór Cygana pochwycił, zaśmiał się i zawołał:

— No, teraześ mój! — Cygan zbielał na twarzy.

Ale Janosik z pogardą mu siekierę odrzucił, wołając:

— Naści!

Schylił się Bela, podjął ją z ziemi i krzyknął:

— Nie umiesz ciskać, chamskie ścierwo?!

Naówczas rozjuszył się Janosik i runął na Cygana.

Poczęli się rąbać toporami, lecz zawsze ostrze, ostrze podchwytywało. W dwie ręce każdy topór wziął i tak się rąbali. Biała piana Cyganowi na wargi wyszła, a Janosikowi niebieskie oczy jasno błyszczały. Jak na boisku w czas młócby cepy twardo o ziemię ubitą uderzają i odskakują od niej, tak topór odskakiwał od topora. Ani piędzi nie cofnął się żaden, tylko na nogach tęgo się opierając nacierali na siebie. Podobnie podczas wiatru halnego, gdy buki blizko rosną, konar we wściekłym pędzie o konar uderza, nakształt dwóch fal na wzburzonem jeziorze, co się zewrą ze sobą.

Orel to z orłem walczył. Wtem Cygan długi jatagan turecki z za pasa wyrwał i pchnął. Ale nim ostrze pod ramię Janosika ugodziło, podbił ten piętą kolano Beli i Cygan runął wznak.

Roześmiał się Janosik i rzekł:

— Jakoz bedzie? Hę?

Cygan leżał sekundę, równie przerażony, jak zdumiony. Czekał na cios, ale gdy go nie otrzymał, zerwał się na klęczki i pod nogi Janosika jatagan rzucając, a topór mu oddając w ręce, powiedział z orawska:

— Veru, pri sam Panu Bohu, vystie chlap, aj chlap!

Gdy to nieopodal konno pędzący sędziwy, ozdobiony orderami pięciu królów świata, dostojny pan i wielki rycerz, hrabia Draskovics z Poturni, który Belę w Zamkach Orawskich na igrzyskach pokonywującego ludzi i niedzwiedzie widywał, ujrzał: zawołał Janosikowi: Eljen!

Pierzchać przed nimi poczęli Węgrzy, jak dzikie gęsi przed sokołem. Gdzie się pokazał, powstawał krzyk przestrachu: Janosz! Janosz! — i gromady walczących się cofały. On zaś rzucał się bez myśli o liczbie, jak niedźwiedź, co wołów nie rachuje na polanie, gdy na nie wpada. Szybkość jego i chybkość, siła i chytrość w walce obezwładniały. Walczył jak tygrys, w którym wespół mieszka lew i wąż. Odwaga, podstęp i niezrównana przytomność umysłu wiodły go. A gó-

rale patrząc nań widzieli, iż jest najlepszy między nimi, kwiat rasy.

Het pod Smerekowicę w góry liptowskie Węgrów gnano, a gdy ostatnich rozproszono i docięto, zapadła noc.

Wówczas Janosik na rogach, które towarzysze jego mieli, rozkazał trąbić na lasy na zbór.

A gdy się chłopi zgromadzili, zwycięztwem upojeni i od walki gorący, rozkazał Janosik jodłę ściąć i ogromne ognisko na małej polance leśnej zapalić. Buchnął ogień i wzniósł się dym ze smolnych gałęzi.

— Zbójeckiego! — zawołał Janosik wesoło.

Stanął Sablik przy ognisku z dźwigniętą nad głowę krwawą ciupagą, włosy długie, siwe odgarnąwszy z czoła, po boku zaś przy nim stanęli muzycy, dwaj Łusckowie z Kotelnicy, bracia, co piszczałki przy sobie mieli i Józek Hawrań z Jurgowa, co na Sablikowych gęślach umiał grać, któremu je Sablik z rękawa czuchy swojej wydobył, a Janosik na czoło wystąpił. Pośród chrapania konających zabrzmiał las muzyką.

Już Janosik z Gadeją, Mateją i Mocarnego Wojtkiem przed muzykantami stanął i dziką zbójeckiego nutę ochrypłemi od znoju walki głosami zawiedli:

Hej Janicku serdecko
kaześ podział piórecko,
cok ci dała?

A ja jehał do wojny,
upadło mi do wody
duso moja!

I w tan się puścił naprzód Janosik, a za nim towarzysze i chłopów Podhalanów kilkudziesięciu koło watry, od krwi na blachach, klamrach i stroju czerwonych, ciupagą o ciupagę w powietrzu bijąc, aż iskry pryskały i las dźwięczał.

Zrywały się ptaki spłoszone i zwierz leśny umykał daleko. Stary Sablik był hersztem, charnasiem, za charnasia tańcowi. Dokoła niego tańczono, dokoła jego trwającej starodawnej chwały. Chłopi czcili swą własną i siłę dawnych pokoleń. Wiedział to Sablik i godnie się wyprostował, a głowę wzniósł. Czuł się jako pomnik na cmentarzu bohaterów, którym ich synowie, wnuki i prawnuki w męztwie i dzielności dorównać pragną. I wspominał w myśli owe tańce, kiedy on sam młodzieńcem będąc, koło koło innych starców zataczał. I wspominał owe tańce, które tańczył w turniach, lub puszczach leśnych sam, siłą, krwią własną unoszony i wyrzucany w powietrze, gdy skakał w górę i na nogach potężnych się kołysał z nadmiaru porywczej krzepkości.

Siwe, długie włosy z pod wązkoskrzelego kłabuka mu się rozwiały, raz po razu przez zęby wązkiemi wargami gwizdał i w takt dzikiej muzyki w miejscu nogi podźwigiwał, lekkie jeszcze i mocne, a na zmarszczoną jego, chudą, sę-

pią, pełną bruzd głębokich twarz blask bił i cień upadał.

Tak wyglądał, jak leśny bóg mordu i pogromu. Zapach krwi dochodził mu do nozdrzy.

On lubił walczyć, mordować, zabijać. On całe życie na walce i krwi przelewaniu spędził.

I może to był ostatni wielki jego taniec, taniec, jakiego w życiu nie widział i nigdy nie zobaczy. Potok jego życia jakoby w jezioro się rozlał, w staw szeroki, płomień jego życia łuną wybuchł olbrzymiego pożaru...

Prowadził Janosik koło, a dzikie świsty, hukania i wykrzyki zdawały się drzew wierzchołki, na które ogień jaskrawy buchał ku ciemności, uginać.

Prowadził Janosik koło, odmieniając nuty, aż na wesołą orawską nutę przyszedł:

Budzie jarmark w Roziemberku, w Roziemberku
kup mi miéła na kośulku
kup,
jak mas ku mnie chuć!
Jak ty nimas ku mnie chuci,
niepytam cie kupowaci,
ja se kupie sam!
Mas piniązki?
Mam!

Dzikie, szalone skoki wykonywali tancerze, ciupagi krwią ociekłe wyrzucali w powietrze z furkotem i chwytali je spadłe w dłonie, jak w żelaz-

ne kleszcze, gdy Janosik przed muzykantami się zatrzymał i zaśpiewał:

Niebéło nas jyno dwa,
fcieli wozić po nas drwa,
a my hłopcy niemali,
przecie my sie nie dali!

Poczem ciupagę na ziem koło ognia Sablikowi pod nogi prasnąwszy, w górę na chłopa zwyżć wyskoczył i w pięty się od kierpców dłońmi plasnąwszy, na skrzyżowane nogi spadł i hajdukować ponad ziem począł, a za nim chłopi tańczący poczęli ciupagi na kupę pod Sablika nogami rzucać z brzękiem i dźwiękiem od stali ostrz i obuchów i kółek mosiężnych u toporzysk zberczących i szli za Janosikiem przysiadami ponad ziem, podbijając się w powietrze, jak capy skalne w urwiskach. Sablik zaś nad nimi dreptał w miejscu i ciupagą, w górę podniesioną, w ogniu migotał, a włosy się mu srebrzyły.

Długo ich Janosik tak wiódł, wytrzymałości ud próbując, aż się zatrzymał, kołpak na głowie poprawił, ciupagę swoją z ziemi podniósł i znowu nutę odmienił, by wreszcie wściekłą drobną nutę zakrzyknąć:

Powiadali, powiadali,
ze zbójnika porubali,
porubali bucka w lesie,
a zbójnika wiater niesie!

Naówczas wszyscy tancerze, podjąwszy ciupagi z brzękiem z ziemi, wyprostowali się i poczęli

drobnego krzesać, gwiżdżąc, krzycząc, przez zęby słowa piosnek rzucając i w unlesieniu, jeden drugiego się uchwyciwszy, parami w zawrotny poszli pęd, a ciupagi zawadzane od jednej pary u drugiej, grzmiały jak kuźnia.

Hodziłak se koło rzécki,
straciłak se koralicki,
kiebyś mi je hłopce nalaz,
dałabyk ci gęby zaraz!

— śpiewał Janosik, przystanąwszy wraz z towarzyszami.

A gdy jeszcze warciejszą, wścieklejszą nutę Janosik zawiódł, gdy chórem wszyscy huknęli:

Rada, rada, rada dam,
rada, rada, pozycam...

— wówczas opętanie ogarnęło tancerzy, puścili się z par i w szalonych susach przez ogień wskroś płomienia, skier i dymu skakać jęli, podobni do dyabłów na czarciem weselu. Jakieś nieartykułowane, najdziksze, zwierzęce namiętnością rozhukaną i rozpasaną krzyki z ust i zębów białych i ostrych dobywać się im jęły, ciupagami rąbali pomiędzy sobą ostrze w ostrze, zderzali obuch w obuch, i już nie taniec, ale wir ludzki gnał koło ognia, zaś stary Sablik, stojąc w miejscu, dreptał z ciupagą w górę wzniesioną, a włosy się mu srebrzyły.

I znowu spokojniejsze zbójeckiego nuty szły,

aż się taniec skończył, a na wszystkich wyszła rosa, jak groch.

Wystąpił Sablik z pośród koła, gdy się przerwało, jak w zapamiętaniu. Długą jeszcze chwilę przemówić niemógł, tylko oczy miał wlepione w przestrzeń i snadź w oczach i w uszach skręt, brzęk, taniec zbójecki.

— E, hłopcy, warce zginonć! — rzekł wreszcie i odebrawszy z rąk Hawrania gęśliki, spróbował strun palcem, popluł kołki, przykręcił je zębami, smyczkiem struny zestroił i wsparłszy je o bok, ulubioną nutę zaśpiewał:

Jus to dziéwce zemryło,
co nam dobrze cyniło...

Poczem rzekł:

— E, hłopcy, ja jus niejeden taniec zbójecki bacem. Kie jesce s was zadnego na świecie niebéło. Béły hłopy. Dyaska uźrało dziś! Ja wam tak powiem, co nie zal zyć na świecie. Świat straśnie dobry, jyno cobyś na nowyśniejsy scebel stanon, ka wiatry duwajom i słońce z miesiącem świci. Sytko drobna rzec. Ale co sie uciesys, kieś na Krzywaniu, nad światem, to twoje. Siéłom sie swojom cłowiek ciesy i niémas nad to radości. Niek ta wto fce ma kohanke, abo gazdowstwo, abo piniondze, ka jakie dobro, cy zone mądrom, cy dzieci usłuhliwe, nie telo je wesoły, jako ten, co sie cuje przy siéle. Ja wam tak powiem, na mój dusiu, jaby wte fciał zginonć, kiek

zdrowy i mocny, nie, kie bedem umiérał z choróści. Ja sie nigda tak nieciesył, kiejek ku dziéwce seł, jako kiejek z Hrubego Wiérhu dolinami w Carne Ściany leciał, tak, jak kieby mie oreł niós. I to ci powiem, Janosik, niek ta bedzie, co bedzie, niek bedzie krew, ale kie sie cujes hań, w scycie, niek cie Bóg oświeńci, to twoja godzina! Nie co ine. To twoje zycie, hłopskie, strzeleckie, abo zbójeckie. A co ine to dyabła warce. Hłopu nie honornie w pościeli umiérać. Wte warta zginonć, kieś w scycie.

Potem się uśmiechnął wdzięcznie, aby przepytać *, jeśli długiem mówieniem znużył, a słuchacz może właśnie do słuchania usposobiony nie był, i z humorem wytwornym zaśpiewał przy gęślach:

Ej, kieby ja se wiedział ej luptowskie przechody,
ej sełbyk po za bucki, dydźek jesce młody!...

---

*) przeprosić.

W chałupie starego Nędzy Litmanowskiego na Nędzowym Groniku siedzieli po wieczerzy w białej izbie oboje Nędzowie i przybyłe w odwiedziny na posiady Zubkosowe dziewki wraz z bratem Wojtusiem. Maciek w kącie izby po strunach na skrzypcach palcem brząkał.

Mrok panował w izbie, którą tylko kaganiec na łańcuchu zawisły pięknie zdobny, olejem ze lnu napełniony, blado rozświetlał. Wtem w cieniu na ławie ujrzał stary Nędza Litmanowski postać męzką siedzącą.

Zdziwił się, ale nie rzekł słowa, tylko się wpatrzył dobrze.

Nie wszedł tu nikt. To był duch.

Zedrżał nieco stary Nędza i oczy wytężył. Poznał. Był to pradziad jego, Juro Nędza Siumny, którego małym chłopcem widział.

Siedział na ławie i patrzał nań, siwy, ogromny, nad miarę potężny; na piersiach miał spinkę wielką, ozdobną, mosiężną, z krzyżem u wierchu

i piętnastu długiemi łańcuszkami, którą się zawsze zdobił, bo był Siumny, i z którą go pochowano, bo mu była miłą za życia.

W mroku skinął trzykrotnie głową ku staremu Nędzy.

Nędza nań patrzał milcząc.

Potem powoli, poważnie, wyciągnął ku niemu rękę.

Nikomu więcej nie dało się widzieć.

I znikł.

Zasępił się stary Nędza, ale poznał, że to nie był zły duch, bo strachu na niego nie puścił, gdy odszedł — był to pradziad jego, Juro. Pomilczał chwilę, poczem się ozwał:

— Stara!

— Zje co? — zapytała Nędzowa.

— Pokazał sie mi haw pradziadek, cok go jesce małym hłopce widował — Juro Siumny.

— Iście? — zapytała Nędzowa z niepokojem.

— Na ozaist. Tagek go widział, jak haw tobie. Ręke ku mnie wyciągnon.

— Nie pedział ci nic? — rzekła stara Nędzowa.

— Nie.

Stara Nędzowa zwiesiła na pierś głowę, stary Nędza zaś westchnął ciężko.

Milczeli.

Mróz przeszedł po obu dziewczynach, Wojtusiu i Maćku.

— Stryno — ozwał się Wojtuś — stryk Siumnego uźreli?

— No.

— Moze sie trza ognia warować, abo złodzieja?

— Pedziałby wyraźnie — rzekł stary Nędza. — Jako u Bukowskiego przed chorościom pedziała mu matka niebozycka.

— On zwiestował niesceńście — ozwała się stara Nędzowa.

Stało się głucho w czarnej izbie, aż Maciek się odezwał cicho z kąta:

— Ja to słysał z ojca, w Dzianisie, ize dziadkowie i pradziadkowie zyjom s nami w domak nasyk; oni nas radzi widzom, bo my ik krew i nasienie, przepowiadajom...

— Siumny by ta béł z bodejscym nie prziseł, bo to béł hłop! — rzekł stary Nędza. — Z figlami by on béł haw na ławe nie siad.

— Niescéńście zwiestować przyséł — szepnęła półgłosem stara Nędzowa. — Ale trza běło, coby sie Janosik ruséł...

Cisza zapanowała w izbie. Dziewczyny Zubkosowe poschylały głowy. Wojtuś i Maciek siedzieli nieruchomo. Szła noc.

Przytuliły się dziewczęta Zubkosowe do siebie i Jadwiga szepnęła do Krystki:

— Moze Janosika męcom...

— Moze...

Wtem dreszcz przeszedł wszystkich.

Stary, odwieczny, rodowy z jaworu ciosany, cisem wykładany stół, z jednej płyty jaworu siekierą wykrzesana i ostrzem jej gładzona a rękawami pokoleń wypolifurowana stolnica, na potężnych szerokich nogach stojąca, z wyobrażeniem Męki Pańskiej, słońcem, miesiącem i gwiazdami w otoku, z wyobrażeniem sprzętów jadalnych dokoła otoku i drzew szumiących po rogach, stół, który pokolenia wykarmił i który wszyscy Nędzowie Litmanowscy w pamięci wyrzeźbiony nosili, ozwał się. Trzy razy w nim łupło.

Ścierpły dziewczęta Zubkosowe i Krystka szepnęła do Jadwigi:

— Moze Janosika zabili...

— Moze...

Powoli podniósł stary Nędza oczy na powałę, na sosrąb ryzowany, który ją podtrzymywał, a na którym wyrzeźbione było imię fundatora i gwiazda w otoku na środku, gwiazda rodziny, gwiazda nad domem, gwiazda rodu, a potem ku drzwiom, na których deszczułki ryzowane rozchodne wyobrażały wschodzące słońce, radość życia, błogosławieństwo bytu, trwałość istnienia. Ztamtąd, z powały fazowanej z pod sosrębu, od drzwi ryzowanych w jasny dzień światło na lśniące, gładkie, pięknie wyheblowane żółtozłociste ściany pa-

dało, napełniając dusze weselem, na mieszkanie pokoleń i świadectwo dostatku. Dziś duchy w niem w mroku nieszczęście wieszczą, duchy przodków, czujne, wierne, niemylne i nieodstępne. Martwy wydał się staremu Nędzy sosrąb nad głową, z gwiazdą w otoku w cudne kwiaty i rośliny rzeźbiony, belka mocy, siły i chwały domowej.

A zaś Janosika ciągnęła myśl gdzie niegdyś przed laty, młodym chłopcem będąc, ze strykiem Wawrzkiem Nędzą, (któremu nos złamał niedźwiedź) i z Jaśkiem Jarząbkiem, jego przyjacielem, (któremu nos złamała Kunda Harendzka trąciwszy go weń ramieniem przy zwyrcie w tańcu, iż tak mówili obaj, że nikt ich nie rozumiał, a oni się wzajem rozumieli), wielkimi myśliwymi, chodził. Żyje li leśniczanka Weronka, po której mu tylko pozostała pieśń marzeń i natchnień wojennych:

Pod jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym,
jesce skiby niezorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu, pójdź sem dómu,
wydajem cie, nieznam komù,
wydajem cie Janickowi
ej hroznemu zbójnickowi...

Żyje li jeszcze w leśniczówce pod Batyżowiecką Doliną, ona i jej siostry Irma i Juczi, i jej brat Andrysz kulawy, co na harmonii grał?

Żyje li jeszcze?

Nic o niej nie wiedział. Trudno było w odwiedziny po Spiżu i Liptowie chodzić, gdy na głowę cenę wywołano.

A z nieprzepartą mocą poczęła Janosika ciągnąć myśl.

Coś go rwało, jak strumień gałęź rwie, co na głąb w kotlinie upadłszy, krąży po niej, a prąd ją porywa, coraz bliżej, coraz bliżej koryta i spadu.

— Co mie to kusi? — myślał. — Co mie hań pozywa? Ono mie cosi woła...

A że popłoch paść musiał szeroko dookoła i chłopi byli zmęczeni, dał im Janosik w Hradku spoczynek, zdając dowództwo Sablikowi, sam zaś z towarzyszami Gadeją, Mateją i Mocarnego Wojtkiem lasami po pod Tatry, do leśniczówki pod Batyżowiecką Doliną ruszył.

Nad wieczorem było i już gwiazdy pierwsze wschodziły, gdy pod polanką w lesie, na której pobudowaną była leśniczówka, stanął. Potok szumiał, a ten szum poznał Janosik — wstrzymał krok, przymknął oczy i posłuchał chwilę. Tak jakby od tego szumu do szumu całe długie, wielkie, pełne wrzawy lata nie ubiegły...

— Ostańcie haw — rzekł do towarzyszy — bo by myśleli, ze ik zazbójować idziemé i przelękli by sie. I zbroje wam oddam, jyno ciupage od psów weznem.

Więc legli trzej towarzyszowie w gęstwinie, a Janosik szedł ku leśniczówce, Stanął u płotu

przy furcie, gdy wysoka smukła kobieta właśnie psy podwórzowe z łańcucha spuszczać miała.

— Hej! — zawołał Janosik od furty.

— Kto? — zapytała.

— Swój! Cy mie nie poznajecie?

— Kto?

— Ja haw na polowaniu béł, bedzle dzisienć roków temu. Dawno. Wyście to, Weronka?

— Janosik?!

— No!

Kobieta pozostawiła psy na łańcuchach i szybko ku furcie przyszła.

— Wyście to, Janosik? Z Polski?

— Ja!

— Janosik — rzekła kobieta, jakby z myśli długiej imię to wołała.

— Tata zyjom?

— Umarli.

— Mama?

— Umarli.

— Siostry?

— Pozwydawały sie. Niema ich tu.

— Andryś? Brat.

— On tu ze mną. Samiśmy.

— Wyście wydana?

— Nie,

— Wtoz za leśnickiego?

— Inny, gdzie indziej. Myśmy tu tylko sami, Zkąd idziecie?

— Z Polski.

— Przenocować chcecie?

— Przenocujecie mnie?

— Wdzięcznie.

— Nie boicie sie?

— Czego?

— Ze ja zbójnik?

— Wyście wszyscy zbójnicy, z Polski — uśmiechnęła się Weronka.

Poznał zaraz Janosik, że jeszcze przez lasy wieść o napadzie na Hradek nie doszła, ni też że Weronka niewie, iż ów straszny Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, to on.

— Gdzie idziecie?

— Na robotę. Do Peśtu. Do hut zelaznyk.

Otwarła Weronka furtę.

— Wejdźcie — rzekła. — Głodniście?

— Nie. Jyno byk rad ugwarzéł s wami.

— Po toście przyszli?

— Po to.

Weronka zatrzymała się.

— Janosik — rzekła — dziesięć lat.

— Samo tak pachnie ten las i potok sumi— rzekł Janosik. — Ja kiek nad nim stanon, to sie mi widziało, zejek go nie odhodziéł nigda.

— A nie słyszeliście go dziesięć lat.

Wezbrało Janosikowe serce.

— Weronka — rzekł — bacycie wy?

Dziewczyna odwróciła głowę.

— Bacycie wy?

Głos Janosikowi, hetmanowi zbójeckiemu, zadrżał nieco.

— Coście wy musieli przez ten czas—szepnęła półgłosem Weronka.

— Ale ja sie obiecał wrócić i hawek; wrócitek sie.

Głowa Weronki pochyliła się mimowoli ku ramieniu Janosikowemu.

— Stara jestem — rzekła.

— Niéma wam jak siedem dwaście.

— Dużo.

— Ja bacem. Hej, dziéwce — rzekł Janosik, obejmując Weronkę w pół — ja o tobie nigda niezabacył, za te casy. A tyś o mnie pamiętała?

— Pamiętałam.

Ogarnąć ją rękami, przycisnąć do siebie, ucałować po licu przyszła Janosikowi chęć, ale się lękał jej uczynić przykrość zbytnią śmiałością.

Usiedli pod izbą na ławie.

— Weronka — zaczął Janosik — ja se wasom pieśń śpiéwać kazował. Bacycie jom?

I zagwizdał zcicha nutę swych natchnień wojennych.

— Pamiętam — odpowiedziała Weronka.

— Haj, kazowałek se. Gwiazdy samo tak świéciły, jak dziś.

— Samo tak.

Wzbierało Janosikowe serce.

— Weronka — rzekł — mnie casem tak luto

béło za tobom, co cud! Jaby béł haw horami, lasami leciał...

— Czemużeś nie przyszedł?

— Cemu?

Zmilczał Janosik i zagwizdał cicho, nucąc w myślii

Cemuześ nie przyseł kie miesioncek wyseł?
Byłbyś se posiedział i du domu poseł...

— Dziesięć lat, długi czas — mówiła Weronka.

— Cyście mie cekali?

— Zrazu tak, potem już nie.

— Weronka — zaczął Janosik cicho — Weronka, bacycie wy — ten noc?...

Dziewczyna spuściła głowę ku piersiom.

— Bacycie wy?

Z piersi Weronki buchnął płacz.

— Cegoz płacecie? Ja hawl — ozwał się Janosik wzruszony.

— A moja młodość —— gdzie? — wyrzekła przez łzy Weronka.

Rozpłynęło się w piersi Janosikowe serce. Objął dziewczynę rękami, przygarnął ku sobie i po licu całować począł.

— Ja haw, Weronka, wyrtnonek sie—mówił.

Dziewczyna otarła łzy.

— Co tam mówić — rzekła — jak miało być, tak się stało. Idziecie jutro? Dalej?

— A jakobyście fcieli?

Naówczas Weronka ujęła obie Janosikowe ręce w dłonie i rzekła:

— Po cóż pytać?

I szła cicha noc, a oni siedzieli na ławie pod izbą, wysoko w lesie nad światem, dalecy życiu. Aż Weronka śpiewać półgłosem poczęła:

U zelenej rokyty
lezy Janik zabity.
Kto ho zabil? preczo zabil?
my nęzname,
ale si ho my panenky
pohowame.

Kdeże ho polozime,
kdeże ho pochowame?
Do hajika, do hajika
zeleneho,
tam mu bude slavik spieva
w hrobe jeho.

Oplakala Marika
jej wernego Janika.
Pametajte, ludia Boži,
że ja zamrem,
a od żalu welikeho
sa pominiem.

A ked priszło ku jari,
spadły ruże s jej twari.
Eszte ani na jar zitko
nezożali,
uż Mariszke, uż Mariszke
hrob kopali.

A na tie dwa hrobeczky
zasadili ruziczky.
Spajaju sa konariky
s konarami,
ako by sa mila s milym
objimali...

Słuchał Janosik cicho nuconej cudnie słodkiej, cudnie tęsknej, cudnie smutnej słowackiej nuty.

— Hej, Boze! — rzekł. — Jak to świat idzie...

A Weronka na ramię mu twarzą upadła.

— A ty chcesz iść?

— Ka?

— Na grób.

— Jaki grób?

— O Janosik! W dolinę, wysoko, w Dolinę Batyżowiecką...

— Zy wtoz hań lezy?

— Chodź!

Wyszli inną furtką, wprost w las i zaraz na leśną perć, ku Tatrom. Weronka szła naprzód.

Wolno szli strzegąc się sęków i gałęzi, a korzeni pod nogami w noc, wciąż pod górę, bystro; minęli smrekowy ślepy las, a gdy w kosodrzewiny wstąpili, gwiazdy stały nad ich głowami.

Gdzieniegdzie widać było wysoką limbę, jak cień.

Przebyli kosodrzewiny ogromne, świtać już miało, gdy w progi głazów wstąpili.

— Batyżowiecka Dolina — rzekła Weronka.

— Wiem — odpowiedział Janosik.

Z głazu na głaz, progami się posuwali w górę, a skały nad nimi stały zaćmione, ciemne, gwiazdami tu i owdzie podziergane u szczytów i grani i wiatr chłodny szumiał, poranny.

— Jam cię tu choć raz chciała przywieść— rzekła Weronka.

— W ten doline?

— Ku stawu.

Jął bieleć zwolna świat. Odmraczać się jęły góry, widnieć i błękitnieć i w kotliny mroczno, głęboko niebieskie między skały, brzask począł wpływać blady. Oczom ukazał się posępny, czarny Batyżowiecki Staw.

— Na prawo — rzekła Weronka.

Ostry, przenikliwy, długi, psykający gwizd przedarł ciszę.

— Cap! — rzekł Janosik.

Zahurkotały kamienie lecące w turniach na dół i echo poszło; snadź cap ruszył skokiem.

Po płaskich głazach koło wody przeszli.

— Tu — rzekła Weronka.

Uklękła, przeżegnała się i zaczęła się modlić.

Ujrzał Janosik kopczyk mały, z kamieni usypany.

— Cos to? — zapytał.

Weronka się modliła.

Patrzał więc stojąc nad nią na skały, jak mgliły się w mroku i brzasku, jakby ruchome, a nieruchome wieczyście.

Weronka przeżegnała się i wstała, mówiąc:

— Janosik, tu twój syn.

Janosik drgnął.

— Jam go tu pochowała. Żył tylko dzień. Nie dałam go ludziom, ani robakom ziemnym. Tu w trumience drewnianej, gdzie nic do niego nie przyjdzie, leży w głazach i pod głazami, a za matkę mu wiatr...

— Ja niewiedział — ozwał się Janosik.

— Wyniosłam go tu sama. Tu leży nasz syn... Aniś go niewidział nigdy.

— Hej, Boze! — westchnął Janosik. — Jako to idzie świat...

Weronka zaś mówiła:

— Co wiosnę jam tu szła, patrzeć... Gdy śniegi wytajały... Jeszcze na stawie był lód. Wiatr mojemu dziecku do snu śpiewa — — luli, luli, maleńki... Ściany krzesane Gierlachowskiej Wysokiej to jego dom...

— Hej — rzekł Janosik — tak se haw lezy, jako oreł młody na gnieździe. Wysoko.

— W to się obróciło, kiedyś mi ty mówił: biorę z ciebie miód, jako pszczoła z bzu —

— A tyś mi pedziała, co jek ci taki, jak las...

Weronka mu zarzuciła ramię na szyję.

— Ulżyło się sercu memu, gdym ci go pokazała. I on ojca poznał. W nocy się mi pytać chodził: jaki mój ojciec? zkąd? On z Polski — —

Janosik przystanął dumnie na głazie, wzniósł głowę i rzekł:

— Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki.

— Jezus Maryja! — krzyknęła przeraźliwie Weronka, cofając się z przestrachem.

Ale Janosik ujął ją za rękę i powiedział:

— Nie bój sie. Mojom bedzies i nad Luptowem paniom. W zamku siedzieć bedziemé, a tu stanie złoty krziz.

— Tyś po Liptowie zbójował?! Na ciebie płakano i przeklinano cię?! Na twoją głowę pieniądze naznaczono?! — wołała Weronka.

— Ale ja nigda biédnemu niewzion, ba tam, ka béła kupa. Ja świat równał. Bo mnie samemu nietrza béło. A i wesołyk béł! I śmiały! Dziad zbójnikem niebedzie, jyno hłop! Ja sie rad béł światе uciesyć i ze światе sprógować: wto lepsy? Ja sie tom ciupagom od Dónajca po Dónaj przerombał! Haj!

I wzniósł ciupagę do góry.

— Strasznyś — rzekła Weronka.

— Alek hyrny, władny i bogaty!

Przychyliła Weronka głowę.

— Jak król — rzekła z pomimowolną pokorą.

— Jako król!

Potem Janosik objął ją przez ramiona i mówił:

— Ja ci twojom młodość nadgrodzem...

We złocie i w jedbawiak hodzić bees... Wdzięcny ja ci jest i zawdy jek cie w sercu miał. Boś ty mie swojom pieśniom zacarowała, w niéj béło scéńście. Is, jaki świat!

Wybielała spizka rówień na dole, słońce strzeliło za Tatrami, a na czarne szczyty i granie Gierlachowskiej Wysokiej wybiegło różowo złociste światło i zapłonęło na nich, na zrębach i w załomach błękitnych jak wstęga kwiatów.

— Dziecko nieg śpi — rzekł Janosik, odwracając poza się głowę ku jezioru. — Jemu haw dobrze. Haw spokój. Nie przydzie ku niemu nik, nie mąci koło niego. Haw ciho. Turnie go ogrodziły, jak mury. Tak se lezy, jako na zamku kralewski syn. Bydź zdrowa, Weronka. Ja haw prosto dołu zlecem, za wolemi pérciami i bez las.

— Gdzież idziesz?

— Mnie ceka wojna.

— Z kim?!

— S panami, z biskupe, z cysarzem!

— Janosik! Zginiesz!

— Abo ja, abo oni. Wtosi zginonć musi. Jakby sie nieprzyjaciele bali, toby wojnów niebéło. Bydź zdrowa!

Objął Weronkę w szerokie ramiona, przygarnął ku sobie, ucałował w lico i oddalać sie począł. Gdy znikł wśród złomów zbercząc ciupagą, rozpaczliwie krzyknęła Weronka:

— Janosik!

Ale z gęstwiny dobiegł jej już tylko śpiew:

Nie smuć ze sie dziéwce, kie ja sie nie smuce,
cały świat obejńde, ku tobie sie wróce!
Janicku, zbójnicku, sto hromów do tobie!
Po całéj dziedzinie idzie hyr o tobie!...

Stała Weronka w pustce. Tak się jej zdawało, że jej się śniło. Po kosodrzewinie pniżej falami gnąc ją złociście we wschodzącem słońcu spływał wiatr. Weronka odgarnęła włosy opadłe z czoła i uczyniła za Janosikiem w powietrzu ręką krzyż.

— Zginiesz — szepnęła.

Biegł Janosik w dół samotny w pustce myśląc:

— No to wej wiem, po co mie wołało? Fciało mi wej grób syna pokazać. Ludzie na świecie! Cyby ja sie béł kie nazdał, aj nazdał, ka mój syn? Abo ze béł? Ono se wej o cłeku myśli. Nie bój sie! Zawiedzie cie ka fce. Niewiés, bez co usłuhnies. Ani co za głos taki? W sumieniu sie obzywa. Jako siwarnik w kosodrzewinie. Włade ma nad światem. Nie stois za nic. Raz cie grzmiotami popądzi, raz sie zaś znowa bedzie w tobie obzywać, jak ptasek...

Zbiégł Janosik jak strumień wezbrany do swych towarzyszy i zdziwił się, albowiem zdala ujrzał nie trzech chłopów, ale czterech, pod drzewami leżących przy obozowisku.

— Wtoz hań? — zawołał zdaleka.

— Bafija! — odpowiedzieli.

Głos ich tak brzmiał, że Janosika niepokój

przeniknął; w kilku susach ogromnych z góry na dół był przy nich.

— Co fce?

— Juz sytkiemu koniec — rzekł Bafija.

— Jako?! — krzyknął Janosik.

— Sytkiemu koniec. W nocy wojacy cysarscy skądsi przyśli, Hradek zajeni.

— A hłopi?

— Wto nie zginon, to uciók.

Janosik zatoczył się i oparł o drzewo.

— Syćka uciekli?!

— Syćka; jyno ci nie, co ig zabili, lebo pohytali w niewolom. Za pośrednie ziobro wisieć bedom. A wyście ka béli, hetmanie zbójecki?!

Ledwie dowarł usta Bafija, jęknął i runął w znak; tak szybko śmignął Janosik obuchem, jak piorun.

— Co gadał? — zapytał.

— Je to, co i tobie — odparł Gadeja.—Przisło w nocy wojsko, obstompiło zamek, hłopi sie bronili, bo ig zniedobacka niezaśli, Sablik strzóg i warty poustawiał, ale mieli harmaty, moc ig béła, hłopi wzieni uciekać. A Bafija uciekał i tu zaleciał.

— Sablik zginon?

— Nié. Wywiód hłopów.

— Moc zgineno?

— Jy on ta tak dowutnie niewiedział. Padał, ze nie moc. Kiebyś go béł nie zamglił, toby ci béł sam opedział syćko akuratnie. Nie wy-

zabijali nasyk, jyno ik ze zamku wygnali. Ta wtorysi ostał, ale mało.

— Sablik sie osatał hnet, jakom mu piosnecke śpiéwajom — rzekł Mateja. — Uciók z hłopami, zakiela na nig wleźli.

— Kieby ja hań béł! — ozwał się Janosik.

— Kwała Bogu, co cie niebéło! — rzekł Gadeja. — Bobyś béł zginon i hłopom byś uciekać niedał.

— Niebéłbyś poradziéł nic — rzekł Mocarny. — Cysarskik béło ze dwa tysiąca i harmaty mieli.

— Tak i Bafija gadał — rzekł Mateja — fała Bogu, co Janosika niebéło! Boby béł ludzi het zahubiéł! Tam sie niebéło co bić, jyno uciekać. Jesce, padał, hłopi z piniondzami śmigli. Pojedna ta baba za hłope zajajcy, ale sie ig więcél sprości, co se do tórb nabrali, padał Bafija. Mieli cas, bo cysarscy bars śmiało nie śli. On nam tu syćko w porządku opedział zatela. Niebéło cie długo.

— Prosto pedzieć: niebedom ludzie na tobie klonć — rzekł Gadeja. — Kazdy wié, coś dobrze ludziom zrobić fciał. A nie dało sie, no tоś ty nie Pan Bóg. Kiebyś béł ludzi wytraciéł, to ina rzec. Ale sie ta moze jyno dwudziestu hłopów niewróci. No to zaraz wiedzieli, ze nie na wesele idom. Nie pytał ig ta za Tatry w Luptów nik, pod bukietami.

— Bajto! — rzekł Mocarny obojętnie.

— Bóg strzóg, coś sie hań w tej leśniarce zabawiéł — rzekł Mateja — bo sam wiés, jakiś jest. S tobom niéma aprendu, zanadtoś śmiały. I tybyś béł zginon i my trze by my béli zgineni i sytka. Niedało sie, no to coz radzić? Bedziemé se hodzić, jako my hodzowali, sami.

— Bóg strzóg! — powtórzyli Gadeja z Mocarnym.

— Tak jak kieby cie umyśnie odesłał — mówił Mateja.

— Panu Bogu bez rozum nie przejńdzies — rzekł Gadeja po chwili. — Wtoz wié, co On jesce od tobie fce? Moze cie jesce na to nawiedzie, cobyś Mu kościół ze zbójnickik piéniendzy postawił, tak, jako kiejsi w Nowym Targu zbójnicy Świentom Anne ufundowali. Wóle Boskiej nie sprzepatrzuj, bo nie sprzepatrzys, a do dzieła Boskiego sie nie dosprzycynis, ani mu nie umalis.

Janosik słuchał, w ziemię oczy utkwiwszy. A gdy chłopi skończyli, rzekł:

— Pocie, hłopy, haw stela wysy. Jest hań rówienecka miendzy kosodrzewinom, podaléj.

— Po coz hań pudziemé? Trza uciekać za Tatry. Popod Kończystom bez Zelazne Wrota — rzekł Mocarny.

Rozśmiał się Janosik.

— Bez Zelazne Wrota? Ka my sie od Zelaznej Bramy na Dónaju w Polskom ze złotem i śrybłem wracali? Hańtędyj?

— No zy hań nablizy — odpowiedział Mocarny.

— Bedzies miał cas uciekać, niebój sie.

— A ono by trza. Bo nas sukać pudom— rzekł Mateja.

— Ucieknies, ucieknies i ty! Jesce cas.

Szli w górę, którędy Janosik na dół zbiegł. Wydostali się nad las i wstąpili na rówieneczkę wśród kosodrzewiny, gęsto i zbicie otoczoną krzami.

— Hłopcy! — rzekł Janosik. — Dajcie mi zbroje mojom.

Odebrał z ich rąk rusznicę, pistolety i noże zbójeckie.

— A teraz bydźcie zdrowi, a usłuhnijcie mnie!

— Co fces robić? — zapytał Gadeja.

— Podpalcie kosodrzewine ze trzok stron.

— Na co?

— Beecie widzieć. Migem!

— Znak fces dać démem? Komu? Héba wojakom, co my haw!

— Macie cas zuciekać, kimby prziśli.

— A ty co?

— Uwidzicie. Migem podpalujcie! Do koła!

Trzej towarzysze Janosika podpalili kosodrzewinę, on zaś stał między krzakami w pośrodku.

— Uciekaj! Bo cie ogień ogarnie! — krzyknął Gadeja.

Ale Janosik rzekł:

— Jesce cas! Pocie haw! Dajcie mi rence!

I wyciągnął ku nim rękę swoją. Zdziwieni i nierozumiejący stali chłopi, aż Gadeja krzyknął:

— Jezus Maryja, Janosik! Coś ty namyślał?! Śmierzć se fces zrobić?!

— Cyś o rozum przyseł?! — krzyknął Mateja.

— My cie wywlecemy! — krzyknął za nim Mocarny.

— Wy mnie słuhać musicie do końca! — odpowiedział Janosik. — Zaprzysiengliście. Przed pistolcem z kurke odwiedzionym ku piersiom. Pokiel ja zyw, to ja charnaś, a wyście sprości towarzisia. Pocie haw!

— Janosik! — ozwał się Gadeja. — Jesceś młody!

Ale Janosik odpowiedział:

— Hłopy! Wyście myśleli, ze mnie kie pobije wto? Jedna śmierzć, haj, ale więcél na całućkim świecie nik. Ani ksiąze, ani graf, ani biskup, ani cysarz. Jaby sie miał du domu wrócić, cobyk sie pomiendzy ludzi hańbiéł iść, coby mi baby do ocy skakały ze zębami: a kiez pudziemé do Luptowa siedzieć? O mnieby sie cysarz przekwalać miał, ize ja przed nim uciók? Ja, Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, co o mnie po syćkik dziedzinak na sto mil w koło hyr seł? Jaby zyć miał, kiejek nie dokonał, na co jek sie zabrał? Kiejek nie zrobiéł, cok

namyślał i przyrzók? U mnie jedno słowo, tak, jako pierun. Kie grzmi, to grzmi! Bydźcie zdrowi! Skoda, co Sablika niéma, bo by mi zagrał. Na ostatek!

Ostatnie słowa już z dymu i żaru rzucił.

— Hej ty, Tomek! — krzyknął jeszcze do Gadei. — Pudzies tu dołu, do starej leśniarki, przy dobrém casie. Powiés hań pannie, Weronka jej, bez co ja sie nie wróciéł! I ojcom powiédz! Hej! Ręce im pobośkaj! Biédy na nik nie bedzie, majontek jest i wam ik zdajem. Bydźcie zdrowi, towarzisia moji!

W niemem osłupieniu stali opodal ognia trzej towarzysze Janosikowi; płomień piętrzył się, wzmagał się i dym bił w górę i oćmił Janosika. Widzieli go w nim, jak stał; wydało im się, że runął.

— Tak béł powinił umreć — rzekł Gadeja.— Ja to pojon.

— Tak.

— Tak.

— I my mu nie musieli przeskadzać. Ba jesce ostatniom słuzbe przy nim odrobić. Béł hłop.

— O béł!

— Béł!

— Godnom se śmierzć zrobiéł. Hetman zbójecki.

— Niebedzie drugiego.

— O nié!

— Nigda!

— Ciupaga przy nim i syciek sprzęt.
— Dobrze.
— Popiół wiater ozniesie.
— Na wiérhy.
— Na turnie.
— Podźmy, hłopcy, w Polskom. Co haw robić dłuzy? Janosik sie pominon.
— Pominon.
— Skońćéł sie.
— Amen.

Popatrzyli na płonący kosodrzew, pożegnali go krzyżem i ruszyli w bok na upłazy Kończystej nad Batyżowiecką Doliną. A gdy w górze wysoko ujrzeli na dole staw, ciemny i szklący i dym z Janosikowego grobu, wszyscy trzej jedną myślą, jednem uczuciem, jednym żalem i jednem uwielbieniem przejęci, zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje biłe ruce
budom otwiérały kupieckie truchlice,
kupieckie truchlice i kralewskie składy
budzies se otwiérał Janosicku młady!

I poszła pieśń.
I słynęła:

Janickowe imie idzie po dziedzinie,
Janosik zaginon, imie nie zaginie!

Mgły zawaliły świat. Mgły jesienne, grube, ponure, w których najbliższe drzewa, najbliższe domy nikły niewidzialne. Góry i dolina utonęły w pomroku, słońce zczezło w nim, zda się na wieczność.

Wrota od obory okolicznej skrzypnęły, psy wszczęły hałas, ale ucichły.

— Wtorysi znajomy hłop idzie — rzekł stary Nędza do żony, która koszulę męzką cieńką igłą ślicznie haftowała.

Trzej towarzysze Janosikowi, Gadeja, Mateja i Mocarny stanęli u progu sieni, u drzwi pół uchylonych, jak to u gazdy, gdzie czeladzi wiele i ten i ów ze sprawą przychodzi.

— Idź ty piérsy — rzekli Mateja i Mocarny do Gadei, którego Janosik najwięcej lubił i cenił i którego starzy Nędzowie najwięcej pośród nich radzi widzieli.

Wstąpił Gadeja pierwszy w sień, wysoki próg

przekraczając i głowę pod ocapem chyląc, otwarł drzwi od białej izby świętalnej i wchodząc rzekł:

— Nieg bedzie pofalony Jezus Krystus.

— Niegze bedzie. Witajcie! — odpowiedzieli starzy Nędzowie.

Trzej chłopi weszli i stanęli rzędem przed drzwiami za sobą zawartemi.

Popatrzyli na nich Nędzowie.

— Trzok was — rzekł stary Nędza.

— Trzok.

Grdyki towarzyszom Janosikowym zadrgały; milczenie zapadło.

Wszyscy czterej chłopi opuścili głowy, tylko stara Nędzowa nie przestawała cieńką igłą ślicznego haftu na koszuli wyszywać.

— Ka Janosik? — zapytała Gadei.

— Ostał.

— Ka?

— W Batyzowskiej Dolinie.

— Kie przydzie?

— Nieprzydzie?

Umilkła stara Nędzowa i rzekła po chwili:

— Przynieście go.

— Popiół.

Porwała się Nędzowa z ławy, rzuciła koszulę na stół i krzyknęła:

— Jako?!

A stary Nędza rzekł zduszonym głosem:

— Ja wiedział. Siumny sie mi pokazał. Gadajcie.

Ale wszyscy trzej towarzysze Janosikowi zaczęli płakać; zaszlochał z nimi i stary Nędza. Stara zaś Nędzowa stała wsparta o stół dłonią na koszuli. I rzekła jakby do siebie:

— Ja mu jom haftowała zywemu, ja mu jom haftowała umartemu — — popiół, popiół, popiół...

Cicho, ostrożnie, wsunęły się do izby Zubkosowe dziewczyny z Wojtusiem. Widziały one od siebie idących do stryka trzech towarzyszy Janosikowych. Zaraz płakać jęli wszystko troje.

Długo, długo płakali, aż stary Nędza się ozwał:

— Gadajcie! Jako béło?

Gadeja odpowiedział:

— On tak zginon, jak oreł, kie weń pierun strzeli. Wysoko w Tatrak.

— Stryłom go Pan Bóg zabiéł? — zapytał Nędza.

— Nié.

I Gadeja opowiedział śmierć Janosikową i rzecz chłopów, której świadkowie jeszcze snadź byli nie popowracali do domów.

Słuchali Nędzowie opowieści bohaterskich czynów Janosika, jak Hradek zajął, Węgrów pod Smerekowicę gnał, jak trzech najtęższych chłopów u Madziarów, rycerza Szentivany'ego, grabię Zichy'ego i Cygana olbrzyma, Franka Belę poko-

nał, a gdy stary Nędza usłyszał, jak Cyganowi kolano podbił i jak go na wznak powalił, a ten zawołał: pri sam Panu Bohu, vystie chlap aj chlap! śmiechem z łzami mieszanym wybuchnął i wybuchnęły śmiechem z rozszlochanych piersi dziewki Zubkosowe.

Stara Nędzowa, której łzy z oczu nie ciekły, rozdarła na poły koszulę haftowaną, wyszła z izby i siadła na ławie przed domem.

— Haw stela sie Janosik rusał — — haw stela się ruszył po raz ostatni.

Popiół, popiół, popiół...

Zaś stary Nędza rzekł do Janosikowych towarzyszy i do Zubkosówien:

— Kiela béło hłopów pod Halami, kiela béło i w nasém rodzie, béł Waligóra i Wyrwidąb, Pętorzek i Wódpusc, béli Łamiskała i Walilas Toporowie z Hrubego, béli i w nasém rodzie Jano z Gronia, co Miętusianom siedemsto dojek wzion i na nędze ik przywiód, i Juro Siumny, pradziadek, i ini, bo ta i dziadek i ociec i ig bratowie i zaś moji i ja béli my hłopy, jak sie patrzy, nie płone, ale takiego nie béło.

— Ani nie bedzie — rzekł Mateja.

— Nie bedzie...

Matka Janosikowa patrzała w grubą mgłę, na świerki,*) pod któremi lubił syn leżeć w ciepłe dni i ku Czerwonym Wierchom patrzeć, gdzie do

*) Świerki—po góralsku modrzewie.

ludzi mówił, za Tatry ich, w Luptów pozywając, zkąd się ruszył...

— Wieki przejńdom — rzekł Gadeja — zakiela sie taki najdzie, co on to światu opowié.

— Jaki Janosik béł — rzekł Mateja.

— I jak sie skońcéł — rzekł Mocarny.

— Hej, hej, hej — zawiódł stary Nędza — Bóg dał Bóg wzion. Co robić? Popiół ostał... W Batyzowskiej Dolinie... Daleko... Wysoko w Tatrak... Ani go wej wiater moze haw nie przyniesie bez wiérhy... Nigda... W popiół sie mi syn obyrtnon... Piéknie uhowany... Telo wej...

A gdy dziewki Zubkosowe wyszły przed izby, ku strynie, zastały ją nieruchomo siedzącą na ławie, opartą plecami i głową o ścianę, wpatrzoną zamarłemi oczyma we mgły, poza któremi stały Czerwone Wierchy, gdzie Janosik lubił w ciepłe dni poglądać, leżąc pod świerkami na trawie, lub na ławie siedząc, z palcami za przypory portek założonemi i nogami wyciągniętemi przed siebie.

Nieśmiały się ku niej zbliżyć i odeszły.

Spotkał je Maciek, który ze stajni szedł.

— Wiés, Janosik brat sie kazał spalić w Batyzowskiej Dolinie — powiedziała mu Krystka.

Maciek zbladł i stanął.

— Rany Boskie! Prawde gadas?!

— Prawde. Towarzisia w izbie.

— Cemuz ja ś nim nie béł, hoć jesce jeden raz!

— Maciek — rzekła Krystka — wejze skrzipce, zagraj Janosikowom nute, strykowi i strynie.

Więc poszedł Maciek cicho na wyzkę nad izbami, zniósł skrzypce, siadł za domem i we mgły grube grać począł Janosikową nutę, którą on lubił śpiewywać:

Niebój sie Janicku, niebój sie tego nic!
Orawskiego Zamku, luptowskik siubienic!
Niebój sie Janicku, niebój sie nie zginies!
Wyjńdzies do wirsycka, siekireckom zwinies!

Grał długo, do obiadu, na którym trzej towarzysze Janosikowi zostali. Słuchali wszyscy w milczeniu. Dusza Janosikowa głosiła się do nich.

Przyszła z za wierchów, z za Tater i słuchała swojej nuty tanecznej. A tak się zdawało, że chwila, a usłyszą wszyscy jego głos:

Nie bój sie Janicku, niebój sie, nie zginies!...

On tu jest z nami — myśleli wszyscy,—Prziseł zaźreć na dom, na gazdowstwo swoje, na ojca i matke, na siostry i brata strycnego, odpytać ik, odpytać świat...

Hej, miéłyz mocny Boze!...

A gdy poobiadowano, na wszystkich starczyło, legli starzy Nędzowie bólem, żalem i wiekiem zmożeni na pościel spać, trzej towarzysze Janosikowi do domów swoich odeszli. Wojtuś w chałupie został kozikiem strugający z brzosto-

wego drzewa, Krystka zaś i Jadwiga wyszły z Maćkiem od stryków i powracały do siebie.

Krystka szła naprzód, za nią zaś Jadwiga przytuliła śliczną młodą twarz do Maćkowego ramienia i szepnęła:

— Wiés, Maciuś, taka mie lubość, a mgłość obujena, co ani myśléć, ani iść niémogem. O mój słodki! Sama niewiem, cy mi barzyj Janosika brata luto, cyk barzyj tobie zakohała?

Przegięła mu się na ręce, którą ją objął, w tył, piersi jej bryznęły z pod gorsetu i białej koszuli ku górze, biodra zmiękły i krasne drobne usta z białemi drobnemi zębami rozchyliły się.

Poszły dziewczyny do domu swego, Jadwiga siadła za warsztatem, na którym tkała płótno piękne i cieńkie, Krystka zaś wyjęła duszę rozpaloną z pieca i jęła smaglować żelazkiem ozdobnie wytłaczaną spódnicę niedzielną, którą wprzód utacała dokładnie. Maciek siadł na nizki stołek trójnożny i brząkał palcem po strunach.

— Jus niebeemy bratowi Janosikowi śpiéwować — rzekła Krystka.

— O bo nié.

— Skońcéły sie jus jego nuty.

— Na wiecność.

— Niebedzie jus nic namyślował.

— Ani mu hań wiater nie zasumi: pod jaworkem, pod zelenym — rzekł Maciek.

Krystka i Jadwiga zaprzestały roboty, warsztat ustał warczeć, Jadwiga odłożyła żelazko, sia-

dła na ławie przy Krystce i objąwszy ją za szyję ramieniem, zaczęła, a siostra zaraz poszła za nią:

Pod jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym,
jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała — —

Janosikową ulubioną pieśń.

Trzy tygodnie minęło i już śnieg od czasu do czasu kurzył po Tatrach, gdy Marduła i Krzyś powrócili na Olczę. Zabłądzili, uciekłszy z Hradku, po lasach się błąkali, głodni i spragnieni i pod klasztor jakiś żeński zaszli. Tam ich zakonnice puściły, jeść im dały, ale wyjść za furtę nie pozwoliły.

— Nijakim świate nas puścić nie fciały—mówił Krzyś. — Zbójnicyście i zbójnicy! Wypokutować nas fciały, coby nas ozgrzesyć.

— Bajto! — mówił Marduła. — Ozgrzesyć! Was ta ozgrzesały, boście starzy. Ony ta swoje refereta prowadzom proci potrzeby. Jyno ja hań potęgnon, kiek se pojad, to...

— Nogorzy — mówił Krzyś — co nam prząść kazowały, wełne. Ja ta jesce jako ja, prządek, ale nad Mardułom sępiały cięgiem, a biśterowały nań, co nieumié.

— Obserwowały nas dobrze — mówił Marduła — jeść, pić béło godnie, jyno do tego przędzenia to ja jus nijakiego społogu niémiał. Je to

nie kosa, ani nie cepy, cobyś z małego na to społozony béł. Ja ta ś niemi dość o to w rzędy zahodziéł. Z ręcy puscas, z ręcy puscas! J.... ci dusiu dziś! Tonckały sie koło mnie, a ustygowały: je przejndze! je przejndze!

— Przełozonom se miały uziemcystom — mówił Krzyś. — Ta musiała mieć biedre, coby jom uniesła! Kupa baby béło, jak kępa!

— E to béła scéra baba! Ułozona! Nieg cie co praśnie! Kie sła, to jaze ziem dudniała pod niom. A co se koło mnie przesła, to przeseptała do mnie.

— Mnie zaś taka zalubiła, co béła za safarke — mówił Krzyś. — Telo mi dawała wina, co sie widziało, ze owilgnem od niego, jak kapusta od dysca. Mnie hań dobrze béło. Bo ja miał dobre zdanie do roboty, do tej wełny, to mie kwaliły. Na Mardułe ta mało co ta abo ta tre pyskiem, a na mnie nic.

— Edź! Dawno pedzieli, co jak wto psu ogon potrafi zawiązać, to on nie bedzie s tobom gadał, co on to potrafił! — odciął się Marduła.

— A jus straśnie zdziorbliwe sanowniki s tyk zakonic — mówił Krzyś. — Tam sie nic nika nieśmié podziać! Krusyne hleba to i to podnieś i na stół połóz. A nie, toby cie hnet kijem odziały. Na Mardule, kie nie uprząd, co trza béło, to sie straśnie wiérchowały. Nie dostał mléka, jyno takom siwice.

— Ja ta cosi jynkse dostawał — rzekł obra-

żony Marduła. — Jesce więcél, jakok miał potrzeb. A radziéły do mnie: o, na to toś ty zdany hłop, kiebyś taki do wełny béł, tobyś hnet półtory mili uprząd. Haj. Telo hań chorwatu o mnie béło, co ani ani!

— Jyno to béło złe — mówił Krzyś — coś sie hań nie wyspał. Kazdy dzień roraty odwołać trza béło. Je kizby ci sie dyasi telo Panu Bogu uprzykrzali!

Fciał nam to syćko ksiądz ozróżnić, ale my uciekli. Uździarz ze se sam to zbawienie, kie ci go tak na raty trza. Nie śpij. Lepsy wróbél w garzci, jako sikora na dahu. Ja zbawienia nie widział, a spać sie mi fciało.

Tak opowiadali.

Nad wszystkiem zagórowała Janosikowa chwała, choć Liptowa nie zdobył; wieść o jego męztwie, jak Hradek zajął, jak z kasztelanem i kanonikiem mówił, jak na rynku sądził, jak go chłopi słowaccy pod nogi podejmowali, jak dwóch grabiów uherskich i oćwiarę Cygana Franka Belę pokonał i jak zginął. Jego bohaterskie czyny od samej młodości aż do samej śmierci, zbójectwo, wojna ze szlachtą, wprowadzenie króla, jako gazdę na gazdowstwo, wyprawa na Liptów, hojność, dobroć, potęga poczęły mu budować pomnik w sercach ludzi. Kiebyś ty taki béł — mówiły matki synom, siostry braciom, żony mężom, kochanki kochankom. Kiebyś ty taki béł jako Janosik, hetman zbójecki, złotem malowany...

Już kurzył śnieg po halach i Sablik uważał, że kozice pouniżać się musiały z grani ku dolinom. Był też grudzień (listopad), kiedy capy gonią za kozami i ścigają jeden drugiego zapamiętale po turniach i upłazach, a zwabić je na strzał nawet się udaje. Pewnego dnia wsypał, jak zwykle, trochę mąki do woreczka, wsadził flaszkę gorzałki do torby strzeleckiej, łuk przewiesił przez plecy, gęśle wpuścił w rękaw od czuchy i obuwszy na nogi białe ciepłe kapce sukienne, sparty na swojej ciupażce ruszył w Tatry.

Wyszedł sam. Najlepsi towarzysze, jego bracia Jędrek i Józek, wielcy myśliwi Maciek Sieczka, Samek, Sobczak, Tatar, jedni umarli, drudzy już w domach siedzieli, starzy i osłabieni. Przykrzyło się Sablikowi. Bez Janosika Nędzy osmętniał mu świat. Tak jakby słońce ubyło na niebie; gwiazdy świecą, miesiąc świeci, coz, kie słońca niémas?

Wiedział on, że Jurgowianie, Bukowianie, Białczanie i Porońscy strzelcy polować będą po

Szerokiej Jaworzyńskiej, w Jaworowych Sadach, pod Wysoką, we Wołoszynie, po Koszystej, w Pięciu Stawach, Zakopianie w Kozim Wierchu i het po poblizkich górach, wiedział też, że choć go wszędzie za ojca polowania mają, młodszym nie wyrówna, postanowił więc przez Waksmudzką pod Wołoszyn do Roztoki przejść, ku Rybiemu i przez przełęcz Pod Hłopkiem ponad Hinczowy Staw się dostać. Nierad też Sablik polował blizko domu; tam, po drugiej stronie Tatr, wstępował w inny świat, poglądał daleko, a gdy grał, na grani stanąwszy, to mu się widziało, że go na dolinach węgierskich aż po Karpaty słyszą.

Wszedł w las, a duszę mu niosło pragnienie zawisnąć na podciętym głazie nad głęboką, ciemną przepaścią, i dać się owiać wiatrowi, który nigdy piersią ziemi nie dotyka.

Wszedł w las ogromny nad Zakopanem, które było powszechnie „udane za dzikie" z powodu swych dzikich mieszkańców, i sunął się Żelazną Drogą ponad niem, na rówień zakopiańską patrząc z pomiędzy drzew, aż w litym lesie się pogrążył i nad źródło ciepłe, gdzie jaszczury mieszkały,co w ogniu nie gorą, czarne o żółtych plamach, przybył; potem dalej w górę się wspinał, niebo tylko nad sobą widząc, którędy Waksmundzianie i chłopi z Dębna i Ostrowska bydło i owce na halę swoją pędzili na wiosnę, aż zboczami Wołoszyna w karłowate ostatki lasu pod

Opalonem wstąpił i góry koło siebie i nad sobą zobaczył.

Pytajom sie góry, pytajom sie lasy,
ka sie popodziały starodawne casy?...

Już biały śnieg okwiecał upłazy i wierchy Miedzianego, a słońce się na nim iskrzyło, jak srebro i złoto płonące.

Od orawskiej strony dujom zimne wiatry,
śniézek polatuje, osedziały Tatry!...

Zapach śniegu bił w nozdrza; wilgoć wnikała w usta i w płuca.

Stary Sablik stanął i krzyknął:

Eheheu!...

Eheheu! — rozbrzmiało po żlebach, gdzie się kosodrzewina oszreniona błyszczała.

Był sam.

Czuł królewskość tego słowa.

Sam był wpośród wierchów ogromnych, szczytów niebosiężnych, sam wśród lasów czarnych, szumiących, i wśród wód pełnych gwaru, lub cichych i głębokich jak sen duszy potężnej, męża czynu i strzelca niedźwiedzi.

Sablik stał sam w górach, wśród zimy skalnej, olbrzymi dech gór wdychał sam w płuca, niedzieląc się nim z nikim, światło słońca po śniegach na jego tylko źrenice padało. Sablik jakby wina tęgiego, węgierskiego tokaju popił— —wzniosło go...

Otupno mu samemu iść nie było. Był strzelec.

Raźno mu się szło pod zachód dnia na noc ku Rybiemu Jezioru.

Leżało ono za wałem, samotne i wielkie.

Pasterskiemi perciami pośród kosodrzewiny Sablik kroczył, na wał wstąpił i na dół pojrzał.

Tam pod ciemnemi, szeroko prostopadle rozległemi, ośnieżonemi ścianami Mięguszowskiego Hrubego Wierchu leżało w kotlinie wśród wieńca zielonej kosodrzewiny, smreków czarnych i ciemnozielonych limb, śniegiem ubielonych, przez pół od zachodzącego słońca skrawoczerwone, przez pół czarnoszafirowe, metaliczne, odbijając w sobie skały nadbrzeżne, Rybie Jezioro.

Łapali Sablika po zielonyk bukak,
ale sa wybronił, miał ciupazke w rukak!...

Patrzał Sablik, dobył gęśle z rękawa i zagrał. Nie siadł, nie jadł, tylko zagrał jezioru.

Ej! dyna dyna dyna—dyna! dyna dyna,
dyna!—dyna dyna—dy! na dyna dyna...

Poczem zeszedł ku wodzie, ku upustowi, urąbał kosodrzewiny, złożył watrę, uwarzył mąki w kotliku i legł spać.

A tak się mu śniło, że wszystko było srebrne i zielone...

Zbudził go ranny mróz, jeszcze gwiazdy skrzyły się na niebie i była ciemność. Popił gorzałki i ruszył, aby się zagrzać. Dzień zwiasto-

wał się piękny, nie kurzyło nic, tylko wiatr poranny szumiał po jeziorze i po kosodrzewinie, od Rysów zkądś, z wysoka od wschodu lecąc. Na wodzie błyszczały gwiazdy, Sablikowi pod stopami.

„On” przechodził nocą nad jeziorem; ślady olbrzymich łap z pazurami na zwilgłej ścieżce owczej odcisnął, ale zaczuł ogień i człowieka i uszedł w las pod Wysoką; godny niedźwiedź, stary i wielki. On je grzecny, bo je tchórz.

Szedł Sablik żywo po lewej stronie stawu i jął się piąć po ślizgiej trawie w ubocz Mięguszowskiego Wierchu, ku przełęczy pod chłopkiem.

A gdy stanął wysoko, z za Siedmiu Granatów strzeliły race słońca wschodzącego i zawisły blaskiem brzemienne nad głuchemi wodami dwóch jezior, które Sablik miał teraz u stóp swoich; jedno spokojne na dole, w wieńcu drzew i krzewów, drugie wśród litych, czarnych skał, w kotlinie, pod spadami Rysów, straszne i groźne.

Rozwidniał się świat i z pomroku wyłaniał. Już szczyty zakwitły światłem, promieniejącą srebrnoróżową bielą, a wnet na wody spłynął błękitny dzień w cienie, gdzie niedawno gwiazdy drżały na głębiach.

Rozświecać się jęła woda, zgarniał się z niej mrok. Świtało.

Sablik popatrzał w górę: od południowego Wschodu ukazywały się obłoki wieszczące śnieg. Wtem gwizdnął cap. W Sabliku zagrała krew. Wytężył oczy. Stał na turni, nieobdalno; tęgi cap,

czarny. Pozierał w dół, ale Sablika niewidział jeszcze.

Sablik pilno czuchę zrzucił, serdak z czarnego barana wełną do góry obrócił i na czworakach stanąwszy kozę pasącą się udawać zaczął, tu i tam się posuwając. A łuk miał w gotowości.

Wnet spostrzegł go cap i dał sus naprzód. Jeden, drugi, trzeci — zbliżał się i na upłazku ponad Sablikiem stanął.

— Dalekoś, ale ty haw przydzies — szeptał Sablik, ściskając łuk, który pod serdakiem krył i pachą.

Cap stał na wysterku turnicy i patrzał, a od czasu do czasu tupał przedniemi raciami, niecierpliwie i gwałtownie. Łbem też kiwał, zbrojnym w rogi krzywo wstecz rozsadzone. Lecz czy zaczuł człowieka, czy oczyma poznał, gwizdnął przeraźliwie i w górę skoczył, podwyższył się w olbrzymich odsadach, znów stanął za turnią do półwidny i przknął: pszsz! pszsz! pszsz! przeciągle, na Sablika patrząc.

— Poznała wereda! — szepnął Sablik. — Kieby nieboscyk brat Jędrek béł, abo Maciek Siecka, toby mi go nagnał...

Sablik wyprostował się. Wówczas cap w szalonych skokach począł się wznosić wyżej i wkrótce zaczerniał tylko na śniegu, gdzie znów stanął tyłem do Sablika, ale głowę zwrócił po za się i patrzał nań.

— Ciekawa bestyja... Casu se nie sata, bo go ma...

Patrzał długą chwilę, a potem w prostopadłą zda się ścianę nad sobą wspinać się zaczął „jak mysz"; piął się szparą w skale, zwisłym w dół żlebkiem i znikł w niewidnych zdala załomach skały.

Lecz znów od lewej ręki ujrzał Sablik kozice, wysoko w górze.

Wytężył oczy. Kierdel, siedm sztuk, w susach pędziło po półce na prawo ku szczytom.

— Darzy sie mi — szepnął, jako miał zwyczaj sam do siebie — jus tak cujem, ze mi Bóg nagodzi.

W przepaście niesposób było za niemi iść. Sablik się zejść kozice spodziewał ponad Hinczowym Stawem, w cieplejszej, bujniejszej dolinie od południa, wśród olbrzymich turni Rysów, Wysokiej, Mięguszewskiego, Szatana i Baszt.

Tymczasem spostrzegł, iż z grani i z turni jakoby białe potoki mąki się suły, lub zakwitały nad niemi jakby białe ogony pawie z pyłu świecącego na powietrzu: to śnieg się obsypywał i wzmiatał. Wiatr począł duć.

— Niegze ta! — szepnął Sablik i piął się dalej po herbikach i zachodzikach, po spasztach, żlebach, zawiesach, półkach i krzesanicach, po upłazkach i dolinkach, aż nad przepaścią koło ściany się sunąc ku przełęczy się dobił i na świat na drugą stronę Tatr spojrzał.

Aliści dolina nad Hinczowym Stawem zawalona była mgłą. Nizko, w dole leżało jakby morze mgły, grubej, gęstej, nieruchomej, siwociemnej. Dookoła ponad nią sterczały góry ponure i nieubłagane jakieś, okrutne, straszne, wysokie do zawrotu oczu, potworny kocieł pomłoką zapełniony. Cała kraina liptowska zasłana była chmurami białosinemi, nieprzejrzanemi.

Wiatr dął od południowego Wschodu.

— Be śniég — pomyślał Sablik.

I zawahał się: spuścić się w dół ku Liptowu, czy ku Polsce i przeczekać kurniawę?

Lecz kurniawa mogła trwać długo.

— Dyj ja tu bez to nie zginem — rzekł śmiało. On całe życie z górami walczył.

Wtem wicher uderzył nagle, tak silny, iż Sablik za skałę zachylić się musiał. Wiatr podbił mgłę nad doliną, wzruszył ją w nieruchomości.

Naówczas przed oczyma Sablika otwarła się pod dachem chmur czarna otchłań, wgłąb niedowysłowienia, szeroka przepaść, wśród której pod podgiętym jakoby potwornym baldachimem pojawił się Hinczowy Staw i złomy i zręby turni nad nim stojących.

Sablik patrzał i wahał się.

Moze wiater ozezenie gmy...

On zaś z szalonym pędem otwierał widok nad doliną Liptowa. Dźwigał chmury i ukazywał coraz szersze, coraz dalsze widnokręgi, miasta i wsie w bezmierzu, pod baldachimem mgławicy.

— Ozjaśni sie s kąta — myślał Sablik, obserwując.

Wtem ciemny obłok podniósł się od Wysokiej, z za turni, gdzieś z pod Gierlachu, wicher zawył i śnieg począł sypać, zaćmił się świat.

Sablik zwrócił się ku Polsce.

Tam jasno było i Rybie Jezioro błyszczało w słońcu, jakoby góry przecinały na dwie połowy świat szafirową pozłotą.

Sablik zaklął, zwrócił się w mgnieniu oka i spuszczać się począł, zkąd przyszedł.

Lecz chmura ścigała go, dopadła i ogarnęła, waląc śniegiem i słoniąc mu przestrzeń przed oczyma czarnym prawie całunem.

Gdzieś, w przestrzeni przebłyskiwało mu po za kurniawą słońce, ukazywały się plamy wielkie bladego, a rażącego światła, lecz znikły.

— Ogarneno świat...

Ale Sablik schodził śmiało. On to wszystko znał. Siompawice, lejby, naremnice, burze, fujawice, dujawy, kurniawy, pomłoki, gmy jak ciasto. On to wszystko znał, setki, może tysiące razy przetrzymywał i przebywał, on więcej niż pół wieku z Tatrami walczył.

I wydawał się sam sobie niezwyciężony.

Śnieg zaś sypał się płatami, zalepiał oczy i usta, gnany wichrem wyjącym wśród ścian nieniezmiernej samotnej wysokości skalnej. Sablik schodził w noc.

Niedowypowiedzenia groźna ciemność zamro-

czyła przestworza. Zda się jakby chmury śniegwały zatoczyły sobą ziemię aż po krańce, jakby gruby jakiś, obcy mroku żywioł zapanował nad ziemią. Wszelka nadzieja się w nim traci, wszelkie spodziewanie.

Na ramiona wali się ciężar i głowę przygniata, oczy zaś czując prawo wzroku wytężają się gniewne, strwożone i bezsilne, jak jaskółki zaskoczone burzą, gdy ciągną.

— Kieby ja oreł béł — myślał Sablik — wyniós byk sie obwysno nad śnieg...

Wtem ujrzał pod stopami skrzesaną ścianę.

— Tędéjek nie seł—pomyślał.

Zwrócił się na lewo i ujrzał przepaść; na prawo toż samo.

— Ki dyasi aj dyasi, kajek wlaz?

Cofnął się, lecz naokół były skrzesane ściany.

— Pomyliło mie plugastwo...

Stanął i probował sobie wyzbacować drogę, ale snadź już chwilę szedł błędnie.

— Powrót zły...

— Niémiałbyk matury tu ostać...

— Drzewo ścięte ka bądź žlebem wyprościs, ale cłeka nié...

— Godnie śniegem przypiérhło — — kapce kiełzajom — — coby nie zjehać...

Ujrzał wązki zachodzik—chwyciwszy się rękami granitu nad sobą i ledwo boki stóp nad urwiskiem na granicie mieszcząc, przesunął się

i dostał pod zawies skały, z pod której go wiatr chciał oderwać i strącić.

Naówczas Sablik zgrzytnął zębami, skupił się w sobie, ściągnął w siebie, napiął mięśnie, wtulił kark w ramiona, wystawił nieco czoło naprzód i oczy mimo śniegu rozwarł szeroko i rozpoczął walkę z wichrem.

— Pojdze podź! — szeptał, miażdżąc wargami mokry śnieg. — Podź! Myślis, ze ja stary? Zruciéłbyś mie?

We mgle uczyniła się niemal noc. Sablik niewiedział, jak głęboką ma otchłań pod sobą.

Wiatr odpychał go od turni, odrywał, ciągnął w dół.

Wtem Sablik zwrócił się w bok, objął wyzrąb skalny nad swoją głową rękami, dźwignął się i zawisł w powietrzu.

Wiatr kołysał nim, przegibał go na prawo i lewo. Sablik zaś z zaciśniętemi zębami dźwigał się na rękach nad przepaścią i na wyzrąb wydostał.

Postanowił się piąć ku górze, ku przełęczy pod chłopkiem, na siodło. Tam naremnicę przeczekać, lub po łagodnem zboczu od strony południowej w dolinę się spuścić.

Na brzuchu na granicie leżąc czołgał się w górę, piersiami, udami, kolanami brodą przywierając do skały. Przewijał się jak wąż popod wiszące wpół w powietrzu gzemsy skalne, zwieszony wystającą połową ciała we mgle pełzał

po zrębach turnic, po ledwo znacznych półkach; palce w szpary wbiwszy, cały na rękach, prześlizgiwał się po chyłych płytach granitowych rozpękłych, nogami w wietrze pływając nad straszną otchłanią. Walczył.

Nie walczył o życie i o istnienie z bojaźni. Wielki strzelec nieznał trwogi. Oto wicher naprzeciw niego stanął, zastąpił mu, ze śniegiem, z mgłą, ze swoją mocą piekielną. Wicher rzucił się nań, jak orzeł na skalnego capa. Ów, ufny w swoją siłę, rogi pod piersi orła nadstawia. Sablik na moc wichru odpowiedział swoją mocą, na jego zaciętość swoją odwagą. Nie uląkł się go. On z tym olbrzymem Tatr walczył często, nigdy mu nie ustąpił, nigdy się nie cofnął i zawsze go zwyciężył i patrzał za nim z wierchów, jak na tumanach chmur niósł się het na doliny, gdzie lasy łamał i domy wywracał. Sablik polować szedł i nie znał trwogi. Wicher, czy niedźwiedź jednako mu się przez więcej niż pół wieku słały pod kierpce. Sablik rzucał się na wiatr, jak łosoś, który progi skalne przesadza.

W suche, zawiędłe ciało myśliwca wicher uderzał, jakby je znicestwić pragnął, ale twarde, zakrzepłe mięśnie i kości opierały mu się z wytrwałą mocą.

Tatry całe wyły, huczały i świszczały. Huraganem napełnił się, wezbrał, przepełnił ich świat. Wicher jakoby się niemiał gdzie w nich podziać, szumiał po skałach, wypływał w górę

i w dół spływał, jak fala wody, którąby głazy z hukiem staczała. Lecz Sablik w tem piekle śnieżnem nie drżał. Walczył.

I wydobył się na przełęcz.

— Wis, beskurcyja. — rzekł do wichru. — Niedałek sie.

W drodze tej zgubił wszystko: łuk, kołczan ze strzałami, ciupagę, woreczek z mąką, torbę myśliwską — pozostały mu tylko gęśle, które wyjął z rękawa czuchy, zawdziewając ją i za kark sobie za koszulę na plecach wsunął.

Wiatr od południa był słabszy, droga łatwa: Sablik zestępował w dół w zawiei śnieżnej. Dobił się kosodrzewiny, ale dziwnie czuł się słaby.

Cysto piéknie sie zamordował, widziało sie, co sie hnet i zubami trza bedzie turnie hytać...

Legł na konarach; był bez sił, bez włady w ciele.

Snadź spał, długo spał.

Albowiem musiało to być nazajutrz gdy ujrzał nad sobą jasne, czyste, śliczne, promienne, błękitne niebo i słońce wysoko. Nieopodal poniżej błyszczał wielki Hinczowy Staw, wysoko szczyty stały pogodne i spokojne.

Dookoła był śnieg.

Śnieg miękki, puszysty, ogromny, tak wielki, iż turnie, kosodrzewina, drzewa w nim ginęły, który byłby zasypał Sablika, gdyby krzak koso-

drzewiny, gdzie legł, nie rósł na wyniosłym złomie skały.

Dookoła stały góry spokojne, milczące, wyraźne, świecące się jak srebrne.

Tatry...

Sablik leżał na wznak i patrzał na nie.

Sąż to one, te same?

Sąż to te góry, które przebiegał wzdłuż i wszerz, które niemiały dla niego tajemnic, ani granic dla jego siły?

Którym dumną stopą przystępował grzbiety, ramiona i głowy wyniosłe?

Sąż to te góry, w których miał izby swoje olbrzymie po dolinach, ściany z krzesanic, które mu były jako dom jego życia?

Sąż to te góry, które żywiły go, poddawały się jego woli, zdawały się go rozumieć i myśl jego zgadywać, które służyły mu?

Sąż to trwałe świadki jego tryumfów, jego zysku, jego radości i sławy?

Które napełniał swojem imieniem od pół wieku, w których zdawały się na wieczność zakute echa jego strzałów, świsty strzał i uderzenia strasznego topora?

Które widziały jego czyny, znały jego sprawy, jakich nie znał nikt?

Z któremi jakoby zaprzysiężenie było, jakoby przymierze zawarte, których on się czuł jakoby duchem, władcą i dzieckiem?

Sąż to te góry, te Tatry jego rodne, które

on miłował więcej niż dobytek swój, rodzinę, ojcowiznę i ludzi dookoła siebie?

Które były jego myślą i jego duszą?

W których on żył, jak nigdy nikt, jak nigdy nieżył nikt i nikt niebędzie, choć wieki przeminą?

W które się czuł zaklęty?

Jestże to ten dom jego potężny, ten gród jego wolności i chwały gród i dom, w którym przemieszkał lata całe, długie i światła pełne?

Albowiem Sablik wiedział, że dlań niema ratunku, że więcej z Tatr nie wyjdzie...

Pierwszy raz nic mu nie dawały: ani wesela, ani zysku, ani upojenia, ani sławy — — nic...

Pierwszy raz obaczył ich grozę i martwotę.

Pierwszy raz patrzyły one nań zupełnie milcząc i zupełnie kamienne.

Pierwszy raz zdały mu się czemś obcem, niezżytem...

Groza — głusza — milczenie — i światło olśniewające..

Sablik wiedział, że gdy wstanie z kosodrzewiny, z głową w śnieg zapadnie, w śnieg miękki, głęboki i przepastny, którego nikt nie przejdzie.

Góry grzebały go w sobie.

Skrzesane, lite, niezmiernej wysokości błyszczące skały otaczały go jak sępy spokojne postrzelonego jelenia, czekając, aż dokończy życia.

Z kątów doliny wyzierały ze srebrnego skrzą-

cego się śniegu dusze pobitych strzelców liptowskich i pobitych niedźwiedzi...

Dusze strzelców zasypanych lawinami, odpadłych z turni, zabitych kulą liptowską...

Wesela pełne polany, kędy grał...

Kwietne łączki nad potokami wiosennemi, gdzie wodę pił wśród leluji żółtych i rdzawego szczawiu...

Ciche, ustronne miejsca spoczynku na upłazkach, gdzie pod nogami przepaść była, nad głową, nad miękką trawą skały cień dające...

Koléby myśliwskie kamienne, gdzie w mroku przędły się jego złocone powieści...

Gęśl gra...

Gra to jego gęśl własna. Wyczarowały się ze skał wszystkie dźwięki, jakie przez pół wieku w nie webrzmiały...

Gęśl gra.

Ej dyna! — dyna dyna — dyna! dyna dyna —
dyna! — dyna dyna — dy! na — dyna — dyna...

Sablik słucha.

Ej Sablik se zaśpiéwał — ej Krzywań mu odpe-
[dział,
bo o jego sprawie nik iny nie wiedział...

Góry zwracają mu śpiew.

Co wegrał w nie, dzwoni koło niego.

Jakoby wszystko światło na śniegu rozdzwoniło się w okrąg, po krzesanicach...

Sablik słucha.

Leży na łożu śmierci, na kosodrzewinowym krzaku.

Hłopu nie honornie w pościeli umierać...

Bez sił, zmożony walką z wichrem, osuty śniegiem nie do przebycia, zabójczym, leży na łożu śmierci.

Nie trwoży go nic, nie przeraża.

Od początku swego życia wiedział, że musi umrzeć, że musi przyjść taki dzień, kiedy umrze.

Umiera honorną śmiercią, godną życia.

Nie będzie próbował się ratować — wie, że to próżne.

Zna góry, zna ik dowody i końce.

Zasuło go. Bywa. Bywało...

Miło mu, że gęśl gra — — het, dookoła, w powietrzu...

Zna tę nutę, Sablikową nutę, która z wieków poszła i przetrwa wieki.

Ej dyna! dyna dyna...

Przez dolinę śniegiem i słońcem zalaną, przez Dolinę Mięguszowiecką, rozległą nad Hinczowym Stawem, pełnym niewypowiedzianej piękności, idzie Śmierzć.

Biała... Wysoka...

Przez śniegi białe, pomiędzy krzewy kosodrzewu, między głazy...

Idzie wolno i słucha Sablikowej nuty —

ej dyna! dyna, dyna...

Sablik widzi ją, patrzy na nią bez mrugnięcia powieki.

— Tak musi być. S Pane Jezuse niebees w karty grał.

— Świat je jest taki, tak ułozony.

— Nad kazdem trza poméśléć.

— Wiérhowiec zycia krufki.

— Ze dy kie umreć, to umreć.

KONIEC.

ADNOTACYA.

„Janosik Nędza Litmanowski" stanowi ścisłą całość z „Maryną z Hrubego" i o ile poszczególne wydania tych książek kiedyś się wyczerpią, dzieło wyjdzie pod wspólnym tytułem „Legenda Tatr".

Janosika Nędzy Litmanowskiego nie należy brać za jedno ze znaną postacią zbójnika tatrzańskiego Janosika, o którym wiele różnych podań pozostało, a które ja streścić się starałem w ustępie „Bajecznego świata Tatr". Ów Janosik nie był Polakiem, lecz urodził się we wsi Tarchowej w komitacie Trenczyńskim i, o ile mnie pamięć nie myli, powieszony został przez Węgrów w Lipto Szent Miklosz w 1713 roku. Słynął on z tego, że „możnych łupił, a ubogim dawał", a w drugiej połowie XIX w. budząca się intelligencya słowacka za pomocą broszur między lud rozsiewanych uczyniła z niego bohatera narodowego, poległego w obronie uciśnionej przez Madziarów Słowacczyzny. Legend o nim, wogóle mało zajmujących, jest mnóstwo i po polskiej stronie Tatr, gdzie zresztą jest on tylko bohaterem siły, odwagi i hojności; są jednak waryanty, opowiadające o jego okrucieństwie. Nie ulega wątpliwości, że wiele starych podań zbójeckich splątano około jednej postaci; ztąd przeciwieństwa.

O Litmanowskim Nędzy dochował się tylko, o ile mnie przynajmniej wiadomo, kilkuwyrazowy zapisek z XVII w., że na szlachcie za nieludzkie karcenie chłopów po buncie Kostki Napierskiego się mścił, potem przeciw Szwedom powstał — więcej nic. Dałem mu imię Janosika i ze słowackiego Janosika przeniosłem nań niektóre rysy charakteru. Historyę jego stworzyłem, bo jej nie znamy, a zamiarem moim było stworzyć legendę polskich Tatr, której niema.

Tu podziękować muszę artyście rzeźbiarzowi z Zakopanego, panu Wojciechowi Brzedze, za dostarczonych mi parę szczegółów i za ułatwienie poznania kilku prastarych pieśni góralskich, które, dziś już nieżyjący krewny jego, Tomasz Gadeja z Kościelisk nam śpiewał. Również wyraźnie wskazuję, iż dwa opowiadania w „Janosiku" (o stworzeniu kobiety i o chłopie, dyable i jarcu) wyjęte są ze znakomitej książki profesora Stopki o Sabale, czego mi zapewne p. Stopka za złe nie weźmie.

Niepodobna mi dokładnie rozdzielić, co wziąłem z mitologii słowiańskiej w książkach zapisanej, co bezpośrednio z mitologii własnej, oryginalnej góralskiej, a co sam stworzyłem, nieznajdując, czegom chciał, w oryginale. Tu szedłem za inspiracyą. Któż wie dokładnie, w co i jak wierzył góral tatrzański w siedmnastym wieku? Stworzyłem całe legendy, opowieści, podania; stworzyłem mityczne postacie bohaterów Łamiskały i Walilasa Toporów, mityczne postacie półbogów Pętorzeka i Wódpusca, stworzyłem poczwary w Wąwozie Krakowskim i w Kościeliskach, karę zbójecką za zdradę i wiele szczegółów, domyślając się, że tak być mogło. Cokolwiek bądź przekazała tradycya ustna, czy przekazały dawne pisma, lub zapisy pierwszych badaczy Tatr w pierwszej połowie ubiegłego XIX stulecia, to wszystko niewystarczało mi i niewątpliwie obejmuje tylko drobną część tego, co zaginęło w pamięci. Jednak tak jak

w gwarze góralskiej osłuchany w niej od dziecka nie potrzebowałem jej naśladować, ale mogłem w niej mówić, tak samo sądzę, że nie czyniłem fałszywych kroków w zapełnianiu luk mitologii i legendy góralskiej tam, gdzie mi to moja wyobraźnia wskazywała.

Od „Maryny z Hrubego" do „Janosika" uczyniłem wielki krok i zostałem przy samym zwartym, litym, surowym moim własnym przedmiocie i materyale. W „Marynie" musiałem uwzględniać do pewnego stopnia fakt zapisany o Kostce Napierskim w „Dyaryuszu Stanisława Oświęcima" i jakimś innym zapisku, przedstawiony przez profesora Kubalę i opowiedziany przez Szczęsnego Morawskiego (co ostatnie jednak doszło moich rąk już po wydrukowaniu epizodu Kostkowego, tak, że tylko zauważyć mogłem, żem się przypadkowo w paru szczegółach z historyą Morawskiego zeszedł); „Janosik" jest czystą moją fikcyą, moim wymysłem. Kto znał starych, dawnych Podhalańców, ten wie, że taki Janosik mógł być, że raczej być był powinien.

Bez frazesów, bez pozy i bez pretensyi jestem pewien, że siódmy tom mego „Podhala" w głuszę ciskam, czy posyłam. Jakkolwiek krytyka zachowuje się wobec „Podhala", publiczność nie czyta go prawie wcale, a ma temu być winną trudno zrozumiała gwara góralska. Konstatowanie tego faktu wzięto najzupełniej niesłusznie za „skargę" i „utyskiwanie" z mej strony; tłomaczyłem tylko, wydając tom V „Podhala", że wydaję książkę, której nikt czytać niebędzie, gdyż zniewala mnie do tego wydawnictwa zobowiązanie. Nic więcej.

Publiczność nierozumie dyalektu, a część naszej krytyki nierozumie, że można pisać i drukować niepamiętając ani o publiczności, ani o krytyce. Tak właśnie ja napisałem przedewszystkiem siedm tomów mego „Podhala". Nie myślałem ani o publiczności, ani o krytyce, i sądzę, że nie moją jest winą, jeżeli część kry-

tyki niezrozumiała dotąd, że niechodzi mi o pokazanie chłopów, jacy są, czy byli, o przedstawienie ich i przedstawianie światu, tylko że chodzi mi o wyłowienie dawnej duszy góralskiej, o odbudowanie tego, co zginęło, lub ginie, o ocalenie przed zagładą pamięci dawnych homeryckich mieszkańców Podtatrza, o ocalenie, o ile ja mogę to uczynić, ze wszystkiem, a więc w pierwszej linii z tem, co ja najlepiej ocalić mogę, jako pisarz: z mową. Już są zbiory sprzętów, mebli, narzędzi, strojów, dokumentów, legend, opowieści, wyrazów, pieśni, nut—ja, między innemi, chcę w najogólniejszych zarysach objąć język. Wydałem już sześć tomów zawsze z tą myślą, ale część krytyki jeszcze tego nie spostrzegła, nie zrozumiała i nie pojęła. Wiem przecie bardzo dobrze, że o chłopach można pisać doskonale gwarą stylizowaną, lub bez gwary, ale czyż tak trudno jest zrozumieć, *czego* ja chcę?

Pewnie, że chcę czego innego, jak ci, którzy urządzają popisy góralszczyzną, śmieszne i dziecinne, boć przecie każdy z tem narzeczem obznajomić się może, a znajomość jego przestała być już dawno „niepospolitością". Zakopane jest już od bardzo dawna aż zanadto otwarte dla wszystkich i niechże sobie pisze po góralsku, kto chce, niech sobie piszą nawet ci, którzy Sabale każą mówić z mazurska „psychodzić" i „pijta", „idźta" w znaczeniu pijcie, idźcie, a niewiedzą, że wyraz „wezgiąb", który stante pede ściągnęli do swojej góralszczyzny z mego „Listu Hanusi" z „Tygodnika", niejest wyrazem Sabały, tylko moim własnym, ad hoc w chwili pisania listu Hanusi ułożonym i t. d., i t. d., i t. d., można na tej „góralszczyźnie" używać, ile dusza zapragnie, ale co to komu szkodzi?

Może już skończy się zwracanie mi uwagi, że lepiejbym dla siebie zrobił, gdybym gwarę uprzystępniał. Owszem, nawet już komentarzy niedaję, bo mi to wszystko jedno.

Spotkałem się także z notatką, iż właśnie nie to, co jest prawdą, powtórzeniem, ale to, co jest *kłamstwem*, moją wyobraźnią, stanowi wartość mego „Podhala”. No juści, naturalnie; ale ta *prawda*, o którą mi szło w przedmowie do V-tego tomu „Podhala”, to właśnie ta prawda duszy i jej mowy, której ja szukam i którą odtworzyć pragnę, a nie to, lub owo opowiadanie Gadei, czy Sabały, przezemnie, lub kogo innego spisane, albo zapamiętane. To właśnie *ta prawda*, a nie dosłowność; teraz już może i to będzie jasne.

Nakoniec jeszcze jedno. Moje rzeczy góralskie z Zakopanem dzisiejszem niemają nic wspólnego. Nigdy w moich opowiadaniach nie posunąłem się naprzód po za jakiś rok 1850, to jest po za rok, kiedy Zakopanego tak jeszcze jak niebyło. Między Zakopanem dzisiejszem w szczególności i całą góralszczyzną dzisiejszą w ogóle a mojemi rzeczami góralskiemi nieistnieje żaden związek, niech nikt niewyobraża sobie dzisiejszych Zakopianów i w ogóle górali podtatrzańskich podług moich opowieści — to byli ich dziadowie, pradziadowie i jeszcze dawniej. Ja ich szczątki jeszcze znałem. Dzisiejsze Zakopane pod wielu względami jest rzepą wyrosłą na gruncie, gdzie rósł smrek. Dlatego też poglądy wyciągane z mego „Podhala” na dziś są najfałszywsze.